



Petra Hulova

Czas
Czerwonych Gór

Przełożyła: Dorota Dobrew

Część pierwsza

Kiedy mamy szoro, wszędzie wokół geru fruwały plastikowe torebki. Czasami siadam na zewnątrz i patrzę, jak piasek kłębi się w wirach, niebo po horyzont barwi się na złotobrazowo, a słońce w podmuchach żółtego pyłu staje się jakieś niewyraźne i rozedrgane. Buty szarzeją pod warstwą kurzu, który szczypie w oczy i skrzypi koniom pod kopytami, więc całe stado jest niespokojne, a nochoj ze zdartym od szczekania gardłem musi się przy nim dobrze nauganiać, zanim oddzieli żrebne klacze z młodymi od reszty.

Kiedy mamy szoro i nie można się zająć żadną pracą, bo nic nie widać na krok i na zewnątrz człowiek by się udusił albo nie trafiłby z powrotem do geru, siedzę z prawej strony przy wejściu i zastanawiam się, jak się u nas żyło dawniej, kiedy nie było jeszcze plastikowych torebek, a rodziny takie jak nasza nie miały jednego porządnego noża i nie mogły dorabiać, sprzedając herbatniki i papierosy, tak jak to robił nasz tato, kiedy czasem przez przypadek ktoś się do nas zapuścił. A ostatnio zdarza się to dosyć często.

Podobno dlatego, że w Bulganie uprawiają dobry, tani mandżin, marchew i cebulę, i ludzie wybierają się tam na zakupy częściej niż dawniej i więcej ich przejeżdża koło naszego geru. Ale ja myślę, że to wcale nie dlatego. Bo w Dawchanie też sprzedają warzywa, a mimo to w ciągu tygodnia w tamtą stronę trafi się przejazdem raptem parę osób na krzyż.

Może sprzedawca warzyw w Dawchanie jest takim samym erlicem jak jego ojciec i dlatego nikt nie chce nic od niego brać, bo Chińczycy są fałszywi i nikt im tutaj nie wierzy.

Dawdża, dziewczyna z rodziny, która mieszka osiem kilometrów na południe od nas, sprowadziła kiedyś swojego Chińczyka do domu, a Batu, jej ojciec, doniósł na tego Lio Fu, że jest tutaj nielegalnie i przemycą buty ze sztucznej skóry i nieprzemakalne koszulki, które potem sprzedaje w stolicy. Pewnie i tak było, a przynajmniej wszyscy tak wtedy myśleli, bo Chińczyk wyglądał dziwnie i prawie się nie odzywał, ale z drugiej strony zabierać małej Gerle tatę, ledwie się urodziła, to nie jest w porządku. Dawdża od rana do wieczora nic tylko płakała i groziła, że odejdzie, ale nie miała dokąd. Lio Fu poszedł do miasta jakoś to załatwić, ale kiedy minęło czternaście dni, a on nie wracał, zaczęło być więcej niż pewne, że odesłano go z powrotem do domu, do Chin. Albo może przygarnęli go jacyś krewni, jako że każdy erlic zawsze gdzieś tam znajdzie krewnych, i naraili Lio Fu inną kobietę, z której rodziną nie było takich problemów. W każdym razie już nie wrócił. Mama wtedy mówiła,

że rozumie Batu, że mnie też nie oddałyby nigdy żadnemu Chińczykowi, nawet za stado tłustych wielbłądów albo najszybszych srokatych koni.

A przecież ja sama, przez te moje dziwne oczy i mikrą posturę, wyglądam akurat jak jedna z nich. Już parę osób mi to wytykało. I robili przy tym wstrętne miny. Choćby przed laty w somonowej szkole, kiedy przechwalałam się naszymi wołokami, za które handlarze dawali najwięcej w całym ajmaku.

Tak znieważać moją chałchaską czystość. Chciałam coś im za to zrobić, ale tylko czułam, jak zbiera mi się na płacz. Wtedy mogłam akurat tyle. Ale i tak bardziej wierzyłam tamtym niż własnej mamie. Nara zawsze miała bardzo jasne włosy. Tato był wtedy w wojsku. A kiedy mama zafundowała sobie mnie, też go nie było, więc w tych sprawach raczej nie można jej było wierzyć.

Kiedy miałam jakieś pięć lat, przyjechał do nas jeden człowiek, i nie był to Mongoł. Miał długie, gęste włosy, dziwny del z wąskimi rękawami, i został u nas na noc. Kiedy zbierał się do wyjścia, wyglądało na to, że mama tego nie przeżyje i albo rzuci się na niego i czymś go palnie, albo odejdzie razem z nim. Miała takie nieopanowane ruchy i czerwone, błyszczące oczy, kiedy rano szykował się do drogi. Pamiętam to. Akurat byłam chora, miałam gorączkę, a z oczu mamy strzelały płomienie jak języki wściekłego psa, który chce mnie zabić. Te oczy bez przerwy na mnie patrzyły, kiedy mama siedziała przy moim łóżku i karmiła mnie kwaśnym owczym jogurtem, żebym całkiem nie opadła z sił. To było po tym, jak ten człowiek, który nie był Mongołem, już odjechał.

Zresztą i wcześniej miałam wrażenie, że nie jestem tak kochana jak Magi. Wtedy też czułam, że mama może być obca i niedobra, kiedy patrzyła na mnie z taką nienawiścią i musiała po mnie sprzątać, bo zwracałam wszystko oprócz tego jogurtu. Babcia mówiła, że to już koniec, ale nie umarłam.

Tamtej wiosny, kiedy pojawił się ten nieznajomy człowiek, który nie był Mongołem, urodziło się nam mnóstwo młodych jagniątek. A potem już nigdy. Babcia mówiła, że to przez niego, że urzekł nasze jagnięta, i jeszcze dodała, że gdyby zamiast nich urzekł mnie, byłoby dużo lepiej, bo ja wtedy miałam dopiero pięć lat, a taka pięcioletnia koza to jeszcze nie jest prawdziwy Mongoł. A poza tym tato z mamą mieli jeszcze trójkę innych dzieci. Teraz zostało nas tylko troje, Magi nie żyje, ale to i tak wystarczy, żeby nasz ród przetrwał, choćby któreś z nas zgubiło się w śnieżnej zamieci, zachorowało lub przepadło.

Ta cała historia z Magi jest bardzo smutna. Ona była najpiękniejsza z nas wszystkich i tato zawsze najbardziej ją kochał. No bo skoro mama nie dała mu chłopca, czego chyba tak naprawdę nigdy jej nie wybaczył, to przynajmniej urodziła mu największą piękność w całej okolicy. Carajtaj ochin, tak mówił każdy, kto nas przyszedł odwiedzić, a my obie z Narą tylko tuliłyśmy się do

siebie w lewej, kobiecej części geru i pocieszałyśmy się nawzajem, że Magi jest od nas piękniejsza tylko dlatego, że jest dużo starsza, chociaż ja byłam młodsza od niej tylko o trzy lata, a Nara o dwa, a taka piękna była od zawsze, i myśmy o tym dobrze wiedziały.

Kiedy mała Ojuna widziała, że coś sobie z Nara szepczemy na ucho, zaraz zaczynała tłuc mnie pięściami po udach i wciskała się pomiędzy nas, żeby czasem coś jej nie umknęło. Żebyśmy się nią zajęły. Jest o siedem lat młodsza od Nary i o osiem ode mnie, działała nam na nerwy i przez to zawsze musiała wszystko sobie z nami wywalczyć. Psuła nam wszystkie zabawy, a my musiałyśmy ją wszędzie ze sobą ciągnąć, bo mama była zajęta, tato był przy stadzie, a Magi zawsze umiała się wymigać. Chowala się z miednicą za gerem i tylko grzebała we wnętrzościach owiec, które tato zabił tego dnia, chociaż można się z tym uwinąć raz-dwa. Albo znajdowała sobie wymówkę, że musi nazbierać argalu, żeby mama mogła wieczorem rozpaść w piecu i zrobić budzę, a Ojuna tylko by jej przeszkadzała. No i w końcu zawsze miałyśmy ją na głowie my dwie - ja i Nara.

Kiedy urodziła się Ojuna, była zima, najsrozsza, jaką pamiętam. Na dworze wiał wiatr tak mroźny, że powieki za każdym mrugnięciem musiały się od siebie na nowo odrywać, a kiedy rano wychodziłam do stada i potem wieczorem wracałam, byłam tak zmęczona, że to odrywanie powiek coraz bardziej odwlekałam i chciało mi się już tylko usiąść na śniegu i usnąć. Sklejały się też dziurki w nosie, a potem włoski ciągnęły i bolało. Tak jest u nas każdej zimy, ale wtedy, kiedy miała się urodzić Ojuna, było o wiele gorzej.

Zwierzętom zapadły się boki, a ludziom policzki, młode sztuki wyglądały jak stare, a małych dzieci dorośli w ogóle nie wypuszczali na dwór. Przywiązywali je do nóg łóżek albo zawieszali nad piecem w skórzanych kołyskach, żeby nie trzeba było się nimi zajmować, a sami wychodzili odgarniać owcom śnieg.

Tej zimy, kiedy urodziła się Ojuna, napadało tyle śniegu, że babcia postanowiła umrzeć. Nie wierzyła, że mogłaby wytrzymać taki dopust, i całe te trzy najgorsze miesiące przespala przy piecu pod derkami, a tato gotował dla koźląt i jagniąt gorącą herbatę z mlekiem, żeby wyżyły. Dorosłe sztuki obwiązywał starymi skórami i krzyczał na konie, gdy widział, że któryś z nich już nie chce żyć. Dobre konie, kiedy umierały, tłukł taszurem po zadzie i po nogach, żeby się podniosły, a potem do nich strzelał. Nara i ja zaraz pędziłyśmy popatrzeć, jak ich umierające oczy zaciągają się ślełą błoną, a końskie słabizny drgają, jakby chciały strząsnąć z siebie muchy. Potem ścigałam rękawice i

dotykałam końskiego brzucha, między tylnymi nogami, tam gdzie jest najcieplejsze miejsce, żeby się ogrzać.

A tamtego dnia Nara pobiegła do domu, bo babcia krzyczała z łóżka, że mama rodzi.

Ojuna była niesamowitym dzieckiem i mama miała z nią utrapienie przez wiele tygodni. Już nie była najmłodsza i nie za bardzo ją uradowało, kiedy się dowiedziała, że będzie nas więcej. Tato się cieszył, bo był pewien, że tym razem zrobił mamie chłopaka. Poprzedniego lata, gdziekolwiek jeździliśmy w odwiedziny, wszędzie się puszył i śmiał się z Ojunbata, który mieszka niedaleko od Batu i Dawdży i właśnie tej wiosny urodziła mu się szósta córka, a mamie już rósł brzuch, w którym, jak to sobie wyobrażał, drzemał przyszły Czyngis-chan naszego rodu.

Ciotka Chiroko, która ma, Burchan wie dlaczego, japońskie imię i niektórzy z naszej rodziny do niej chodzili, bo była szamanką, tylko kiwała głową, a tato wierzył, że tak właśnie będzie. Ale kiedy urodziła się Ojuna, ogłosił, że Chiroko wiedziała o tym od samego początku, inaczej nie kiwałaby tak tą głową, i że on od razu tak pomyślał, kiedy zobaczył, że brzuch mamy jest spiczasty i pomału rośnie.

Kiedy mama miała brzuch, cieszyłyśmy się obie z Nara. Mama robiła się coraz bardziej powolna i nieruchawa i coraz mniej zwracała na nas uwagę, tato był ciągle w górach ze stadem i wszystko było w domu na jej głowie, bo na babci, od tego czasu, co zapomniała posolić mięso na chuszury, nie mogła już polegać.

Babcia czasami się złościła, bo mama nie dopuszczała jej do żadnych prac, i wyzywała ją w swojej mowie, w języku zachodniego narodu, żebyśmy z Nara nie mogły zrozumieć, ale mama rozumiała wszystko bez słów. Jakoś tak mi się wydawało, że chodzi o tego człowieka, co nie był Mongołem, a mama go kochała.

Kiedy na mamę przyszła pora, było tak straszliwie zimno, że nie mogli nas z Nara i Magi wysłać na dwór, więc nigdy nie zapomnę pierwszego krzyku Ojuna i jak mama ciężko oddychała, kiedy już było po wszystkim. Nie pozwolono nam patrzeć, tak że ten wieczór i tę noc zapamiętałam tylko uszami. Długa ciemność i krzyk, a potem, kiedy już świtało, mama spała razem z maleństwem skrępowanym w ciasne, twarde zawiniątko, obie przykryte niemal wszystkimi owczymi skórami, które wtedy mieliśmy, bo tato bardzo się przejął. I mimo że urodziła się tylko dziewczynka, całą noc i cały dzień palił bez przerwy w piecu, aż się nam z Nara robiło niedobrze od tego gorącego, ciężkiego, przesiąkniętego dymem powietrza. Ale nie mogłyśmy wyjść z geru,

bo tato bał się, żeby się dzidzius nie przeziębził w przeciągu, więc leżałyśmy z Narą w jednym łóżku i bawiłyśmy się w nasze zabawy.

Zawsze miałyśmy przy sobie woreczek z garstką owczych kostek. Moje były czerwone, a Nary pomalowane na żółto, żeby się nam nie myliły. Jak byłyśmy w dobrym humorze, to wysypywałyśmy je na ziemię i rzucałyśmy. Wtedy, jak się urodziła Ojuna, trzy razy z rzędu wypadł mi na wszystkich kostkach wielbłąd, a Nara się wściekła, zamachnęła się i jednym uderzeniem dłoni rozrzuciła kości po najdalszych kątach geru. Ten hałas obudził dziecko, które właśnie przestało ssać i już zasypiało, i tak się rozwrzeszczało, jakby je kto obdzierał ze skóry. Mama zaczęła je huścić w górę i w dół, żeby się uspokoiło, a tato zapomniał o przeciągu i z krzykiem wyrzucił Narę z geru na mróz pomiędzy psy.

Kiedy zima była taka mroźna jak w Roku Królika, kiedy przyszła do nas Ojuna, psy strasznie się awanturowały. Potrafiły całą noc skrobać w drzwi geru, chociaż dobrze wiedziały, że to ciepło jest tylko dla nas, dla Mongołów.

Babcia całą tę Ojuniną zimę przeleżała. W zimowym podwójnym delu trzęsła się z zimna i narzekała, że Magi za mało pali, my z Narą jesteśmy do niczego, a tato wieczorem wraca za późno. I tak całe dnie przysypiała i popłakiwała na zmianę, a ja kiedyś z samego rana, jeszcze w półśnie, usłyszałam, jak mama mówi do taty, że babcia już nie dożyje Nowego Roku i kto jej wtedy pomoże z ciastem na budzę. No bo każda rodzina musi ich zrobić co najmniej pięć tysięcy, żeby wszyscy goście odeszli z żołądkiem ciężkim jak brzuchy zwierząt w lipcu, kiedy te tylko stoją całymi dniami z głowami przy ziemi i bez przerwy się pasą.

Tato powiedział, że babcia wytrzyma, zdjął z wieszaka siodło i poszedł do swoich zajęć. Wcale się na mamę nie gniewał, a ja znowu się przekonałam, że mama umie być zła i okrutna, skoro może tak mówić o babci. Babcia była mamą taty, nie mamy, i pewnie dlatego tak często się ze sobą kłóciły, a babcia uważała, że mama mało co robi jak należy. Ale chodziło też o inne rzeczy. Być może babcia widziała, czego nie powinna była widzieć, i знаła tajemnice maminego serca.

Rodzina taty pochodzi z zachodu i zawsze należała do najwspanialszych derbeckich rodów, więc babcia ciężko przeżywała, że tato wziął sobie dziewczynę ze zwyczajnej, biednej, koczowniczej rodziny, która miała wszystkiego ze dwadzieścia koni i owiec, a kóz nie mogło być więcej niż sto. Do tego mama była Chałchaską, a Chałchasek babcia nigdy nie lubiła.

Kiedy babcia raz na parę lat jeździła do stolicy, która jest miastem chałchaskim - mieszkali tam jacyś jej dalsi krewni - to baby, które na ulicach

sprzedawały z pudeł papierosy i lemoniadę, wykrzywiały się na jej widok. Chociaż Derbeci tylko zamiast „ch” mówią „k”, a ich język jest trochę bardziej zwarty niż język mamy, to sprzedawczynie w sklepach czasami udawały, że babci nie rozumieją, i nie chciały jej obsłużyć.

Mama mówi, że ta inność bierze się stąd, że na zachodzie są wysokie góry i tamtejsze niebo jest krótkie i całe zębate od tych gór, podczas gdy większość Chałchasów żyje w przyjaznych, bezkresnych stepach, i dlatego ich język jest taki otwarty.

Ja tam nie wiem, ale sama mówię raczej tak jak mama, bo tato, kiedy byłem mała, dużo ze mną nie rozmawiał. Ale też nie mówię zupełnie jak mama, i w szkole od razu poznali, że to pewnie tato skądś do nas przybył, bo pani nauczycielka rozmawiała z mamą, i mama mówi tak samo jak wszyscy w naszym ajmaku. Kiedy opowiadałam o tym babci, powiedziała, że nie zaprę się swoich przodków i że to dobrze. Tato tylko słuchał i wyglądał trochę smutno, bo w naszym ajmaku zawsze miał problemy ze swoim językiem i pewnie by nie chciał, żebyśmy i my je miały. A w ogóle to tato rzadko się odzywał.

Dawniej myślałam, że ciągle myśli o pracy, bo stado jest tylko na jego głowie, nie ma synów, którzy by mu pomogli. Kiedy byłem mała, to czasem wieczorem chciałam zagrać z tatą w szagaj albo pokazać mu gniazdo małych świstaków, które znalazłam, ale mama zawsze zmywała mi za to głowę. Żebym się stąd zabierała, tato jest zajęty, a mnie kazała krajać skórę albo czyścić mięso, żebym się w końcu czegoś nauczyła.

Ale kiedy tato był w dobrym nastroju, bydło obrastało w tłuszcz, a brązowa sierść na koniach błyszczała jak połyskująca w słońcu wodna głębina, to używałyśmy sobie z nim za wszystkie czasy.

Dla mnie, dla Nary i dla Magi tato wybrał trzy wyjątkowo dzikie konie, na których, co prawda, dawało się jeździć, ale trzeba było się nieźle nagimnastykować, żeby utrzymać się w drewnianym siodle. Miałyśmy śliczne dziecięce, kolorowe siodełka od stryja, żebyśmy się tak nie kiwały na końskich grzbietach, a tato każdej z nas zrobił mały taszur, żebyśmy mogły opornego konia porządnie zaciąć, i jazda.

Kiedy miałyśmy po trzy latka, i jeszcze trochę później, tato nas podsadzał na konie, ale potem radziłyśmy sobie same i Magi nie mogła już się tym szczyścić.

Jeździłyśmy z tatą aż po horyzont, złane potem konie gnałyśmy w stronę olbrzymiego, zagniewanego czerwonego słońca, które powoli zapadało się pod ziemię, a my nie mogłyśmy go dopędzić.

W takich chwilach czułam, że jesteśmy jedną rodziną, że nikt nie może przeciąć więzów krwi, które nas łączą, i w ogóle nie chciało mi się wracać do

mamy, a ona, z oczyma zaczerwienionymi od dymu, krzątała się koło pieca, gotowała nam gorącą zupę z kawałkami łoju i czekała, żebyśmy wrócili.

Tato jeździł straszliwie szybko. Krzyczał: „Chusz! Chusz! Chusz!”, ale ja widziałam tylko ruchy jego warg, bo krzyk już unosił wiatr, a koń pod siodłem miał zupełnie mokry grzbiet.

Przeważnie jednak jechałam kilkadziesiąt metrów za tatą i starałam się, żeby ogon jego konia nie uciekł mi za daleko, bo tato zawsze brał najszybszego konia z całego stada, chociaż mówił, że to nie jest najważniejsze.

Nosił del w kolorze ciemnego wina, z ozdobnym zapięciem, które mamie wcale się nie podobało, bo w naszym somonie nikt takiego nie nosił i mama miała już po dziurki w nosie tego, że tato i babcia ciągle czymś się różnią od innych i że zawsze są z tym jakieś problemy. Na butach taty wyszyła sojombo, godło naszej ziemi. Mówiła, że różne geometryczne hafty i skrecone do środka rozetki może mieć każdy, ale tylko tato będzie taki państwowo uświadomiony.

Tacie nie robiło to różnicy, najważniejsze, żeby czuby miały porządnie wygięte do góry i nie wyrwały ani kawałeczka z naszej świętej ziemi, i żeby były wystarczająco ciepłe, bo zimą tato przez cały dzień odgarniał z ziemi śnieg, kiedy bydło było już za słabe, żeby skruszyć warstewkę lodu i dostać się do żółtej, ostrej trawy, która się pod nim kryła.

Ta zima, kiedy urodziła się moja najmłodsza siostra, była najgorszą ze wszystkich zim. Co prawda, nikt z nas nie umarł, ale mimo całodziennej harówki taty z herbatą i kocami nie przeżyło ani jedno koźle, które tego roku przyszło na świat.

Gdyby mama nie musiała rodzić, wszystko wyglądałoby inaczej. Pomagałaby tacie, a tato nie musiałby z powodu niemowlaka trzy dni tkwić w gerze i pilnować, żeby naszej rozwrzeszczanej siostrze było ciepło.

Tak samo na pewno myślała babcia, bo przez małą mama nie miała dla niej czasu, a my ciągle o niej zapominaliśmy. Bez przerwy spała, więc mało co jadła, a kiedy pod koniec wiosny w końcu się zwlokła ze swojego zapchlonego, wyłożonego owczymi skórami barłogu, była wychudzona jak baba Uregma, która podobno mieszka w górach niedaleko naszego letniego miejsca i wykrada niegrzeczne dzieci. Mama zawsze nas nią straszyła, kiedy dokuczałyśmy szczeniakom albo podsłuchiwałyśmy z ukrycia za gerem, o czym rozmawiają dorośli.

Babcia, co prawda, przeżyła tę zimę, jak przepowiadał tato, ale potem już była całkiem do niczego. W niczym mamie nie pomagała i robiła się coraz bardziej nieznośna dla wszystkich oprócz taty. No i pewnie cieszyła się na braciszka, na wnuka, a Ojuna była zwyczajną małą dziewczynką, taką samą jak

my wszystkie przed nią. Mama wiedziała, że tacie jest przez to przykro, babcia zaś miała powód do psioczenia. Jakby zapomniała, że sama też kiedyś była małą dziewczynką, taką jak my, a mama się zarzekła, że nie będzie mieć więcej dzieci, i tak też się stało.

Babcię pochowaliśmy następnego lata, w Roku Małpy. Ojuna właśnie zaczynała biegać, więc ciągle trzeba było się nią zajmować. Już przestała raczkować i hopsać na czworakach koło mamy i nawet nie musiała przytrzymywać się różnych rzeczy w gerze, kiedy chciała się podnieść. Kiedy z Narą i Magi straszyłyśmy ją Uregmą, w ogóle nie robiło to na niej wrażenia, bo jeszcze była głupia, i miałyśmy ją na głowie od rana do nocy. W tym tygodniu, kiedy babcia umarła, wszystkie byłyśmy w odwiedzinach u Munchceceg, w gerze został tylko tato z Ojuną.

Munchceceg była kuzynką mamy, która też miała prawie same córki i mieszkała z nimi i ze swoim mężem Majdarem w sąsiednim ajmaku, o dzień drogi samochodem od naszego geru. Zaprosili nas wtedy, żebyśmy spróbowali ich kumysu.

Tak jak my mieliśmy najlepsze bydlęce skóry w naszej ziemi, i jeszcze nasz kaszmir był najbardziej ceniony, to z kolei Majdar z Munchceceg kwasili najlepsze kobyle mleko w całym oworchangajskim ajmaku.

Tato nie lubił Munchceceg, poza tym musiał zostać przy stadzie, a babcia była za słaba na podróż. W końcu w domu została też i Ojuna, bo jeśli chodzi o opiekę nad małym dzieckiem, to mama mogła babci zaufać. I tak Ojuna siedziała zamknięta z babcią przez cztery dni w gerze, bo zaraz pierwszego dnia po naszym wyjeździe tacie zgubiło się gdzieś kilka owiec i musiał jechać ich szukać. Ale wszystko potoczyło się w sposób nieprzewidziany i skończyło śmiercią babci.

Właściwie nikt nie wie, co się wtedy stało, bo taty nie było w domu i nic nam nie mógł powiedzieć, a Ojuna tylko się darła i tak kurczowo tuliła się do mamy, że przemoczyła jej łzami cały kołnierz od delu. W drodze powrotnej od Munchceceg i Majdara zepsuło się nam auto. Skończyła się benzyna, a mama uznała, i pewnie naprawdę tak było, że do najbliższej stacji benzynowej jest za daleko, żeby tam pójść na piechotę.

Przynajmniej mogłyśmy się cieszyć, że nie ma z nami Ojuny bo żadnej z nas nie uśmiechałoby się dźwigać jej dwadzieścia kilometrów w gobijskim lipcowym upale, na zmianę na plecach i na rękach. I jeszcze taszczyłyśmy ze sobą butelki po różnych napojach, napełnione kumysem, po drodze zatrzymywałyśmy się co jakiś czas i upijały ten kumys, z którego w jednej

chwili zrobił się wrzątek, a nam wszystkim kołowało się od tego w głowie, bo przez całe dwadzieścia kilometrów nie trafiło się ani jedno drzewo.

Kiedy nasz dom nie był już tylko czarnym punktem, tkwiącym samotnie w stepie jak zagubiony kary żrebak, i rozpoznawałyśmy ramę drzwi i pomarańczowy pas, który ją zdobił wokoło, zauważyłyśmy też niekształtną kupkę o jakieś dwadzieścia kroków na zachód od geru. Im bliżej podchodziłyśmy, tym bardziej byłyśmy pewne, co to takiego, chociaż żadna z nas nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Babcia leżała na ziemi dziwnie wygięta, jak zwalone, pokręcone drzewo, i od razu stało się jasne, że nie upadła tak zwyczajnie, ale że widocznie skręcała się w jakichś skurczach, chociaż żadnych skurczów nigdy przedtem nie miała. I nie było wiadomo, dokąd babcia szła, bo w tym kierunku nie chodziło się ani na modlitwy, ani na siku, ani po argal do palenia w piecu, krótko mówiąc, wtedy w ogóle się nie chodziło, to skąd by się tam wzięła babcia, która zawsze chodziła tylko dokądś i po coś. Jak tylko otrząsnęłyśmy się z tego przestachu, to powstałyśmy nad nią chwilę, zupełnie bezradne. Już zeszywniała, nie można było jej wyprostować. Nie udało się nam otworzyć zaciśniętych pięści, chociaż próbowałyśmy wszystkie, jedna po drugiej, tylko mama nie, ale nam pozwoliła.

Aż nagle mama pobladła i z krzykiem rzuciła się pędem do geru. Magi, Nara i ja, wszystkie zapomnialyśmy o Ojunie.

Siedziała w kucki przy piecu, zajęta woreczkiem Magi z owczymi kostkami, które układała w rządki i dłubała nimi w ziemi.

Tak twierdziła mama, bo kiedy przyszłyśmy, Ojuny wcale nie było widać, tylko z objęć mamy dobiegał rozdzierający wrzask, a jej ramiona były zupełnie białe, pozbawione krwi, tak kurczowo przyciskała do siebie dziecko.

Tato przyjechał następnego dnia rano, przed gerem znalazł babcię przykrytą skórą, a w środku pięć kobiet zbitych w kupkę na jednym łóżku.

Mama razem z tatą przenieśli babcię na nasze miejsce na zboczu, trochę na wschód od geru, i tam ją zostawili. Kiedy wybraliśmy się w to miejsce po czterdziestu dziewięciu dniach, nic już z niej nie zostało. Wtedy Ojunę po raz pierwszy zostawiliśmy w domu samą, bo kiedy tato po drodze wymówił imię babci, to tak mu się zaczęła wyrывać, że musiał ją postawić na ziemi, i pędem pognęła z powrotem do geru, jak szczeniak, któremu ktoś dał kopniaka.

Kiedy później pytałam Ojunę, co się wtedy stało, to chociaż była już duża i przybyło jej rozumu, też nic nie powiedziała. Ale jak tatę nadział na rogi byk i tato przyszedł do domu, przytrzymując sobie brunatno-czerwonymi rękoma rozharatany brzuch, to pamiętała bardzo dobrze. A zdarzyło się to tylko parę

tygodni później. Ojunie nie można wierzyć, tak samo jak naszej mamie. Zawsze ze sobą trzymały. Aż do maminej śmierci.

Od tej pory o babci już się u nas wiele nie mówiło. Nikt nie wiedział, jak od nas odeszła. Magi i Nara czasem snuły opowieści o duchach i spod oka spoglądały na Ojunę, która tylko patrzyła w ziemię i udawała, że nic nie słyszy, tato się chmurzył, a mama bladła i w końcu dawała Magi i Narze po plecach, żeby przestały. Tylko raz, a było to parę miesięcy po tym, jak zanieśliśmy babcię na nasze miejsce i zostawiliśmy ją dzikim zwierzętom, tato trochę nam poopowiadał.

Albo znowu któregoś wieczoru wziął nas ze sobą, żebyśmy rzucili okiem na ulubioną kobyłę Magi, co lada dzień miała się ożrebić.

Pędziliśmy cwałem, bo Magi lamentowała, że klacz na pewno już rodzi, za końskimi zadami w obłokach gobijskiego kurzu skłaniała się ku ziemi zmęczona, bezlitosna kula, a kiedy się obejrzałam, Nara cwałowała w słońcu jak juańska księżniczka w złotym obramowaniu; pojedyncze włosy lśniły jej jak Rosjankom, które mieszkają w naszym somonowym centrum.

Kiedy dojeżdżałyśmy na miejsce, z daleka było widać, że już po wszystkim. W pewnej odległości od stada ujrzełyśmy nieruchomą sylwetkę wyczerpanej klaczy z mokrym żrebakiem, przyssanym do wymienia. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, więc zostawiliśmy ich w spokoju, a tato oznajmił, że coś nam opowie.

Ostatni raz tak poważnie i z przejęciem mówił po tej ciężkiej zimie, kiedy to oznajmił, że nie zostało nam ani jedno koźle i jeżeli szybko nie opuścimy tego miejsca, to stracimy też wszystkie jagnięta, a mama od razu zaczęła pakować rzeczy, i następnego dnia już byliśmy w drodze. Teraz tato wyglądał tak samo odświeżenie i prawie tak samo posępnie. Podobno nie chciał, żeby była przy tym Ojuna, bo mama zabroniła nam mówić przy niej o babci i sama też nie znosiła tego dobrze. Zarzucała sobie, że zostawiła ją samą w domu, i gniewała się na tatę, że te jego pogubione owce były dla niego ważniejsze niż babcia.

Ale tato przecież nie mógł wiedzieć, że babcia umrze, to rozumiałam już wtedy, i wstawiałam się za tatą, bo i teraz myślę, że nie zrobił nic złego.

Powiedział: „Chociaż o babci dużo nie rozmawiamy, pośród pierwszych słów wymówionych przez wasze dzieci będzie imię Dolgorma. Dzięki niej i dzięki innym naszym zachodnim, derbeckim przodkom możemy teraz siedzieć tu, przy naszym stadzie, a rodzinny ajmak grzeje nas w siedzenia. Prababcia naszej babci nazywała się Czulunceceg. Takie imię dał jej ociec, bo była wymodlonym kwiatem, który wyrósł w rozpadlinie jałowej skały w łonie jego żony, kiedy na jej włosach pojawiła się pierwsza siwizna. Córka Czulunceceg,

babcia Dolgormy, w wieku piętnastu lat została oddana pewnemu mandżurskiemu księciu, ale mój prapradziad porwał ją w noc przedślubną i ukrywał przez całe życie, chociaż był tylko ubogim łowcą głowacic i jednym z niewielu czystej krwi mieszkańców zachodu, osiadłych wokół Wielkich Jezior, ponieważ pozostali polegli w wojnach, a reszta nie zniosła ciężaru wiecznego poniżenia ze strony Chałchasów".

To mnie nie za bardzo interesowało. Ssałam żdźbło trawy i czekałam, aż tato przejdzie do czegoś zabawnego i ciekawego, przy czym zapałoby nam dech. Wiedziałam, że umie tak opowiadać, chociaż bardzo rzadko nas tym raczył. Na razie jego gadka była niczym brzęczenie much w gorące popołudnie. Usypiała mnie. Ale wiedziałam, że jest to dla niego ważne i musi nam to powiedzieć.

„Babcia pochodziła z bogatej rodziny kaszmirowych magnatów, ponieważ jej matka spodobała się ojcu babcinego ojca, Onona, który był dostawcą kaszmiru na chański dwór. Po ten kaszmir przyjeżdżali z Urgi wysłannicy chana w aksamitnych czapkach z kitkami z piór rajskiego ptaka. Ojciec babci był wielkim dargą całej ziemi wokół Selengi, i jego słowo było prawem, a jeżeli darga nie wyraził na coś zgody, cała ziemia stawiała za nim i odmawiała Mandżurom rekrutów, bo nojonowie dargi umieli załatwić tę sprawę z każdym gerem z osobna, czym wszyscy dobrze wiedzieli.

Na przykład kiedyś chan ni stąd, ni zowąd obniżył cenę kaszmiru i z dnia na dzień chiński ryż i dobre rosyjskie noże okazały się nie na naszą kieszeń. Wtedy Onon wskoczył na siodło, krzyknął: «Morindo!» i przemienił się w czteronogie, niedościgłe, powietrzne zwierzę. A kiedy tak pędził w tumanie kurzu przez step, z gerów wybiegali wojownicy w karminowych delach, z workami suszonego mięsa i twardymi drewnianymi siodłami w rękach. Ich żony i dzieci machały do nich i skrapiały ich mlekiem na szczęście, a Onon, mając poparcie swoich wojowników, za każdym razem rozkaz chana obracał wniwecz. Za jego życia cena kaszmiru nigdy nie spadła tak nisko, żeby rodzina babci musiała handlować skórami i mięsem albo przerabiać mleko na kumys, tak jak wszyscy inni, którzy bez przerwy wyklócali się z chciwymi Chińczykami o każdego juana. Zresztą nic innego im nie pozostało.

Dlatego Dolgorma zawsze trochę Chińczykami gardziła. Jej rodzinie nie byli do niczego potrzebni, więc nie musiała się z nimi zadawać.

Już od jakiegoś czasu nie słuchałam taty, straciłam wątek i myliły mi się imiona przodków, nigdy wcześniej tato o nich nie wspominał, a do tego po włosach Magi wędrował piękny, błyszczący niebieski żuczek, i chciałam patrzeć, jak zręcznie przewija się pomiędzy włosami, i trochę się przy tym

zdrzemnąć bo słońce już dawno zaszło i z ziemi powoli zaczął podnosić się chłód.

Poruszyłam się w swoim delu, tato ciągle mówił o Chińczykach, teraz o tym, czy tamten sprzedawca warzyw z Dawchanu, to znaczy ojciec tego dzisiejszego sprzedawcy, był erlicem, czy też nie, bo jego mama ciągle się z kimś zadawała, więc jest to bardzo prawdopodobne, ale jego tato, stary Dordź, traktował go jak syna. „Z drugiej strony, stary Dordź jest taka fujara, że gotów uznać za swoje każde dziecko, które ta jego przyniosłaby mu w powijakach, a on na nią nie wiadomo dlaczego nie da złego słowa powiedzieć. No więc sprzedawca warzyw z Dawchanu w końcu pewnie jest erlicem”.

Tato mówił dalej coś w tym stylu, a ja już miałam zamknięte oczy i jego słowa docierały do mnie skądś z daleka, poprzez słodki szum w mojej głowie i przez obraz wielkiego, dziwnego żuka, który miał skrzydła tak samo pokratkowane, jak ściany naszego geru, kiedy razem z mamą pościągamy z nich wszystkie wojłokowe płachty, zanim ruszymy dalej w drogę.

Już-już miałam usnąć, bo jak tato rozgadał się o Dordżu z Dawchanu i o jego synu, to pewnie do babci już nie wróci i nie dowiem się nic ciekawego, ponieważ tę historyjkę wałkuje się u nas od lat, aż tu nagle słyszę, że tato milczy. Możliwe, że milczał już od dłuższej chwili, a ja wcześniej przysnęłam. Natychmiast otworzyłam oczy, to dopiero byłby wstyd, gdyby tato zobaczył, jak chrapie, kiedy on tak opowiada, bo nie zdarza się to często. Ta myśl przeleciała mi przez głowę, powieki odskoczyły w górę i zobaczyłam, że tato wpatruje się w moją twarz, i moje siostry też, a ja poczerwieniałam, spuściłam oczy i poczułam, że nagle pomiędzy nimi wszystkimi jestem zupełnie sama, jak kulawe ciele z rozszczepionym kopytem albo czarne jagnię. Ale takie zwierzęta zaraz umierają, bo nikt ich nie chce, nawet ich własne mamy nie dopuszczają ich do siebie, a kiedy takie głodne ciele chce się dostać do cycka, dostaje kopniaka, i nie miną dwa dni, jak zdycha. Ale mnie zostawili, a ja czułam się jak to niewydarzone ciele, ponieważ ta historia ze sprzedawcą warzyw z Dawchanu miała coś wspólnego ze mną.

Potem tato powiedział, że już jest późno i że będziemy wracać. Ale jeszcze zanim dźgnęliśmy konie nogą w żebra, nachylił się do Magi i rzucił niby żartem - ale bardziej po to, żeby Magi za bardzo się tym nie pyszniła, a nam dwóm nie było przykro, chociaż naprawdę było to wielkie wyróżnienie - że babcia na pewno bardzo by się cieszyła, gdyby pierwsza wnuczka jej ukochanego syna dostała na imię Dolgorma. Magi tylko zarzuciła warkoczem. Nie ma to jak być najstarszą córką. Wszystkie byłyśmy o tym przekonane.

Czasami przychodziło mi do głowy, że Ojuna ma strasznego pecha, że jest taka mała i przez to żadna z nas nie chce się z nią bawić. Kiedy trzeba było wyprawić się do Munchceceg po kumys, do somonowego centrum naprawić radio albo na zakupy, czy do dawchańskiego sprzedawcy warzyw po cebulę i ktoś musiał zostać w domu z Ojuną, zawsze oznaczało to nudę i karę dla tej z nas, która najbardziej narozrabiała. Mama jakby to wyczuwała i nie pozwalała na Ojunę złego słowa powiedzieć, a jak słyszała, że się drze, zaraz była przy niej, a nam się dostawało.

I miała rację, bo myśmy Ojunie robiły różne rzeczy. Uwiązywałyśmy ją na sznurku, żeby nie trzeba było ciągle się nią zajmować, a ona przez cały dzień wydeptywała w trawie taki psi krąg. Sadzałyśmy ją wielbłodom pomiędzy garby albo zmuszałyśmy, żeby wlaźła na ger i zaciągnęła płachtą dymnik, a potem się z niej nabijałyśmy, jak nie wiedziała, co dalej, tylko rozpaczliwie machała rękoma i złościła się, żebyśmy ją zdjęły.

Kiedys Magi o mało jej nie zabiła.

Zanim przyszła na świat Ojuna, Magi zawsze była ta najważniejsza. Urodziła się mamie i tacie dokładnie dziewięć miesięcy po tym, jak przeprowadzili się do swojego wspólnego geru, i była najbardziej udana z nas wszystkich, tak mówiła mama i z rozkoszą patrzyła na jej gruby, koński, czarny warkocz z niebieskim połyskiem, włosy, które okalały szlachetną, prawdziwie mongolską twarz. Dlatego Magi była trochę zazdrosna o Ojunę i jej dręczycielskie zapędy zawsze były najlepiej obmyślane.

Ale wtedy, kiedy Ojuna o mało przez nią nie zginęła, to było zupełnie co innego.

Wtedy poszła do stada na cały dzień, bo tato potrzebował pomocy, ale znowu tej pracy nie było tak dużo, żeby mama nie mogła jej wcisnąć jeszcze dzieciaka. Mieli akurat przyjechać jacyś krewni z Miasta, więc mama przez cały dzień kręciła się w tłustych oparach koło pieca, i my razem z nią, a dziecko byłoby od tego całe spocone i splakane, i tylko by jej przeszkadzało.

Ojuna miała wtedy niecały rok, kończyła się jesień, ale akurat jeszcze na parę dni zrobiło się ciepło, więc Magi wzięła dziecko, jakąś płachtę i miskę z rozgotowanym ryżem dla małej i poszła na jedno ze wzgórz, skąd stado było dobrze widoczne. Patrzyła w dół, nakarmiła dziecko, a potem poszła rozejrzeć się za dzikim czosnkiem. Później mówiła, że co chwila się oglądała, czy Ojuna nie zeszła z koca, a jak za którymś razem się obejrzała, to nad Ojuną pochylał pysk dziki pies. Ale możliwe, że było inaczej. Ja też nigdy bym się nie przyznała, że jestem taka głupia, żeby zostawić dziecko tyle czasu bez opieki. Jedno jest pewne, że tego dnia czekaliśmy na Magi bardzo długo. Kiedy tato

wyłowił z miski ostatnie dwa baranie żebra, obrał je z mięsa i posłał Narę z kośćmi na dwór, Magi ciągle jeszcze nie było.

Wróciła dopiero wtedy, kiedy tato wziął siodło i ruszył w kierunku stada, a mama na cały głos wykrzykiwała na wszystkie strony świata jej imię. Magi w końcu wróciła biała na twarzy jak pantera śnieżna, a spomiędzy jej ramion wydobywało się ciche, żałosne pojękiwanie. Kiedy po długich namowach w końcu oddała mamie Ojunę, wszystkim nam zaparło dech.

Oba policzki małej były poharatane psimi zębami.

Nie były to ślady pogryzienia, tylko takie małe ranki jakby bawił się nią pies obeznany z ludzkimi młodymi. Po tym wszystkim mama jeszcze bardziej przylgnęła do Ojuny, a Ojuna, tak samo jak wtedy, kiedy umarła babcia, nie chciała zostawać z nikim innym. Te ślady jeszcze długo były widoczne. Policzki Ojuny już nigdy nie stały się całkiem gładkie, jak normalnie. Do dzisiaj są na nich małe fioletowe blizny.

Magi przez kilka dni w ogóle się nie odzywała, a kiedy w końcu wydusiła z siebie, jak było, o tym szukaniu czosnku i o dzikim psie, który ni stąd, ni zowąd pojawił się nad twarzą Ojuny, co chwila zająkiwała się i bezradnie rozkładała ręce, jakby z każdym słowem w naszych oczach zapadała się coraz niżej, i tak właśnie było.

I nawet tato, któremu obiecała urodzić małą Dolgormę i który przedtem prawie zawsze brał jej stronę, nagle stał się twardy i chmurny.

A jeszcze wtedy nikt z nas nie wiedział, że ta ciepła i niezwykle deszczowa jesień jest naszą ostatnią wspólną jesienią.

Po śmierci babci nasza rodzina zaczęła się tak jakoś kruszyć na kawałeczki, jak niszczące owo, o którym wyznawcy zaczynają zapominać i które kamień po kamieniu rozsypuje się w step.

Owo, do którego nasza rodzina chodziła najczęściej, znajdowało się o jakieś trzy godziny drogi konno w stronę zachodnich granic naszego ajmaku. Stosik zwyczajnych, wygładzonych kamieni u stóp góry o kształcie profilu kobiecej twarzy, która nosi nazwę Borony Ul. Dni słoneczne naprawdę można tam było policzyć na końskim kopycie, a cała góra była nieustannie ukryta w deszczowej chmurze, z której cały czas strumieniami lała się woda.

Najczęściej jeździliśmy tam się modlić, kiedy dawno nie padało i po obłokach pyłu można było na kilometry poznać, gdzie są stada. Wtedy rzeka zmieniała się w wilgotne bagnisko z kilkoma osamotnionymi zagłębieniami, w których zwierzęta toczyły swoją codzienną walkę o wodę. Te najmłodsze, a także stare sztuki, nigdy nie mogły wygrać tej walki i tylko patrzyły pustym wzrokiem, aż w końcu ugiwały się pod nimi nogi, a zady ściągały je na ziemię.

Mama z tatą i nami wszystkimi wyprawili się do tego owa. Nad głowami krążyły nam sępy, które nie mogły się doczekać, żeby zanurzyć swoje gołe, różowe szyje w krwawych wnętrzościach padliny, a mama z tatą poganiali konie tak długo, aż na horyzoncie wyłonił się z drgającego powietrza kobiecy profil Borony Ul z trzepoczącymi niebieskimi chadagami na zboczu. Nasze owo było pełne różnych przyniesionych rzeczy, i całą tę kilkugodzinną modlitewną wyprawę przepełniało podniecające oczekiwanie na nowe rzeczy, które przez ten czas, kiedy nas nie było, ktoś podarował kopcowi. Z daleka już widzieliśmy powiewające niebieskie skrawki materiału, a także kilka białych i żółtych, przywiązanych do okolicznych drzew. Chusteczki były zwyczajną rzeczą, my też zawsze je przywoziliśmy i wiązaliśmy, ale pomiędzy kamieniami i na nich leżały też stare opony, butelki po piwie od ludzi z Miasta, czerwone puszki z żółtym wzorkiem, kawałki starych drutów i inne dobre rzeczy, których nie wolno zabierać. Obeszliśmy owo trzy razy w odpowiednim kierunku, wokoło powiewały podarte kolorowe chadagi, a pomiędzy pniami drzew dmuchał wiatr. Wyuczonymi formułami prosiliśmy o deszcz.

Do owa najchętniej jeździła babcia. Ubierała się wtedy w del przetykany jakby srebrną nitką, z takim samym niezwykłym zachodnim zapięciem, którego mama nie lubiła u taty, czesała się, rozpuszczała swój cienki, długi, posiwiały warkocz i znowu zaplatała włosy w chudy ogonek. W rękawie chowała kilka chadagów i każdej ze swoich wnuczek wciskała do ręki parę cukierków, które później pod jej okiem musiałyśmy zostawić na kamieniach.

Myślę, że to dzięki babci jeździliśmy tam tak często. Tata i mama też chętnie się modlili, ale do tego modlenia nie było im tak bardzo pilno jak babci, która już po kilku tygodniach suszy zawsze chciała wyprawić się do owa. A jak Dolgorma umarła, to jeździliśmy tam coraz rzadziej, i myślę, że Ojuna dużo straciła, że ominęły ją te modlitewne wyprawy do nowych rzeczy, które ludzie znosili na owo.

Tak jak w każdej porządnej rodzinie, u nas też na wprost wejścia do geru stał drewniany stolik z figurkami Burchanów różnej wielkości, ale też i innych rzeczy. Naokoło stołu porozstawiane były nasze fotografie, kiedy byliśmy małe, a także mamy jako siedemnastoletniej piękności i taty z karabinem jako młodego żołnierza straży granicznej.

Z nas wszystkich najczęściej przed figurkami klękała babcia. Pochylała głowę i coś do siebie mówiła. Tato i mama byli inni. Ale kiedy modliła się babcia, to była niepodobna do nas wszystkich. W takich chwilach czułam, że jest czarownicą o potężnej mocy. Kiedy umarła, zastanawiałam się, czy jej ostatnie, przerywane konwulsjami kroki nie zmierzały czasem do naszego owa.

Wskazywałoby na to miejsce, w którym ją znaleźliśmy, ale po trzech latach nie mogłam już sobie przypomnieć, czy miała na sobie to ubranie ze srebrną nitką, czy nie. Wtedy wszystko byłoby jasne. W starym, domowym, złachanym delu babcia nigdy nie wybrałaby się w taką drogę, za to ręczę.

Mamie nic nie powiedziałam o tym, jak tato wtedy po zachodzie słońca zamilkł i patrzył na mnie nieswoim wzrokiem, tylko poszłam z tym do Nary, bo Nara była jaśniejsza od nas wszystkich i przez to mogła lepiej zrozumieć moje poczucie osamotnienia.

Nara знаła to bardzo dobrze.

Większość czasu pomiędzy trzecim a siódmym rokiem życia spędziłam w chuchdijn cecerlegu. Nara też. Między nami jest rok i jeden miesiąc różnicy, więc posłali nas tam razem. Ja nie chciałam jechać bez niej, a mama była zadowolona, że posyła nas obie za jednym zamachem.

Nasz chuchdijn cecerleg, jak większość pozostałych przedszkoli, znajdował się w somonowym centrum, w jedynym tak jakby mieście, które wtedy znałyśmy.

Kilka ogrodzonych gerów, parę lekkich drewnianych domków, których zimą nie dało się ogrzać, a latem nie można było w nich wytrzymać, i parę wielkich murowanych budynków, postawionych przez Rosjan. Oprócz przedszkola była tam jeszcze szkoła, lekarz, siedziba partii rewolucyjnej i somonowej administracji, no i dom kultury, gdzie obchodzono różne rocznice, a także gdzie rodzice chodzili głosować.

Do chuchdijn cecerlegu rodzice przyprowadzili nas po raz pierwszy któregoś słonecznego, wrześniowego dnia w Roku Węża, a potem już nas tam wozili na początku każdego dziewiątego miesiąca, zawsze kiedy skończyły się nasze letnie wakacje i prawie wszystkie dzieci wracały ze swoich gerów do zimnych budynków internatu.

Jedziemy naszym uazem, tato dopiero co go kupił od swojego szwagra Cowa, spryciarza, który handlował nowosybirskimi dżipami. Tato kiedyś wynajmował się jako kierowca, a ponieważ Cowo zawsze tylko obiecywał, ale nigdy nie płacił, tato jednego razu zamiast do Miasta zajechał dżipem przed nasz ger. Babcia załamywała ręce, a tato obiecał, że auto zwróci zaraz następnego dnia. I sprawa była załatwiona. Z czasem mama nauczyła się prowadzić i też nas wozila do przedszkola.

Tato zatrzymał auto przed świeżo otynkowanym budynkiem. Przy balach parskwały zmęczone konie przybyłych z daleka Mongołów, a wokoło w cichych grupkach stali dorośli, którzy nie znali się nawzajem, oraz krewni, którzy spotkali się tu przypadkiem. Butelka krążyła, dorośli w odświętnych,

błyszczących delach w podniosłym nastroju rozlewali po parę kropli na każdą stronę świata, a dzieci podskakiwały i ciągnęły się za włosy albo przestraszone tuliły się do rodziców w przeczuciu nieodległej rozłąki, tak samo jak my dwie.

Nara od początku musiała coś przeczuwać. Ani na chwilę nie dała się zwieść roześmianym buziom nazwożonych zewsząd dzieciaków, a chłopaczka, który dla zabawy zaczął ją dusić od tyłu, tak kopnęła, że później chlipał przez cały czas, kiedy przewodniczący somonu wygłaszał przemówienie.

Od samego początku bardzo polubiłam naszą salę, w której mieliśmy wóz i konika z bakelitu, małego wilka z prawdziwej wilczej skóry, klocki od zaprzyjaźnionego przedszkola z Władywostoku, wieszaki z ręczniczkami i krzeselka ustawione w koło. Nara nie.

Nara zawsze we wszystkim potrafiła połapać się wcześniej.

Nauczycielki posadziły nas w kole na krzeselkach i kazały złożyć dłonie w miseczkę, a pani obesła krąg z torebką szarych cukierków czekoladowych Słońce Riebiat, które smakowały dorosłością i pachniały jak wszystkie rzeczy z naszego somonowego sklepu. Potem rodzice odjechali.

Po kilku dniach było jasne, że Nara nigdy nie będzie brała udziału w żadnych zabawach. Ten kolor stepowego piasku, w którym zanurza się słońce, ten ciepły słoneczny odcień jej włosów nie podobał się nikomu oprócz mnie.

Nara była Oros, tak na nią mówiły przedszkolanki, kiedy tłukła o ziemię małym wilkiem albo nie chciała herbaty nie dość słonej i tłustej. Inni też zaczęli na nią krzywo patrzeć, tak samo jak te grube buriackie wychowawczynie. Zaraz powiedziałam o tym tacie. Najpierw zrobił się siny na twarzy i zacisnął pięści, potem twarz mu zmiękła i pofalowała się tak jakoś cierpko, ale może i nie, bo w końcu stanowczym głosem oświadczył, że mamy się tym nie przejmować i żeby nam nie przyszło do głowy nie słuchać przedszkolank, i że mamy o tym nie rozpowiadać.

No więc udawałyśmy, że nic sobie z tego nie robimy, bo tato powiedział, że to one są nie w porządku, a nie my. Ale nie całkiem się nam udawało. Obie z Narą wiedziałyśmy, że coś jest nie tak, bo normalne włosy są czarne jak noc, czarne jak warkocz naszej Magi, którą wszyscy, odkąd pamiętam, zawsze lubili.

Ja doświadczyłam tego po raz pierwszy dopiero w szkole.

Wtedy jak zginał pies z geru Dordża.

Dużo się o tym mówiło w szkole, bo ger Dordża stał całkiem na początku somonowego centrum, od wschodu, od strony Czerwonych Gór, a z tej okolicy pochodziło zawsze dużo dzieci, między innymi ja, Nara i Magi.

Ten pies bez przerwy szczekał i latał w tę i we w tę z wyszczerzonymi kłami, z pyska ciekła mu ślina i zostawiała na ziemi ciemne kałuże. Był też strasznie wielki, każdy by go poznał.

Aż nagle zniknął. Z dnia na dzień, i nigdy więcej się nie pojawił. Wtedy już z Narą chodziłyśmy do szkoły i ponad rok mieszkaliśmy w internacie.

Parę dni później, kiedy zrobiło się o tym głośno, w naszej ubikacji, takiej drewnianej budce koło internatu, pojawił się wyryty nożem napis: „Kto chce wiedzieć, gdzie się podział pies Dordża, niech zajrzy do miski...” - i tu moje imię. I od tej pory zaczęło się o tym mówić.

Może to był błąd, że to wycięte nożem zdanie zostało tam tyle lat. Co prawda, coraz bardziej ciemniało i zanikało, a w końcu kiedyś budka została rozebrana. Ale wtedy już nie chodziłam do szkoły i nikt nie podejrzewał, że z moją mamą coś jest nie w porządku.

To, co się działo w somonowym centrum, nie miało nic wspólnego z tym, co działo się u nas w domu, i na odwrót.

Z czasem te dwa światy zaczęły coraz bardziej się od siebie oddalać. Z Narą i Magi spędzałyśmy teraz więcej czasu w internacie i ger naszych rodziców stawał się dla nas czymś niezwykłym i tymczasowym, tak samo jak w tamto pierwsze ciepłe, wrześniowe popołudnie dziwny i obcy wydał się nam chuchdijn cecerleg.

W naszym białym, omotanym sznurami, wołokowym namiocie, z kupą argalu do palenia w piecu, wilkopodobnymi psami i drzwiami, na których świętym progu, odkąd pamiętam, nikt nigdy nie postawił stopy, bywałam raczej w snach niż naprawdę. I później też nie miało być inaczej.

Nigdy nie zapomnę tych koszmarnych nocy, kiedy miałam może dziesięć lat. Mamy z tatą ani śladu. Moje sny pełne były wycia drapieżników, nasze osłonięte przez góry zimowe miejsce - puste, i nie miałam dokąd wrócić. Bo oni na mnie nie poczekali. I widziałam wyraźnie, jak w oddali coś się kołysze, tak zawsze kolebały bokami wielbłądy, kiedy ciągnęły nasze pomarańczowe rzeźbione sprzęty i wszystkie żerdzie, i środkowy drewniany słup, który podpierał nasz ger i podtrzymywał też niebo nad nami, żeby nie spadło, bo do podparcia nieba nigdzie, jak okiem sięgnąć, nic innego nie było, może tylko góry, które osłaniały nam plecy, ale nawet te obojętne, kamienne kolosy same nigdy nie utrzymałyby nieba. W tych snach dużo biegałam, coś goniłam, a w tym czasie nasza rodzina znikła za rozpalonym horyzontem, ja zaś przeczuwałam, że ma to jakiś związek z tym napisem w budce, gdzie chodziłam sikać albo tylko sobie przykucnąć, kiedy nie chciałam nikogo

widzieć, nawet Nary. Na te wycięte słowa patrzyli wszyscy, kiedy się tam w półmroku wysilali. Wyrżnięto je wielkimi, wyraźnymi literami.

Nara spała koło mnie, ale w te noce byłam sama. Tylko z wyciem drapieżników, w którym słyszałam czasem jękliwy płacz Ojuny, kiedy wieczorem straszyłam ją w gerze Uregmą, a ona już rozumiała wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że bez mamy nie ma z nami szans. W te noce gryzły mnie pierwsze wyrzuty sumienia.

Możliwe, że i Nara miała takie noce, chociaż może i nie, bo kiedy nie mogłam tego wytrzymać, to kilka razy przyszłam do niej do łóżka, ale ona do mnie nigdy.

Magi spała w sypialni razem ze starszymi, więc nie wiem, jak to z nią było. Ale nie myślę, żeby Magi mogła mieć takie złe noce i rozmyślać podobnie jak ja. Nigdy się z nami nie bawiła ani dużo nie rozmawiała.

Niewiele o niej wiem, najlepiej pamiętam jej mlecznoperłową twarz i ciemne rozmarzone oczy. Była najwyższa z nas i chyba najmądrzejsza, przynajmniej w szkole radziła sobie lepiej niż my. A ja myślę, że była zbyt leniwa na to, żeby tato kochał ją bardziej niż nas. Że na to nie zasłużyła. Ale powiedział to dopiero, kiedy umarła, a my wszystkie wiedziałyśmy o tym już wcześniej.

Kiedy przyniosłam i pokazałam tacie małą Dolgormę, jego pierwszą wnuczkę i czwartą o tym imieniu w naszym rodzie, zaraz zaczął mówić o Magi i pociągać nosem z przejęcia, więc mu ją odebrałam i odeszłam, bo nie będę się użalała nad tatą, skoro nie jestem dla niego wystarczająco dobrą córką.

Było to już wiele lat po tym, jak Magi zabiła się w czasie Nadamu, jako pierwsze i - chwała Burchanowi - na razie jedyne z dzieci Alty i Tulega, moich rodziców.

Kiedy byliśmy bardzo małe, a Ojuna jeszcze błędziła gdzieś po sansarze albo była górską kozicą, a może starcem stojącym nad grobem w jakimś odległym ajmaku, najlepiej z nas wszystkich konno jeździła Nara. Wtedy mama nie miała jeszcze ani jednego siwego włosa, a tato, kiedy owinięty wilczą skórą czyhał przed jamą tarbaganów, zawsze upolował co najmniej dwa albo trzy wystraszone stepowe susły.

Potem, gdyśmy się już najedli, a tato nie musiał jechać do stada, sadzał nas w naszych małych siodłach i jeździliśmy powoli w rzędzie, jedna za drugą. Tato prowadził, a myśmy jechały i palcami wpijałyśmy się koniom w szyje; grzywy biły nam w twarze zapachem nagrzanego przez słońce końskiego piżma i muskały nas grubym włosiem.

Czasami jeździliśmy we dwójkę na jednym koniu, a ja najbardziej lubiłam siedzieć przed tatą. Mogłam wtedy odchylić się do tyłu i oprzeć, i czuć we włosach ruchy jego rąk, które nakazywały koniowi co i jak. Mama rzadko do nas dołączała, jeździła tylko, kiedy musiała, nie bawiły jej takie wycieczki, które nie kończyły się modlitwami przy owie albo odwiedzinami u Munchceceg i Majdara. Pod tym względem przypominała babcię. Oprócz tego miała stracha, i gdyby ktoś ją pytał o zdanie, to zaczęłybyśmy się uczyć o wiele później, Nara nie zajęłaby drugiego miejsca w ajmakowych zawodach trzylatków i być może Magi by się nie zabiła, bo nie byłaby tak bardzo pewna siebie, żeby startować w największej gonitwie konnej naszej ziemi - w Nadamie.

Ja zawsze jeździłam nie najgorzej, ale nie mogłam mierzyć się z Narą. Kiedy przyjechałyśmy do domu, chyba na piąte wakacje, nareszcie znowu dwa miesiące poza internatem, okazało się, że Magi, Burchan wie dlaczego, jest strasznie do przodu. A potem następne i jeszcze kolejne wakacje wypełnione były zażartym współzawodnictwem moich sióstr.

Nara nie chciała oddać swojego pierwszeństwa, więc całe dni zajmowałam się Ojuną albo razem z mamą w gerze patroszyłam i gotowałam, podczas gdy Magi i Nara uganiały się po całym ajmaku, żeby ustalić swoje pozycje, chociaż żadna z nich tak tego nie nazwała. Niby objeżdżały nowe siodła, trenowały dwuletnie dzikie klaczki albo pod pozorem zakupów gnały do somonowego centrum i z powrotem. Wieczorem wracały zgrzane, słaniały się na nogach, a ja nie miałam z kim rzucać owczymi kostkami, bo obie od razu kładły się i zasypiały. Wtedy nie mogłam ścierpieć Magi bardziej niż normalnie, bo Nara była moja, a ona zagarniała dla siebie coś, co było moje i tylko moje. Życzyłam Narze, żeby przegrała, żebym mogła ją tulić i pocieszać, żeby w końcu się przekonała, że mnie jest potrzebna naprawdę, a nie jak Magi - tylko do rywalizacji. Wreszcie sprawy się wyjaśniły, siostry skończyły z całodziennymi wycieczkami, a Magi powoli zaczęła przygotowywać się do Nadamu.

Nadam co roku odbywa się jedenastego i dwunastego dnia siódmego miesiąca. Jest to wielkie wydarzenie we wszystkich somonowych i ajmakowych miastach, a największe - w Mieście. Oprócz zawodów konnych są jeszcze zapasy i strzelanie z łuku, ale to nigdy nie wydawało mi się ciekawe.

Tego lata przed Nadamem Magi znowu jeździła codziennie. Miała wtedy szesnaście czy siedemnaście lat i rodzice zaczęli już mówić o weselu, ale świat widziany z grzbietu konia musi się wydawać straszliwie rozpędzony i nieostry, więc Magi w tej kolorowej, rozmazanej plamie somonowego centrum, koło

którego dzień w dzień gnała jak szalona, nie mogła upatrzeć dla siebie" żadnego kawalera.

Obie z Narą opaliłyśmy sobie koniuszki włosów i modliłyśmy się najlepiej, jak umiałyśmy, bo Magi chciała wygrać, a to był jedyny sposób, w jaki mogliśmy jej pomóc.

Łąka, na której odbywa się Nadam, znajduje się na północ od centrum Miasta. Z jednej strony obramowuje ją Toła, rzeka, w której nikt się nigdy nie kąpie, a na jej brzegach zawsze jest pełno kobiet, które moczą tu dywany i trą szczotkami kolorowe wzory. Po drugiej stronie łąki znajduje się targ mięsny, płócienny namiot z mnóstwem much i haków z baranim łojem.

Na Nadam pojechaliśmy wszyscy.

Ojuna też chciała być ważna, więc uprosiła rodziców, żeby pozwolili jej wziąć udział w zawodach dla pięcioletnich dzieci, ale potem tuż przed startem schowała się pomiędzy blaszanymi beczkami z wodą, a my szukaliśmy jej gorączkowo, i przez te poszukiwania o mało nie spóźniliśmy się na początek wyścigu, w którym uczestniczyła Magi.

Magi jechała dobrze. Dokładnie tak, jak radził jej tato. Nie pędziła i najpierw trzymała uzdę luźno, żeby koń odnalazł swoje własne tempo. Kiedy przejeżdżała koło nas, mama miała w oczach łzy, a Ojuna tak wrzeszczała, że gdyby jej tato nie trzymał, wybiegłaby pomiędzy inne konie, żeby je spłoszyć, i wtedy nikt nie mógłby Magi dogonić. Magi mogła być druga albo trzecia, ale potem, kiedy mijała czacarganowe zarośla, stało się coś strasznego. Koń dobiegł do mety sam. Magi spadła i złamała sobie kręgosłup. Pozostałe konie przeskakiwały przez Magi, tato rzucił się pomiędzy nie, i pamiętam tę martwą ciszę, kiedy potem się podniósł, a nasz wzrok zawisł na jego oczach.

Pośród ryku, który nagle się rozległ, otworzyła się brama. Mama zaczęła krzyczeć, a ja zobaczyłam nicość, niby paszczę wielkiego, zatrutego kwiatu, niby niekończący się tunel, gardziel, w którą wpadał raz po raz wizerunek mojej siostry, zostawiając po sobie pustą przestrzeń na wieczny płacz, i wiedziałam, że po raz pierwszy patrzę w ciemność i że nie wolno mi się zachwiać.

Magi umarła bardzo szybko, a my nazajutrz zanieśliśmy ją na nasze miejsce i ułożyliśmy pomiędzy kamieniami. Kiedy przyszliśmy tam po czterdziestu dziewięciu dniach, nic już z niej nic nie zostało, i wszyscy, nawet Ojuna, uklękliśmy, a potem po zachodzie słońca bez słowa wróciliśmy do domu. Tatę wtedy po raz pierwszy widziałam pijanego tak, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Mama wstawiała rano razem ze słońcem, żeby na dworze zrobić wszystko, co zawsze robił tato, i to w mig. Wracała zmordowana i szara na

twarży, a tato przez ten czas siedział koło geru albo jeździł z butelką do naszego miejsca w Czerwonych Górach. Kiedy wracał, z daleka mogłyśmy poznać jego oklapłą sylwetkę w karminowym delu, a koń się pod nim miotał, bo tato przewalał się na jego grzbiecie z boku na bok i ściągał go to w prawo, to w lewo.

Kiedyś, gdy szłam sama po argal, zobaczyłam tatę, który siedział oparty o skałę. Był brudny, a z przechylonej butelki wyciekał bezbarwny strumyk i ginał w trawie. Tato odpędził mnie machnięciem ręki i ukrył twarz w dłoniach. Odeszłam. Tego wieczoru w ogóle nie wrócił do domu.

Rano obudził mnie trzask gałązek, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam w odbłaskach ognia twarz taty, który się pochylał i rozdmuchiwał żar na budany szol, zupę z kluskami, nasze poranne jedzenie.

Mama tego dnia już nie poszła do stada, a tato złapał ostatnią butelkę i za gerem cisnął ją w step.

Kiedy tato był w takim stanie, przyjechała do nas na jakiś czas młodsza siostra mamy, Szarceceg. Jej imię było jak najbardziej na miejscu, bo gdyby Żółty Kwiat nie zjawiała się w tych złych czasach, nie wiem, co by z nami było.

Na twarzy Szarceceg zawsze jaśniał pogodny uśmiech. Była trochę młodsza od mamy, ale po wyrazistym, cienkim nosie i szczupłej, lecz obfitej w biodrach figurze można było poznać, że płynie w nich jedna krew. Szarceceg zajmowała się domem przez cały ten czas, kiedy mama była przy stadzie, a wieczorem nacierała jej nogi mlekiem i rozczesywała warkocz, zlepiony potem i kurzem. Pilnowała Ojuny, nam zaś wynajdywała zajęcia, żebyśmy zostawiły tatę w spokoju i nie wysiadywały przed gerem, rozmawiając o Magi. Dzień z Szarceceg od rana do wieczora był wypełniony mnóstwem różnych drobnych prac, które mnie nudziły. Nie rozumiałam, po co mamy czyścić płachtę geru albo gotować jakieś niepotrzebnie skomplikowane potrawy, kiedy zawsze wystarczał nam churag z budzami, ale niezależnie od tego obie z Narą bardzo lubiłyśmy Szarceceg.

Przy mamie nigdy nie chodziłyśmy głodne i nie musiałyśmy się niczego bać. Pilnowała, żebyśmy raz w miesiącu zmieniały del. Kiedy chorowałyśmy, podtrzymywała nam głowę, żebyśmy mogły się napić, i oddawała nam swoje mięso, kiedy tato był głodny, a owcy nie starczyło dla wszystkich. Ale jak byłyśmy z mamą, to nigdy nie działo się nic ciekawego. A Szarceceg się śmiała i umiała mówić tak komicznie, że zwijałyśmy się z Narą na ziemi, aż bolały nas brzuchy i cały ger trząsł się od naszych wrzasków, a tato wyprawiał się daleko od domu i brał dwie butelki zamiast jednej. Wieczorem, kiedy w jurcie nie było nikogo oprócz nas, Szarceceg opowiadała nam historie o duchach.

Po ciemku z rozpuszczonymi włosami przypominała Uregmę, tak jak kiedyś babcia, a mnie przyszło do głowy, że Ojuna musiała się okropnie bać, kiedy straszyłyśmy ją tą wiedźmą. Nikt nie umiał wymyślać takich historii jak Szarceceg.

Wszystkie jej opowieści były tajemnicze, dziwne, i żadna z nich się nie powtarzała. Na dworze huczało szoro, ger falował, płachty szeleściły od uderzeń piasku, na step wyłaziły węże, a z gór dobiegało nas wycie wilków, i wtedy czułam, że wszystkie historie Szarceceg są prawdziwe. Gdy raz szeptem wyznałam to mamie, powiedziała, że mam bujną wyobraźnię. I dlatego Szarceceg była lepsza.

Siostra mamy była pierwszą osobą z Miasta, którą poznałam. A ponieważ teraz ja byłam najstarsza, obiecała, że weźmie mnie do siebie. Kiedy tato już zaczął normalnie zajmować się wszystkimi męskimi pracami, jeszcze zanim mama odesłała Szarceceg do domu, Żółty Kwiat wzięła mnie na bok. Miałam wprowadzić przed sobą trzy lata szkoły, ale byłam gotowa spakować swój odświętny del, złapać trochę suszonego mięsa i wyjechać jeszcze tego samego dnia. Szarceceg powiedziała jednak surgulijg togsochj ostoj, no i nie pozostało mi nic innego, tylko czekać jeszcze trzy lata.

Trzy lata pełne marzeń o prawdziwym życiu, które toczy się gdzieś nieprzerwanie i nic o mnie nie wie. Trzy lata, które spędziłam w widmowej obojętności, ponieważ nic, co działo się wokół mnie, nie było dla mnie wystarczająco dobre. Obietnica Szarceceg stała się moją obsesją, a ja wyrывałam się tam, gdzie spotykały się marzenia wszystkich dziewcząt z somonowych osad - tam, gdzie wszystkie one opalały sobie skrzydła jak ćmy.

Tego obiecanego lata Szarceceg naprawdę przyjechała.

Pojawiła się nagle na uroczystości zakończenia roku szkolnego w naszym somonowym domu kultury. Tego dnia dom kultury pękał w szwach.

Zjechały się całe rodziny tych wszystkich, którzy razem ze mną skończyli somonową szkołę. Rodzice mieli uroczyste odebrać swoje dzieci, tym razem po raz ostatni, i wywieźć je z powrotem, już na dobre, do swojego świata.

Do sali naznosiliśmy krzesel, na wielkim kartonie, zawieszonym nad sceną, napisaliśmy „Tawtaj morilno”, a kierownik szkoły wygłosił płomienną mowę o naszej przyszłości.

Nasza szkoła miała swoich sławnych absolwentów. Culeg był orłem naszej reprezentacji w strzelaniu z łuku, Dawa wyszła za dargę z chubsugulskiego ajmaku, a bliźniacy Uram i Caganbulag przed dwoma laty otworzyli w Mieście sklep z częściami samochodowymi, i podobno szło im bardzo dobrze.

Między krzesłami plątali się nasi koledzy ze szkoły i rozdawali z pudełek jabłka i kawałki arulu, który władze somonu zakupiły specjalnie na tę okazję. Szarceceg siedziała w pierwszym rzędzie, musiała przyjść bardzo wcześnie, żeby zająć takie miejsce. Kiedy recytowaliśmy na podium wiersze Jawuchulana, a potem po kolei podchodziliśmy do przewodniczącego, żeby uścisnąć mu dłoń, co chwila puszczała do mnie oko. Dostałam jedno z najlepszych świadectw w szkole, mama oparła je potem w domu o naszego małego Burchana, ja sobie trochę razem z Narą popłakałam, a tato dał mi kilka rad. Mówił, żebym w Mieście od razu nie dała się nikomu oszukać, bo on tam był i nikomu nie wierzy, i że to jest właśnie najpewniejszy sposób, żeby nie skończyć źle.

Ojunie Szarceceg przywiozła ogromną kokardę do włosów, taką, jakie noszą małe Rosjanki, i kiedy siostra się ze mną zegnała, wyglądała, jakby się jej na głowie zagnieździł chybotliwy niebieski ptak.

Droga była okropna. Ledwieśmy ruszyli, tengerowie spuścili z nieba potoki wody, a step, który nie jest nawykły do picia, w dwie godziny zmienił się w bezkresne bagnisko, w którym nasz dżip co chwila buksował, a kompletnie przemoczeni Szarceceg i kierowca popychali go z tyłu.

Siedziałam na swoim worku z rzeczami i patrzyłam przez okno, bo nie chciałam sobie uświnić odświętnego delu od mamy, a zresztą Żółty Kwiat też mówiła, że mam nie wysiadać.

Z Czerwonych Gór nie ma żadnej drogi do Miasta, ale nasi kierowcy znają szlak jak zwierzęta i nawet kiedy jeżdżą nocą albo po pijaku, żaden z nich nigdy się nie zgubi. I tak jechaliśmy godzinami przez góry, gdzie tylko pokręcone szpony drzew albo jakaś zbłąkana wielbłądzica z młodym przypominały o życiu, a potem znaleźliśmy się na równinie, gdzie aż po horyzont byliśmy zupełnie sami, ja zaś mówiłam sobie, że lada chwila coś się przecież musi pojawić, ale dopiero wieczorem dotarliśmy do trzech wyniosłych, samotnych jurt i za parę tugrów dostaliśmy nocleg i zupełną kluskami, a następnego dnia z samego rana ruszyliśmy dalej.

Nasza rodzina miała kilka obozowisk - oprócz naszego ulubionego w Czerwonych Górach jeszcze pod Baga Ul, koło Muromu i czwarte, które nazywaliśmy malunkowym, ponieważ niedaleko na skałach widniało mnóstwo malunków, prastarych rysunków i ozdób naszych przodków. Nikt ich nie rozumiał. Malunki były też w Czerwonych Górach.

W końcu wszystkie te miejsca nazywaliśmy Czerwonymi Górami. A mogły być od siebie oddalone nawet o parę dni drogi, jeśli pogoda akurat była zła. Ale takiej długiej podróży, jak wtedy z Żółtym Kwiatem do Miasta, nigdy przedtem

nie przeżyłam. Świat okazał się o wiele większy, niż człowiek mógł sobie w ogóle wyobrazić, a za każdym wzgórzem jeszcze bardziej się rozszerzał, i tak bez końca.

Po drodze podwieźliśmy kawałek jakąś kobietę z niemowlęciem w płachcie, oboje byli już porządnie wysuszeni, bo godzinami czekali w upale, a ja zastanawiałam się, czy ci ludzie są już pod jakimś względem inni niż my. Od Miasta dzieliło nas niecałe pół dnia drogi, dopiero tam wszystko miało być zupełnie inne. Mongołka w czasie jazdy milczała i wysiadła przy swoim gerze bez jednego słowa podziękowania.

Po godzinie zza góry wychynał pierwszy komin elektrociepłowni w Ułan Bator. Chciałam zobaczyć lotnisko, ale lotnisko było dalej, żeby samoloty nie spadały na domy, więc nic z tego nie wyszło. Za to widziałam największy dom towarowy w naszym kraju. Surowy, wysoki, przeszklony budynek, naprzeciwko niego betonowy cyrk, po obu stronach ulicy mnóstwo małych budek z kolorowymi herbatnikami, brązowymi i zielonymi butelkami z lemoniadą, małe stragany z owocami, wagą i telefonem, oraz baby, które sprzedają na sztuki pogniecione papierosy.

Kiedy wjeżdżaliśmy ulicą z każdą chwilą głębiej w Miasto, wszystko jakby gęstniało, a ludzie miotali się coraz bardziej gorączkowo; potem za placem skręciliśmy w lewo, i wtedy poczułam ulgę, bo ludzie nagle gdzieś wsiąkli i zostało ich może tyłu, ilu się zawsze nazjeżdża do somonowego centrum na Nadam, a coś takiego już znałam.

Osiedle, na którym mieszka Szarceceg, nazywa się Sansar. Jest to dobra dzielnica. Mieszkają w niej porządne rodziny, które w Mieście są już długo, pośród mieszkańców jest niewielu Chińczyków i w ogóle ludzi innych narodowości, i bardzo dobrze. Szarceceg zapłaciła kierowcy pieniędzmi, które jej mama wcisnęła do ręki, kiedy szykowałyśmy się do drogi. Ja miałam nieprzyjemne wrażenie, że tymi pieniędzmi mama chce coś okupić. Ale trwało to tylko chwilę, bo potem ten Mongoł, co nas wiozł, odszedł, Szarceceg wcisnęła mi do ręki kawał koziego mięsa, które dał nam tato, i wskazała swoje drzwi.

Stałyśmy przed blokiem z wielkiej płyty, który miał się stać moim nowym niemal domem, tak sobie wtedy w duchu mówiłam, ponieważ nie wiem, czy myśl, że do naszego geru nie wrócę przez długie lata, by mnie nie zabiła. Dopiero co skończyłam szesnaście lat, byłam po raz pierwszy w Mieście i wiedziałam tylko tyle, że właśnie spełnił się mój sen.

Pewnie wtedy myślałam, że obejrzę wszystkie te sklepy, nakupię sobie ciastek z marmoladą, opiję się lemoniadą z bąbelkami, zwiedzę Muzeum

Rewolucji i wróć do domu. Sama już nie wiem, co sobie wtedy wyobrażałam, co mi chodziło po głowie. Na pewno nie miało to nic wspólnego z pracą ani z pieniędzmi. To mi nawet nie powstało w głowie. Codziennie oglądałam nowe rzeczy, i było tego dużo. Ale od razu na początku zaskoczył mnie mąż Szarceceg. Nie uprzedziła mnie o nim. Myślałam, że będziemy mieszkały tylko we dwie. A do tego ten Mergen cały dzień przesiadywał w kuchni. Nie wiedziałam, czy powiedziała mu o mnie. Miał obojętną minę, przez parę pierwszych dni w ogóle mnie nie zauważał.

Szarceceg szybko zrozumiała, że nie mam bladego pojęcia o dorosłym życiu, więc po kilku dniach, kiedy większość tego, co dostałam od rodziców, wydałam na słodkie rożki ze straganów, a oprócz gorących pochwał i podziękowań, którymi ją zasypywałam, nie miała ze mnie żadnego pożytku, zrozumiała, że ktoś musi mi pokazać, co to jest życie. Kiedy tak, może po tygodniu, siedziałyśmy przy porannym posiłku, a ja grzebałam widelcem w resztkach mięsa, bo od tych wszystkich miejskich pokus całkiem mi się popsuł żołądek, Szarceceg zaczęła mówić. Przypominała mi tatę. Mówiła to, co już wiedziałam. Że Miasto jest niebezpieczne, a ja bardzo młoda i niedoświadczona, i że powinnam uważać, żeby nie dać się nabrać na te różne kina i parówki w puszkach, i malutkie radyjka, i delikatne chustki, krótko mówiąc, na wszystko, co tak podziwiałam i chciałam mieć, bo chociaż ten świat wygląda wesoło i elegancko, to często jest tu w robocie nóż. Częściej niż u nas.

W Czerwonych Górach nożem zarzyna się krowy, ale tutaj ludzie wbijają go jeden drugiemu w plecy, oznajmiła na koniec Szarceceg i pewnie myślała, że kolana zaczną mi się trząść ze strachu albo wskoczę na siodło i zawrócę do swojego ajmaku. Ale ja znałam te gadki. Ciągłe ktoś z nimi wyskakuje, i to głównie do młodych, żeby przydać sobie ważności, bo młodzi jeszcze niczego nie przeżyli i nie mogą odparować żadnym przemądrzałym morałem. Więc tylko mruknęłam „hmmm” i dalej gmerałam w mięsie. Ale Żółty Kwiat znowu na mnie naskoczyła i tym razem miała rację.

Nie przyszło mi do głowy, że pieniądze mogą być jakimś problemem, więc tylko kiwałam głową na wszystko, co dotyczyło tego tematu. Przyznałam, że jest ze mnie nieodpowiedzialny dzieciak i że jak najprędzej muszę rozejrzeć się za jakąś pracą. Szarceceg wyrzuciła resztki jedzenia przez okno i powiedziała, że mam się zbierać, pójdziemy razem czegoś poszukać.

Żółty Kwiat nie była taka jak inne dorosłe kobiety. Na przykład w ogóle nie ma porównania z mamą. Więcej mówiła, więcej się śmiała i więcej myślała. Przynajmniej tak mi się wydawało, bo zawsze miała mnóstwo pomysłów,

interesowało ją wiele rzeczy i nigdy się nie zdarzyło, żeby na to, co mówię, odpowiadała takim bezmyślnym przytakiwaniem jak mama. Zawsze odnosiłam wrażenie, że mnie słucha, a ponieważ było to coś nowego, od pierwszej chwili bardzo sobie ceniłam jej zainteresowanie. Może właśnie to uważne słuchanie tak mnie do niej przyciągało, bo Miasto nie nęciło mnie tym, że były tu te wielkie ulice i lśniące wystawy sklepowe, ale tym, że była tam ona. Chociaż zanim przyjechała do nas Szarceceg, żeby zająć się nami po tym, jak Magi się zabiła, nawet o tym nie pomyślałam. Dotarło to do mnie dopiero trzy lata później, kiedy wstałam od stołu i poszłam się ubrać do wyjścia, bo Szarceceg powiedziała, że pójdziemy szukać dla mnie pracy. Nie wiedziałam, jak w Mieście odbywa się szukanie pracy, więc ubrałam się i posłusznie poszłam za nią, ona już przecież wiedziała, co to jest życie.

Na schodach spotkałyśmy Mergena, trochę mu się plątały nogi, a ja przez te parę dni już zdążyłam się dowiedzieć, że na śmierć zapijają się nie tylko Mongołowie, którzy tracą dziecko, ale że piją też zwykli ludzie, którym niczego nie brakuje, którzy mają rodziny, mieszkanie w bloku i żyją w Mieście. Ilu mieszkańców naszego somonowego centrum oddałoby pół stada za to, żeby mieć swoje mieszkanie w bloku w Mieście! A ja co dzień widziałam ludzi, którzy byli nieszczęśliwi. Myślałam, że sami nie wiedzą, co mają, że są głupi, a wódkę zrozumiałam o wiele później.

Mergen przytrzymał się poręczy, oczy zamglila mu wódczana błona, zamiast rąk miał toporne kłoc drewna, które nagle, kiedy go mijałyśmy, sięgnęły po mnie.

W tej chwili mnie olśniło, że już go gdzieś widziałam. Te wyciągnięte ręce tkwiły w mojej pamięci.

Może chciał się czegoś przytrzymać, tylko się chwycić i chwilę odpocząć, a może rzeczywiście chodziło mu o to, żeby mnie objąć, ale tak czy tak, grubo się pomylił. Bo za mną szła Żółty Kwiat. Wywinełam się spod jego dłoni, które czegoś szukały, a on zwał się z głuchym odgłosem na schody jak wór z mąką. Szarceceg pomogła mu wstać, doprowadziła go do mieszkania, otworzyła, wepchnęła go do przedpokoju i zatrzasnęła z westchnieniem drzwi, a ja tylko zdążyłam zauważyć jego zdziwione spojrzenie, którym mnie ugodził, kiedy Szarceceg pomagała mu wstać. Wiem, mogłam go podtrzymać, ale nie chciałam, żeby mnie dotknął. Wyczułam, że chodzi mu o mnie, a nie o Żółty Kwiat. Że wcale się nie pomylił. Że jego wyciągnięte ręce lgnęły do mojego ciała, a w tym przekonaniu było obrzydzenie, to poczucie miało odór jego nieprzyjemnego oddechu i przytłaczało ciężarem męskiego ciała.

Nie wiedziałam, co zamierza Szarceceg, nie miałam pojęcia o tym, jak to jest, kiedy pracuje się dla kogoś, ale jedno było pewne, że ona to jakoś załatwi, więc szłyśmy ulicą, a ja patrzyłam na ludzi w zatłoczonych autobusach, i na Rosjan, i na Mongołów, którzy chodzili ubrani tak jak Rosjanie, bo wszystko to dla mnie ciągle jeszcze było nowe. Zatrzymałyśmy się przed jakimś guandzem, a Szarceceg kazała mi poczekać. Weszła do środka i po chwili wyszła z jakimś Mongołem. Śmierdział gotowaną baraniną, a tłuste ręce wycierał w utyłany fartuch. Pewnie główny kucharz, spodziewałam się, że Szarceceg nas przedstawi, ale on tylko zmierzył mnie wzrokiem, skinął głową i zniknął w środku.

Potem przy kolacji w moim niemal-domu Szarceceg rzuciła, że jutro po raz pierwszy pójde do pracy. Było jasne dokąd.

Guandze znałam już wcześniej. Na wsi niewiele mamy rzeczy wspólnych z Miastem, ale guandze tak.

Ludzie wszędzie muszą jeść.

Tylko że nasz guandz był gerem stojącym w połowie drogi między Czerwonymi Górąmi a somonowym centrum, gdzie często zatrzymywaliśmy się na tanią zupę albo letnią mocną herbatę, a w mieście taka zaparowana garkuchnia znajdowała się na każdej ulicy. Wszędzie mieli budzę, churag, lemoniadę i herbatę, i tak samo było u nas.

Z przodu cztery stoliki, dalej lada, a z tyłu Erka i Purew zajmowali się gotowaniem. Oboje znali Szarceceg, więc odnosili się do mnie dobrze i nie gniewali się, nawet kiedy robiłam coś nie tak.

Przez pierwsze parę dni wycierałam stoły i podłogę, zmywałam naczynia, nalewałam herbatę i tylko czasem zamieszałam w jakimś garnku, więc nie mogłam dużo popsuć. Ale potem zdarzało się, że zostawałam w guandzu całkiem sama, w kłębach pary myliły mi się garnki i miotałam się cała spocona, podczas gdy ludzie przy ladzie pokrzykiwali, a kluski kipiały i wypływały z rondli. Z czasem jednak wszystko doszło do normy, ja miałam pracę i jakieś pieniądze, a Szarceceg swój spokój.

Czym zajmowała się ona, nie wiedziałam. Mergen przeważnie przesiadywał w domu albo na ulicy i pił.

Mergen był tym niewyglądającym na Mongoła człowiekiem, który przyszedł do naszego geru, kiedy byłam dzieckiem i leżałam chora. Mam dobrą pamięć do twarzy.

Wtedy po raz pierwszy poczułam, że mama ma nie tylko mnie, Magi i Narę, ale i inne sprawy, którymi się przejmuję i które ją smuca. I dlatego to jego niepewne, rozdygotane Ignięcie do mnie wydało mi się tak odrażające. W

podobny sposób spoglądał na mamę, a ja przecież widziałam, jak mama przez niego traci głowę i nie wie, co robić. W jego wódczanym spojrzeniu migwały odbicia jej oczu, kiedy stali razem przed gerem i gestykulowali zawzięcie, a ja chciałam, żeby mama była przy moim łóżku i trzymała mnie za rękę, i bałam się, że zniknie razem z nim i że już nigdy nie wróci.

To mi wciąż chodziło po głowie. Czułam na sobie spojrzenia Mergena, kiedy stałam przy kuchni albo wieczorem przy jedzeniu, kiedy Szarceceg kładła się spać, a ja zostawałam z nim przy stole i czekałam, aż w końcu walnie czołem o blat; potem brałam go pod pachy i ciągnęłam do pokoju obok, gdzie Żółty Kwiat już głęboko oddychała przez sen.

Dopiero kiedy zamknęłam drzwi od ich pokoju i sprzątnęłam kuchnię, miałam spokój.

Mogłam wyciągnąć się na tapczanie naprzeciwko stołu, i zaraz był następny ranek.

Z guandzu zawsze wracałam zmęczona, nogi miałam ciężkie, a ręce gorące i czerwone od mycia misek.

Dni przeciekały jeden w drugi, a z mojej głowy wypłukiwało się wszystko oprócz spraw związanych z jadalnią. Nasza rodzina w Czerwonych Górach, moja szkoła, moje wyobrażenia o życiu w Mieście, wszystko gdzieś umykało, i wiedziałam o tym, ale nic na to nie mogłam poradzić.

Byłam tutaj i potrzebowałam pieniędzy.

Erka i Purew byli bardzo dobrzy. Olbrzym Purew zawsze miał wykrochmalony fartuch upakowany kluskami i tłustym brudem, bo ciągle w niego wycierał ręce. Wyglądał jak ogromniasty chan z zimowych opowieści. Wieczorem zawsze dawał mi resztki z chuszurów, więc Szarceceg i Mergen mieli kolację. Erka była drobna i bardzo szybka. Ciasto w jej rękach tylko migало, a przy tym jeszcze miała oko na mnie, wdawała się w pogawędki z ludźmi, którzy zachodzili do nas codziennie, i pomagała nosić mięso, które przywoził Purew. Były miesiące, kiedy wołałam przebywać z nimi w kuchni niż w domu. Purew czasami zabierał mnie ze sobą na targ mięsny, żebym pomagała mu wybierać towar, bo jestem ze wsi i powinnam się na tym znać. A ja znałam się bardziej na zwierzętach niż na mięsie, ale dla niego to było bez różnicy.

W gerze gotowałam mięso, które dawała mi mama, a zwierzęta zabijał tato. Tylko on to potrafił i był w tym bardzo zręczny. Kładł owcę na plecach i lekko przyciskał ją kolanem, nacinał jej brzuch, wkładał do środka rękę i powoli dogrzebywał się do serca, które ścisnął palcami, i czekał, aż owca uśnie. Aż leciutko wierzgnie kopytkami, wzdrygnie się, a potem oczy zrobią się jej

szkliste, jakby nagle posmutniała, a ciało oklapnie. I po wszystkim. Niemal za każdym razem obeszło się bez jednej kropli krwi. Ale na targu mięsnym było mnóstwo krwi. Przy długich stołach, pełnych obdartych ze skóry kawałów krowich, owczych i kozich tusz, stały kobiety i zachwalały swój towar, i co chwila brały mięso do ręki i obracały, żeby było widać zawsze tę ładniejszą stronę. Mężczyźni w fartuchach snuli się z tasakami i długimi nożami koło swoich haków, żeby szybkim ruchem odciąć kawałek, który ktoś chciał.

Targ mięsny był w namiocie, gdzie zawsze tłoczyło się mnóstwo ludzi. Chodziłam tam z Purewem całkiem chętnie, udawałam, że się na tym znam, a kiedy po paru tygodniach nabrałam śmiałości, mogłam się targować z przekupkami o dobrą cenę choćby całą godzinę. Potem musieliśmy szybko wracać, bo do naszego guandzu codziennie przychodziły tłumy ludzi i Erka w południe sama nie dałaby sobie rady.

Niektórzy Mongołowie pojawiali się tylko raz, inni bywali często. Gotowaliśmy dobrze, nie sypaliśmy do chuszurów tyle mąki, co w innych jadłodajniach, a nasze budzę były mało chrząstkowate i dobrze przyprawione. Nawet mi w głowie nie powstało, że Bjamchu zagląda do nas tak często akurat z zupełnie innego powodu.

Bjamchu był ode mnie trochę starszy i wpadłam mu w oko.

Miałam już siedemnaście lat, ale w tych sprawach byłam jak dziecko. Wiedziałam, o co chodzi, czasami ktoś mi się podobał, i na tym koniec. Bjamchu przychodził do nas wytrwale dzień w dzień przez trzy miesiące, sypał dowcipami, śmiał się do rozpuku i zamawiał podwójne porcje. Za każdym razem pytał, co tam dzisiaj dobrego ugotowałam, i tak długo snuł się koło lady, że wszyscy w końcu wiedzieli, o co chodzi. Do mnie dotarło to dopiero wtedy, kiedy Erka zaczęła się ze mnie podśmiewać, a potem tego samego wieczoru Bjamchu się ze mną umówił.

Był z niego dobry chłopak, miał poważne zamiary i pokazał mi w Mieście wiele różnych miejsc. Mieszkał z rodzicami i dwoma braćmi niedaleko nas i każdego dnia po pracy odprowadzał mnie pod sam dom i mówił o naszej przyszłości. Czasami wieczorem zapraszał mnie do Tornada na kieliszeczek wódki Bolor i podwójną żółtą lemoniadę. Jeśli było trzeba, jeździł z Purewem po mięso albo organizował nowe krzesła, kiedy pijany Gamba w szale rozwaliał je o ladę. Ale nawet po tylu tygodniach nie zaprosiłam Bjamchu do domu, a potem to już było niemożliwe.

Ta obrzydliwa rzecz stała się wkrótce po tym, jak w którąś niedzielę siedzieliśmy razem nad rzeką i przyznałam mu się, że jeszcze z nikim nie byłam.

Kiedys cały wieczór graliśmy z Mergeniem w domino, i ja ciągle wygrywałam, więc za każdym razem mi gratulował i podtykał butelkę, a ja tylko moczyłam usta, ale potem zaczęłam z niej upijać po małych łyżkach i okazało się, że to wcale nie jest takie okropne, jak mi się wydawało. Było mi dobrze. Tego dnia Erka powiedziała, że ma na oku jeden stary, nieczynny warsztat szewski, który moglibyśmy wynająć i urządzić w nim jeszcze jeden guandz, i byłby on tak trochę mój, bo Erka z Purewem zostaliby tutaj, a ja dobrałabym sobie jakąś kucharkę, mięso, mąkę, sól i inne rzeczy załatwiałabym sobie sama i wszystkiego sama bym pilnowała. Od razu pomyślałam o Narze i przez mdłe wódczane mroczyki, w których Mergen wydawał mi się całkiem miły, widziałam ją w fartuchu i czepku, jak znika i za chwilę pojawia się znowu w obłokach pary nad naszymi garnkami, w tym nowym guandzu, który sobie razem urządzimy od początku do końca, a na stołach położymy różową ceratę w margerytki, na ladzie na małej ozdobnej serwetce postawimy wazon z kwiatkami, czarki do herbaty będą wszystkie jednakowe i nieobtłuczone, i Bjamchu będzie nam przynosił najlepsze mięso, jakie w Mieście można dostać, będzie dźwigał skrzynki z lemoniadą, a wieczorem, jak zamkniemy, pójdziemy we trójkę na spacer na główny plac, a potem będziemy chodzić we czworo, bo Nara na pewno zaraz się komuś spodoba.

Podparłam głowę rękoma i myślałam o szczęściu, jakie nas czeka, po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Miasta czułam się dorosła i samodzielna. To niebiańskie uczucie przeszło potem w ciepłe objęcia i wilgotne pocałunki, które jakoś dało się znieść. Mergen przewrócił mnie z krzesła na łóżko, podwinął mi spódnicę, ściągnął spodnie i parę razy we mnie wszedł. Potem zwałił się obok i spaliśmy na tym wąskim tapczanie razem aż do rana.

Myślałam, że za pierwszym razem to strasznie boli. Tak mówiła Dulma, dziewczyna, która w internacie spała na łóżku koło mnie i co nieco wiedziała o tych rzeczach, ale nic takiego się nie stało. Na majtkach miałam małą plamkę krwi, taką jak wtedy, kiedy tacie nie uda się zręcznie zarżnąć owcy, a w guandzu chwilami czułam, że muszę usiąść albo się podrapać, tak mnie coś dziwnie uwierało między nogami. I nic więcej.

Gorzej było z Żółtym Kwiatem.

Już wcześniej przestała być dla mnie taka miła jak na początku, a kiedy rano zaczęła mną potrząsać, to jeszcze z zamkniętymi oczyma uświadomiłam sobie, co się stało, i już wiedziałam, że mnie wyrzuci. Mnie wyrzuci, a Mergena sobie zostawi.

Tego dnia do guandzu przyszłam trochę później.

Kiedy weszłam, Erka z irytacją podniosła głowę znad garnków, ale zaraz spoważniała i pokazała mi, gdzie mam złożyć rzeczy.

Objęła mnie i o nic nie pytała.

Kiedy wieczorem przyszedł Bjamchu, wszystko mu powiedziałam, żeby później nie był zaskoczony.

Że kocham tylko jego, że Mergen jest ohydny, a ja nie mogłam się bronić, i że od tej pory i tak będę spać w guandzu, więc nic takiego już się nigdy nie stanie. Potem zaraz mu opowiedziałam o tym warsztacie szewskim, i że to będzie nasza jadłodajnia, i że już niedługo poznam go z Narą, która tam będzie z nami pracować. I chciałam powiedzieć jeszcze dużo więcej, jak sobie to wszystko wyobrażam dalej, że pierwszej dziewczynce, która nam się urodzi, damy na imię Dolgorma, bo tato tak sobie życzył, i że jesienią pokażę mu nasz ger, jeśli będzie miał ochotę, ale do tego już nie doszłam, bo Bjamchu odwrócił się do mnie, wykrzyknął parę okropnych słów i strzelił mnie otwartą dłonią w twarz.

Zakręciło mi się w głowie, cały policzek zapłonął tysiącem drobniutkich igieł, na które spływały palące łzy, a Bjamchu odszedł szybkim, energicznym krokiem. Chciałam za nim pobiec, ale moje nogi nie ruszyły z miejsca, całe ciało mi ścierpło, i w tej chwili czułam się taka pusta i brudna, że miałam ochotę rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu Mongołowi, który by się do mnie uśmiechnął.

Był już późny wieczór, a ja stałam na największym placu w Ułan Bator zupełnie sama. Pod moimi stopami umykał we wszystkie strony pokryty szramami, żużlowaty asfalt. Z pęknięć wyrastały kępki trawy, a na kilku ławkach przysypiali ludzie, którzy nie mieli domu. Jednego z nich znałam, czasami zachodził do naszej jadłodajni na chuszury, kiedy gdzieś coś ukradł i sprzedawał za parę tugrów. Pozostali mieli głowy wtulone w dele albo w stare swetry, wyglądali jak znieruchomiałe we śnie ptaki. Po prawej stronie stawał dęba koń z jeźdźcem z brązu, pomnik naszego bohatera Suchbatara, ogrodzony łańcuchami, żeby nie włązili na niego mali chłopcy i nie oblepiali końskiego grzbietu gumą do żucia.

Z tyłu za ogromną kolumnadą wznosił się mongolski parlament, a na wprost Suchbatara stał budynek opery.

Parę ulicznych latarni w ciemności rzucało matowe, żółtawe cienie, którymi poruszał wiatr. Ruszyłam w stronę rozmazanych potrójnie przez łzy i zmęczenie świateł po drugiej stronie placu i weszłam do jakiegoś nocnego lokalu. Zwabiła mnie muzyka, która przenikała na zewnątrz przez aksamitną kotarę; latem drzwi otwierano na oścież.

W środku było szaro, a przy ladzie tłoczyło się kilku Mongołów, tak samo jak w naszym guandzu, kiedy czasem odejdę i przez chwilę mnie nie ma. Za ladą z plamami rozmoczonych papierosów na półkach stały butelki, równo jak żołnierze. Niektóre krzesła były przewracane, pod nogami chrzęściło mi szkło z rozbitych kieliszków do wódki, a ja zastanawiałam się, gdzie mam usiąść. W każdym rogu wyczuwałam mroczne ludzkie głązy, jakieś przywarte do siebie pary. Trochę luźniej było tylko pod wielką makatą z portretem Czyngis-chana z długimi frędzlami, które łaskotały mnie w szyję, kiedy usiadłam. W tym pomieszczeniu nie było obsługi i nikt nie wycierał stołów, nikt nikogo nie pytał, co podać, a niedopałki w popielniczkach piętrzyły się jak majestatyczne żółte owa.

Spróbowałam czegoś, co było w kieliszku na moim stole. Smakowało dziwnie, więc zostawiłam to i czekałam, aż ktoś do mnie podejdzie, zacznie coś mówić i już nie będę sama.

Był stary, starszy od Mergena, ubrany jak Rosjanin, ale był Uzbekiem. Nazywał się Kulan. Przedstawił się jako Kola. Przysiadł się z hałasem i tak blisko, że czułam jego oddech, i po raz pierwszy od rana przypominałam sobie, jak poruszał się we mnie Mergen i jak cicho jęknął, zanim było po wszystkim. Kiedy Kulan przyniósł wódkę, udawałam, że piję, ale za każdym razem tylko oblizywałam wargi. Bo nie miałam pieniędzy, a on nie chciał mi kupić lemoniady.

Kiedy wychodziliśmy, noc już trochę szarzała, na horyzoncie świecił jasny pas, a Kulan pożyczył mi swój sweter. Było strasznie zimno. Wiedziałam, co teraz będzie, ale wracać do przygnębiającej kuchni i tam rozkładać łóżko pomiędzy garnkami, w ciężkim od tłuszczu zaduchu, którego nie dało się wywietrzyć - nie, tego nie chciałam. Więc wsiadłam do auta, które Kulan zatrzymał, całkiem spokojnie usadowiłam się na tylnym siedzeniu i obserwowałam blednącą noc i uciekające zarysy domów, które stawały się coraz uboższe i coraz bardziej się zmniejszały, aż w końcu wjechaliśmy do jurtowiska zwierającego wokół całe miasto jak gruby pierścień, który robi się coraz grubszy, bo ciągle sprowadzają się z prowincji nowi ludzie.

Myślałam o tacie, jak mówił, że mam uważać i że w mieście nie wolno mi nikomu wierzyć, i jak łatwo jest tutaj źle skończyć. Zastanawiałam się, czy to właśnie znaczy źle skończyć, i jak taką rzecz można rozpoznać, ale byłam tak samo głupia jak przedtem. Jedno było pewne, że nie wierzę Kulanowi. Wiedziałam, że chce się ze mną przespać, podobnie jak wtedy Mergen, którego przejrzałam od razu. Głowa zaczęła mi się osuwać na bok i z poczuciem ulgi,

że być może teraz trochę źle kończę, ale na pewno nikomu nie dam się nabrać, słodko zapadłam w sen.

Tak naprawdę to Żółty Kwiat i Bjamchu mnie zawiedli.

Kola w swoim gerze posadził mnie na łóżku i ściągnął spodnie. Trochę mu pomogłam z moimi i pozwoliłam się całować i żeby dotykał moich piersi i między nogami, czego Mergen nie robił i co było dla mnie czymś nowym.

Zastanawiałam się, jak to jest, kiedy dwoje ludzi żyje razem i robią to codziennie, ale potem jakby ktoś wbił we mnie nóż, było dużo gorzej niż wczoraj i zaczęłam krzyczeć. Kulan zakrył mi usta dłonią, właściwie całą twarz, więc tylko przez szpary pomiędzy jego palcami widziałam tę czerwoną, spoconą twarz, jak dalej kołysze się w górę i w dół, i już wiedziałam, że to jest właśnie to, o czym mówił tato, że to właśnie znaczy źle skończyć.

Całe szczęście, że tego dnia nie musiałam iść do guandzu. Bo wtedy jak przyszedł po mnie Bjamchu, Erka mi szepnęła, że jutro nie muszę przychodzić, jeśli nie chcę, że poradzą sobie z Purewem, i porozumiewawczo mrugnęła do Bjamchu, pewnie żeby na mnie uważał i był dla mnie miły.

Rano w gerze nie było nikogo. Pomiedzy udami czułam fale dziwnego pieczenia, a obok łóżka leżała kartka z numerem telefonu i pozdrowieniami od Koli i czajnik z ciepłą herbatą z mlekiem, przyniesioną Burchan wie skąd, bo piecyk był lodowaty. Kola musiał mieszkać gdzie indziej, bo w tej jurcie prawie nic nie było.

Nie chciało mi się wychodzić, herbata mi posmakowała, więc znowu się położyłam, ścisnęłam kolanami koc i przez otwór dymny patrzyłam w niebo, takie niebieskie i nieruchome jak kawałek przyklejonego materiału. Jakby na szczycie geru ktoś położył chadag. Po raz pierwszy od tego dnia, kiedy wyjechałam z Czerwonych Gór, znowu mogłam z łóżka obserwować niebo. Słuchałam szumu trawy i patrzyłam w górę na zdobione pomarańczowe żerdzie, które niczym promienie słońca biegly wokół wyciętego w wojłoku kawałka nieba.

Lato zawsze było u nas najpiękniejsze. Młode urodzone na wiosnę najgorsze miały już za sobą i pasły się u boku swoich matek, które przez cały dzień nie podnosiły głowy znad ziemi, aż dopiero pod koniec dziewiątego miesiąca, kiedy mroźny wiatr z Syberii przywiewał pierwszy nieśmiały śnieg.

Ale to było później.

Latem nikt nie myślał o zimie.

Mama w lekkim delu chodziła na cebulę i czosnek, a my biegaliśmy na bosaka i nikt nie miał już zapuchniętych, czerwonych oczu, bo był upał i w piecu rozpałało się tylko do gotowania.

Latem zatrzymywało się u nas na noc najwięcej ludzi. Zawsze wtedy parę osób trafiało do naszej jurty na nocleg albo na posiłek.

Kiedy przyjeżdżali, mama zadawała sobie o wiele więcej trudu niż wtedy, gdy szykowała jedzenie dla nas. Zawsze nagotowała klusek, a na supie pływał wspaniały łój, gruby na palec. Potem piło się kumys, i mama stawiała na stole żółto-niebieską miskę z cukierkami, która zawsze była schowana gdzieś wysoko, żebyśmy my, dzieci, nie mogły się do niej dostać. Później z Narą zawijałyśmy w kolorowe papierki kamyki i bawiłyśmy się w somonowy sklep. Tato dyskutował z gośćmi o cenach kaszmiru i o minionej zimie, i co się komu urodziło, i jak się komu w okolicy powodzi.

Czasami ci ludzie kupowali od nas papierosy albo lemoniadę, bo tato zawsze miał papierosy rosyjskie, a nie żadne chińskie, a za nocleg dostawaliśmy butelkę, niekiedy też mama wrzucała parę tugrów do kubka na półce. Mama nigdy nie paliła, i prawie żadna z naszych kobiet też nie. Tylko tato, kiedy czasem miał ochotę. W Mieście jest inaczej. Tam pijane kobiety zataczają się po ulicach, a jak zapalą papierosa, to nikt się za nimi nie ogląda. Co by na to powiedziała mama, przyszło mi do głowy, i jeszcze przypomniła mi się Nara. Nary najbardziej mi brakowało.

Po szkole Nara znowu zamieszkała w naszym gerze i ciągle gdzieś jeździła z mamą w odwiedziny, żeby kogoś poznać. Myślę, że i bez tego mogła znaleźć sobie odpowiedniego kandydata, a poza tym miała wtedy dopiero szesnaście lat, ale mama chyba nie chciała zdać się na przypadek. Może się bała, żeby Nara nie skończyła tak jak Żółty Kwiat. Ale przecież gdyby Szarceceg miała dzieci, to nie mogłaby do nas przyjechać i pomóc nam z tatą, a ja nigdy nie znalazłabym się w Mieście.

Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, ale to było coś takiego, jakby nagły skurcz, po którym przez moment zostaje smutna pustka, że Miasto to może nie są same dobre rzeczy. Włożyłam spodnie, na zewnątrz oślepiło mnie słońce.

Pewnie było już koło południa, a ja znajdowałam się gdzieś na samym obrzeżu Miasta. Gery nie stały tu jeden koło drugiego, tylko były ogrodzone drewnianymi płotami, a pomiędzy nimi pasły się konie. Wśród chasz na przedmieściach Ułan Bator nie było już ulic. Miasto było tu niepewne, wylewało się w step, który je pochłaniał. Jeszcze tylko parędziesiąt metrów rzadniejących gerów i koniec. Wieczorem czasami podchodzą tu wilki, a za górą nikt nawet nie wie, że w ogóle gdzieś jest jakieś Miasto.

Ruszyłam tam, gdzie gery gęstniały. Po obu stronach ulicy były ogrodzenia, piasek palił nawet przez buty, i po chwili zaczęłam żałować, że resztkę słonecznej

herbaty zostawiłam w gerze. Czasem ktoś zmierzył mnie wzrokiem, ja też zawsze poznam, że ktoś nie jest od nas, a dzieciaki krzyczały coś za mną, biegając na golasa od płotu do płotu i trzaskając drzwiczkami. Zamiast sklepów były tu tylko małe stragany, jak te z lemoniadą, tylko że sprzedawano w nich mydło i powidło. Stało tu mnóstwo budek, gdzie naprawia się buty, także lombardy i fryzjer oraz pokurczone, garbate, drewniane guandze, ale one są wszędzie. W takim Mieście, w jakim mieszkalam ja, ludzie noszą się albo po mongolsku, albo jak Rosjanie, ale tutaj w rosyjskich ubraniach raczej się nie chodzi. Nie ma też dużo sklepów z żywnością, bo ludzie hodują zwierzęta, których Szarceceg nie mogła trzymać w bloku.

Potem zaczęło przybywać ludzi, tak jakby jakiś ukryty rój wciskał się tu skądś szczelinami, z kolei zwierząt robiło się mniej, gdzieś znikwały, a gery zmieniały się w drewniane domki, które rozrastały się w beton i wielką płytę. Było tak jak wtedy, kiedy kilka miesięcy temu przyjechałam tu z Żółtym Kwiatem. Cały ten zgiełk, rosnący im dalej od przedmieścia, potem samochody i autobusy, i ludzie, którzy na siebie wpadają, a później, jak nakazuje zwyczaj, podają sobie ręce. Ale jednak nie było zupełnie tak samo. Kolory zszarzały, wyblakły od kurzu i południowego słońca. Wszystkie te olśniewające sklepy i szerokie ulice w środku Miasta wyglądały, jakby były zmęczone, jakby się złuszczały, żeby spod nich mogło się ukazać coś innego, ale mnie nie chciało się nigdzie łązić, żeby to znaleźć. Bolały mnie nogi, i między nimi też, nie miałam na autobus, więc kiedy wieczorem w końcu rozłożyłam swoje składane łóżko, byłam szczęśliwa, że jestem z powrotem u siebie, a Erki poranne klepanie po twarzy wydało mi się najśłodszym dotykiem od czasów, kiedy babcia masowała mi zimą zmarznięte stopy.

A potem wszystko znów było jak przedtem. Tylko Bjamchu zaczął chodzić na południowe posiłki gdzieś indziej, a ja spałam w kuchni na składanym łóżku. U Szarceceg byłam jeszcze tylko raz. Poszłam po swoje drugie buty i plastikową spinkę do włosów, którą dał mi Bjamchu.

W domu nie było nikogo.

Zostawiłam klucze u dozorczy, a na starej gazecie, w którą poprzedniego wieczoru Mergen zawijał tytoń, napisałam Żółtemu Kwiatu, że teraz mieszkam w kuchni, trochę duszno, ale nie jest tak źle, i że dziękuję jej za tę pracę, bo ja sama w życiu nic bym sobie nie znalazła, i jeszcze, że nasz guandz już wygląda lepiej i żeby kiedyś wpadła zobaczyć, gdyby miała ochotę.

Z nową jadłodajnią się nie udało, ale nie żałowałam, bo ten stary warsztat szewski kupili ci bliźniacy z naszego somonu, co mówił o nich dyrektor naszej

szoły, że sprzedają różne rzeczy kierowcom, więc w sumie to lepiej, niż gdyby nam to sprzątnął sprzed nosa ktoś obcy.

Potem wybrałyśmy z Erką na dzachu nowe zmywalne obrusy na nasze stare stoły, i jeszcze namówiłam ją na takie różowe czereśnie, które nakleiłyśmy nad ladą. Przez to mogliśmy udawać, że jesteśmy niby lepszym lokalem, chociaż sprzedawaliśmy takie same chuszury za sto tugrów, jak te wszystkie podłe budy, w których w ogóle nie myje się misek, a w mielonym trafiają się myszy i szczury kanałowe. Przy pracy już prawie wcale nie musiałam myśleć, tak dobrze ją znałam, więc z tarką, szmatą albo kawałkiem ciasta w ręku coraz częściej rozmyślałam o Narze i o innych, a jak wiosna przeszła w lato, a lato w jesień, już wiedziałam, że muszę pojechać w Czerwone Góry, chociaż na jeden krótki tydzień.

Byłam już wtedy w Mieście cztery lata i nic nie wiedziałam o naszym gerze. Szarceceg podobno kiedyś raz była u mamy i przez Erkę przekazała mi wiadomość, że wszyscy żyją i że Nara kogoś ma.

A było to w tym czasie, kiedy już tylko czekałam, żeby zrobiło się trochę cieplej, żebym mogła jechać, aż tu pojawił się Mergen. Był, o dziwo, trzeźwy, mówił, żebym nie jechała, że mama już mnie nie chce widzieć, wcisnął mi do ręki jakieś pieniądze, a zanim zdążyłam coś powiedzieć, objął mnie mocno i przycisnął do siebie tak, jak jednym szarpnięciem przytrzymuje się spłoszonego konia. Zaczęłam krzyczeć i młócić go pięściami; chociaż czułam, że nie chce mi zrobić nic złego, i tak nie mogłam tego znieść.

Puścił mnie, krzyknął, że nic nie rozumiem, a ja znowu zobaczyłam go przed naszym gerem, rozmytego gorączką. Wściekał się zupełnie jak wtedy, a ja nagle zaczęłam rozumieć mamę. Dlaczego już mnie nie chce i dlaczego wtedy o mało od nas nie odeszła.

Czasami wieczorem, kiedy już leżałam i patrzyłam z dołu na garnki, a sen nie nadchodził, bawiłam się w zabawę w pudełko. Wyobrażałam sobie nasze pogięte blaszane pudełko, w którym w gerze trzymaliśmy arul i herbatniki, tylko że w tym moim leżały listy. Listy od każdego z nas. Swoje listy znałam, ale wszystkie inne były tajemnicze. Wymyśliłam to sobie, kiedy w pierwszym roku mojego życia w Mieście ciągle chodziłam na pocztę i zaglądałam do swojej przegródki, a przez ten cały czas przyszła do mnie tylko jedna pocztówka z Czojbalsanem od mamy, że kupili kilka nowych koni, zdechł najstarszy wielbłąd i że w somonie zamknęli dom kultury, bo zawalił się sufit.

Wiedziałam, że to nie jest szczere, bo zwierzęta to była sprawa taty, a jeśli ten sufit nie zabił Ojuny, to mamy w ogóle to nie mogło obchodzić. Mama miała na głowie ger i nas, a o tym nic nie pisała. Ale przy kuchni mnóstwo

myśli przychodzi człowiekowi do głowy, tego się dowiedziałam po tych wszystkich latach w guandzu, a ona musiała to wiedzieć od dawna.

Burchan wie, co działo się z tatą, kiedy wiecznie szukał tych pogubionych owiec. Czasami wracał nawet po kilku dniach, a w te wszystkie noce, kiedy czarne niebo od horyzontu po horyzont pełne jest dziur, przez które prześwituje słońce, spał sam, gdzieś daleko od nas.

Taty list z pudełka był o zwierzętach i o Magi. Tato nie mógł wierzyć mamie i przez to nie mógł jej kochać. Ja i Nara byłyśmy erlicami, a Ojuna należała do mamy. Magi umarła jak Czyngis-chan, spaść z konia to szlachetna śmierć, lepsza niż powolne gaśnięcie pod kocami, tylko że jak ma się siedemnaście lat, to nawet czyngischańska śmierć jest smutna, a to rozumiał nawet tato.

Mama pisałaby o Ojunie, bo dziecko, które pojawia się razem z pierwszą siwizną, zawsze jest rozpieszczane.

Mama potrafiła nie myśleć o Magi, przynajmniej o niej nie mówiła, a tacie zawsze się odcięła, kiedy z tym zaczynał, ale potem znowu codziennie musiała patrzeć na nas. Możliwe, że ja przypominam jej coś pięknego, ale Nara na pewno nie. O tym rosyjskim najmaczinie od sardynek mówiła mi jeszcze Munchceceg, kiedy pomagałam jej przy kumysie. Było to wieczorem, Majdar chwilę z nami posiedział, a potem wyszedł bez słowa w zimny gwiaździsty step i trzasnął za sobą drzwiami.

Mama poznała się z tatą przypadkiem. Babcia, jak już miała umrzeć i tylko syczała ze złości w swoim barłogu, mówiła czasami, że wszystko miało być zupełnie inaczej.

Gdyby wiedziała, że z tej dziewczyny, co akurat przejeżdżała koło ich geru i poprosiła o wodę i trochę ryżu, będzie taka żona, toby ją poszczuła psami, a zamiast zupy dałaby jej papkę z argalu. Ale wtedy babcia już sama nie wiedziała, co plecie, a mamie było wszystko jedno.

Wówczas mama ze swoim gerem, z Szarceceg, Gerle i Ononem, a wszyscy oprócz Gerle byli od niej młodszy, wybrała się do Bajanolgiju do Kazachów po dywany.

Rodzina mamy nigdy nie była jakoś specjalnie obrotna, żyło im się ciężko i myśleli, że w Bajanolgiju kupią coś za parę tugrów, a potem w Mieście sprzedadzą z zyskiem. W końcu nic z tego nie wyszło, bo tak tanio, jak to sobie wyobrażał Ogoj, mamy tato, nikt swojego dywanu nie oddał. Ale kiedy w drodze powrotnej zatrzymali się przy gerze Dolgormy, zostali tam dwie noce, a tato z mamą przez cały czas nie odstępowali się na krok. Mama do swoich, do geru dla gości, chodziła tylko spać, ale i tak długo nie pospała, bo zaraz z tatą szli kawałek dalej w step i godzinami razem tam wysiadali.

Po roku mieli już wspólny ger.

Babcia Dolgorma zgrzytała zębami, ale Ogoj się cieszył, że tak dobrze wydał córkę i nic go to nie kosztowało, a ponieważ mama chciała wracać do domu, tato opuścił swoją ziemię.

Urodziła się Magi, potem byłam ja, później tato musiał wyjechać do pograniczników, a jeszcze później sprowadziła się do nas babcia. Dzięki stadu jej najlepszych kaszmirskich kóz tato pilnował granic naszej Mongolskiej Republiki Ludowej tylko przez jeden rok. Użył sobie, pan nadporucznik. Ale mimo wszystko dwanaście miesięcy na pustkowiu w jakiejś drewnianej budzie z czerwoną gwiazdą, tylko z karabinem i jakimś wiecznie schlanym Iwanem. Wszędzie wokół druty kolczaste, a w domu nowe trzymiesięczne niemowlę.

Munchceceg mówiła, że to był najmaczin, handlował sardynkami i pochodził skądś spod Wierchojańska. Dziwne, bo jak patrzyłam na mapę w poczekalni Aeroflotu, to koło Wierchojańska nie ma w ogóle żadnego morza. Może to był Magadan, albo mama coś nazmyślała.

Karmiła mnie właśnie przed gerem, kiedy nadjechał od strony Czerwonych Gór. Że niby ma coś na sprzedaż i nie pogardziłby zupą. Mama go obsłużyła, a potem pewnie musiał ją powalić na ziemię, i wtedy jej to zrobił. Tego Munchceceg dokładnie nie wiedziała. Ale Nara ma jasne włosy, to widzą wszyscy. Z drugiej strony, żaden prawdziwy Mongoł nie będzie jadł ryb. Nikt z naszej rodziny ani w ogóle nikt, kogo bym знаła. Mongoł je to, co sam wyhoduje, a ryby nie należą do nikogo. To przecież ten, niech go piekło pochłonie, najmaczin musiał zauważyć, jak tylko jego szkapa odcisnęła kopytem w naszej świętej ziemi swój pierwszy ślad.

Do domu w końcu i tak pojechałam. Akurat Mergen będzie mi mówił, co mam robić. Jeszcze czego. Na dworcu autobusowym było pełno marszrutek, a w nasze strony jechało ich od razu kilka. Południową drogą przez Charchorin.

Do Purewa właśnie przyjechał kuzyn z Darchanu, więc bardzo mu pasowało, że łóżko w kuchni będzie przez parę dni wolne, i przyniósł mi na drogę worek chuszurów. Jakie szczęście, że was mam, powiedziałam mu na dworcu przez okienko. Nigdy nie zapomnę Żółtemu Kwiatu, że nas ze sobą poznała.

Kierowca powiedział, że pojedziemy w trzynaście osób. Potem zrobiło się z tego osiemnaście, a jeszcze ciągnęliśmy ze sobą kupę prezentów, różne plastikowe miednice i miski, buty, drut kolczasty, zwinięty w kłęby, i ciągle po drodze ktoś się dosiadał, tak że w końcu odetchnęłam z ulgą, kiedy już byliśmy na miejscu.

Niebo było mętne, a po stepie przewalały się ciemne cienie chmur jak skrzydła wielkich ptaków.

Babcia mówiła, że nieszczęście można wyczuć. Że jego smutny odór zawsze zwierzą zwierzęta i ci bardziej doświadczeni ludzie stepu też. Ona to umiała.

Parę razy tak się stało, że jak w okolicy ktoś umarł, to babcia o tym wiedziała. Kiedy niebo było postrzępione, a w górach skrzypiały stare, bezlistne kikuty drzew, babcia zawsze przyklękała i coś burczała pod nosem. Kiedy w burzy piaskowej skłębione liście kotłowały się na wietrze, a gdzieś daleko wył wilk samotnik, wznosiła ręce do nieba i zanosila modły do tengerów. I wtedy tengerowie zaprzestawali swoich sprzeczek i posyłali babci jakiś lśniący promyk, że dobrze, zrozumieli.

A więc już wtedy czułam coś przez skórę, ale w rękach miałam pełno prezentów i nie było mi do modlitw. Potem wychynał nasz ger, a ja puściłam się biegiem.

Oddział, na którym leżała mama, był na drugim piętrze. Przy drzwiach dostałam plastikowy fartuch, chroniący przed chorobami, a potem już tylko znaleźć numer sali. Bajanchongorski szpital cieszy się dobrą sławą, więc w tym nieszczęściu miałam szczęście, że mama jest właśnie tutaj.

Spała.

Pozostałych pięć kobiet albo siedziało na łózkach i wlewało w siebie herbatę z mlekiem, albo gadało przy stoliku z plastikowym blatem, który uginał się pod jedzeniem przyniesionym przez odwiedzających.

Kawałki mięsa, blaszane kubki z pożywnymi, przywracającymi siły zupami od córek, garnki z niedojedzonym ryżem, parę borców i wszędzie mnóstwo much.

Ucieszyłam się, że w sali jest tak przyjemnie. Miały nawet radio i firankę w oknie. I jeszcze wieszak, i kalendarz z rosyjskimi miastami.

Mama spała zaraz przy drzwiach.

Na podłodze koło łóżka leżała przewrócona torba. Tato zapakował w nią wszystko, co potrzeba. Mama miała oczy zamknięte i spokojne, tak jakby nie mogła trzymać inaczej powiek. Była przykryta aż po brodę dwoma kocami i na skroniach błyszczały jej krople potu. Nie chciałam mamy obudzić, tylko trochę odchylić ten koc, bo był upał, ale ona od razu się poruszyła, na ślepo chwyciła moją rękę i przyciągnęła ją do siebie.

Siadaj, dobrze, dobrze, usiądź na chwilę, tak, no tak, powiedziała i zrobiła mi miejsce obok siebie na łóżku. Dobrze, powiedziała i sięgnęła ręką pod koc gdzieś do brzucha. Dobrze. I zostaw w spokoju Mergena. Gorliwie skinęłam głową. Masz w Mieście pracę? Znowu kiwnęłam, świetną. Nara ciągle o ciebie pyta, Ojuna też.

Patrzyłam, jak słońce odbija się w metalowych krawędziach łóżka. Kiedy poruszałam głową, to odblaski też przesuwwały się tu i tam. Za parę dni przyjedzie po mnie tato, będziesz tu jeszcze?

Na wszystkie pytania mamy kiwałam głową w górę i w dół, a odblask na krawędzi łóżka migał tam i z powrotem. Tylko kiedy zapytała, dlaczego przyjechałam dopiero teraz, przypomniałam sobie wyprawy na pocztę, które na nic mi się nie zdały, i zabawę w pudełko - i nic nie powiedziałam.

Ani razu nie spytała o Szarceceg, widocznie miała od niej jakieś wiadomości, więc mówiłam coś jeszcze o Mieście i o guandzu, ale tak, jakby to było życie kogoś innego, nie moje. A jak oddech jej się wydłużył i pomyślałam, że usnęła, wyszłam.

Na zewnątrz zorientowałam się, że ciągle mam na sobie ten plastikowy szpitalny fartuch, ale nie chciało mi się wracać, więc go zgmiotłam i wcisnęłam pod jakiś kamień.

Kiedy z Nara bawiłam się w tę grę w pudełko, wszystko było proste. Nara myślała tak samo jak ja. Wtedy czasami wydawało mi się nawet, że Nara jest mną. Że jej głos wychodzi z moich ust, a moje kroki niosą jej ciało.

To byłoby coś dla babci Dolgormy. Ale kiedy żyła babcia, ja byłam jeszcze bardzo mała. Szkoda. Ja też umiem wyczuć śmierć, lecz ona umiała ją przywołać jak wiernego psa albo też przegnać na cztery wiatry, kiedy krążyła wokół geru i przez dymnik wsuwała po chorego swoje szpony.

Ja już wiem, czego szukały oczy taty, kiedy pochylał się nad Magi i pod ręką poczuł śmierć. Szukały babci. Magi była wtedy gdzieś jeszcze bardzo blisko nas, ale nikt nie umiał jej ściągnąć z powrotem, a babcia nie chciała nas słyszeć. Pewnie pamiętała, jak obie z Nara śmiałyśmy się z niej, kiedy sikała w łóżko, bo w nocy już nie mogła dobiec przed ger, jak chowałyśmy jej łaskę, jak piszczałyśmy i przedrzeźniałyśmy jej lamentowanie. No i wtedy nam z Magi nie pomogła.

Nara zawsze brała moją stronę, a ja zawsze stawiałam za nią murem. Kiedy dokuczałam Ojunie, czym prędzej biegła zająć czymś mamę, a kiedy Magi na złość Narze ostrzygła jej ulubione jagnię, oddałam jej swoje, a Magi włożyłam do łóżka śmierdzące robaki. Magi spała sama, należało się jej.

Później mama kazała jej spać z Ojuną, kiedy tato już nie chciał mieć dziecka w łóżku, a Ojuny nie trzeba było w nocy poić.

Ale wtedy czasy naszej największej wrogości dawno odeszły w przeszłość.

Magi nie była erlicem i nie musiała nauczyć się kombinować, tak jak my z Nara. Teraz myślę o niej tylko dobrze, ale to jest tak samo jak z babcią.

Obie nie żyją.

W moich snach Nara gnała na bułanym koniu. Jego grzywa mieszała się z jej włosami, splatała się z nimi na wietrze w zdobne warkocze, a kiedy tak razem lecieli nad Czerwonymi Górami, koński ogon smagał ich szczyty, a ja zawsze się bałam, że o te ostre wierzchołki koń rozpruje sobie brzuch.

Wszyscy mówili, że Nara igra z ogniem.

Smagała zwierzę do krwi, a kiedy koń pędził batarskim cwałem, aż wyrwane z ziemi kawałki darni uderzały go w zad, szarpała za uzdę i robiła najostrzejszy zakręt, jaki kiedykolwiek widział step. Ja tylko na to patrzyłam i mięłam w rękę del, a mama chowała się w gerze, żeby uciec od tego przestraszliwego widoku.

To były chwile, kiedy widywałam tatę kompletnie wyprowadzonego z równowagi. Konie, na których jeździła Nara, zawsze miały porozrywane pyski. Często dostawała za to w skórę.

Kiedy miała osiemnaście lat, została nauczycielką. Kiedy ja szorowałam zaświnione miski i widelce, ona wycierała nosy małym, zastrachanym pierwszakiem w naszej somonowej szkole.

Gdy tylko pozbyłam się tego szpitalnego fartucha, pojechałam prosto do niej.

Nara uczyła najmłodsze dzieci, i uczyła je wszystkiego. Raz w miesiącu przyjeżdżali rodzice, Nara rozmawiała z nimi o dzieciach, a oni dziwili się, że to właśnie jest ta pani nauczycielka, o której dzieciaki tyle im opowiadały. Co prawda, Nara wyglądała na szesnaście lat, ale byli z niej zadowoleni. Kiedy ona prowadziła lekcję, po klasie nie latały kawałki mięsa, nikt nie chrupał cukierków; Nara przynosiła do szkoły różne roślinki i małe zwierzątka, żeby pokazać je dzieciom, a maluchy, które nie miały rodziców, zabierała ze sobą do domu na wakacje.

To wszystko tato zdążył mi powiedzieć w pośpiechu, jeszcze zanim wyjechałam z geru do bajanchongorskiego szpitala państwowego.

Narę znalazłam szybko, każdy wie, gdzie jest szkoła. Opowiedziała mi całkiem inną historię, a mnie przypomniało się, jak siedziałam przy mamie.

Nara opowiadała o trzaskaniu wieczek od piórników, o papierowych kulkach, którymi w nią strzelali, o grubych buriackich nauczycielkach, które były tam jeszcze za naszych czasów i które sprawdzały jej wpisy w dzienniku, i o matkach, które nie miały nic innego oprócz tych dzieci, a ona nie mogła im powiedzieć, żeby je sobie zabrały z powrotem do domu, bo ten ich mały Mongoł, syn patentowanego opoja, żeby się nawet skichał, to nigdy w życiu nie wtłucze sobie do głowy alfabetu.

Narę maluchy nazywały Orosmongol. I dla nich jej jasne włosy były czymś niezwykłym, a Nara miała już powyżej uszu tego wiecznego wyjaśniania, przecież nie mogła tłumaczyć się przed nimi za swoją matkę.

Żółty Kwiat przesłała mi przez Erkę wiadomość, że Nara kogoś ma. Od razu wyobraziłam sobie potężnego Mongoła, który dla Nary ujeżdża dzikie kare konie i czeka na nią po pracy w wielkim dżipie, codziennie z innym prezentem. A przyszedł przygarbiony rusek, jakiś geodeta z Czelabińska. Obejmował Narę w pasie i opowiadał o rozwoju rolnictwa oraz o perspektywach mongolskiego koczowniczego stylu życia czy coś w tym stylu.

Studiował w Leningradzie, w życiu nie siedział na koniu i namawiał Narę na Moskwę.

A potem wypuściliśmy się z Narą w step.

Dzieciaki miały wolne z okazji rocznicy rewolucji, a kiedy już Nara zebrała w klasie rysunki z czerwonymi gwiazdami, pożyczyła od Anry dwie leniwe, tłuste kobyły i wyruszyliśmy na małą wycieczkę. I wspominałyśmy stare czasy.

Nara lubiła swoje dzieci. Uczyła je czytać i pisać, z tymi najlepszymi czytała już wtedy Czuka i Heka. Dwa razy wzięła na wakacje do naszego geru sieroty, które nigdy dotąd nie wyściubiły nosa poza internat. Uczyła je włączyć przez otwór dymny i doić odporne kobyły, a te bardziej bystre już pod koniec wakacji umiały zaganiać stado kóz i znały wszystkie koczownicze zawołania. Ale potem musiała je odwieźć z powrotem do internatu. Wszystkie pouciekały i wróciły do Ojuny i do taty. Tacie było wszystko jedno, Ojuna bardzo je polubiła, ale kierownik szkoły mówił coś o przepisach, i przez to Nara narobiła sobie w szkole tyłów.

Czasami przyjeżdżała do geru na weekendy. Przy szkole miała swoją małą klitkę, a kuchenkę i ubikację dzieliła z Aleksiejem. Tak się poznali.

Aleksiej przyjechał do somonu, żeby wymierzyć odgałęzienie Bajkalsko-Amurskiej Magistrali Kolejowej. Nikt nie brał tego poważnie, ale nawet przewodniczący somonu nie mógł go tak po prostu odesłać do domu. Aleksieja wpakowali do Nary i czekali, aż Moskwa go odwoła. Tak mówiła Arna, koleżanka Nary, ale nie powtórzyłam tego Narze. Sama musiała wiedzieć, że Aleksiej do niczego się nie nadaje.

Zostałam u niej jakiś tydzień.

Nara powiedziała buriackim nauczycielkom, że jest chora. Zresztą była chora. Aleksiej nalegał, żeby wyjechali do Moskwy. Potem przyjechali jego koledzy. Mieszkali w somonowej noclegowni i codziennie chodzili z nami na

konie, a resztę czasu spędzali w pokoiku Aleksieja. My z Narą gotowałyśmy i wynosiłyśmy butelki.

Któregoś wieczoru postanowili, że zapolują na niedźwiedzia. Następnego ranka wyruszyli ze strzelbami, a wrócili z zakrwawionymi wilczymi szczeniętami. Jeszcze charczały, Aleksiej dobił je na korytarzu.

Tej nocy Aleksiej szybko usnął. My znowu nosiłyśmy butelki i dosypywałyśmy herbatników do misek. Potem ja wyszłam z jednym z nich po następne, a tamci dwaj przytrzymali Narę i zrobili jej to. Kiedy wróciłam, Nara leżała na ziemi z podwiniętą spódnicą, a oni śpiewali rosyjskie pieśni i podawali sobie szklanki, mongolskim zwyczajem obiema rękami. Przyszedł Aleksiej, przeniósł Narę do jej pokoju, wykopał wszystkich do noclegowni i sam zrobił jej to jeszcze raz. Tego nie powiedziała mi Nara. Stałam w drzwiach i patrzyłam. Nara głaskała go po włosach. Miała dwadzieścia lat, i nie było to bez znaczenia. Większość młodszych od niej dawno miała mężczyzn. W jej wieku to już było trochę wstyd. Rano rozmawiałyśmy szeptem w łóżku. Mówiła, że to wcale nie było takie złe, a ja opowiedziałam jej o Mergenie. Doszłyśmy do wniosku, że kiedyś później to może być przyjemne. Kiedyś później.

Babcia mówiła, że młodzi mężczyźni jeżdżą po okolicy i mają ze sobą kute łańcuchy. Pędzą po, stepie, obserwują gery, a jak już wypatrzą tę swoją, to łapią ją w te żelazne oka. Ta, którą łańcuch obali na ziemię, jest ich i będzie im rodzić zdrowe, silne dzieci. Powiedziałyśmy sobie z Narą, że chcemy samych chłopców. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że urodzę Dolgormę.

Parę dni później Aleksieja odwołali. Odgałęzienia BAM-u nie będzie się budować. Aleksiej dał Narze swój moskiewski adres i krótką, marszczoną rosyjską spódnicę. Przez parę tygodni Nara myślała, że zostało jej po nim coś jeszcze, ale nie. To coś odeszło razem z krwawymi zachodami bezlitosnego słońca.

Czerwona pręga nad naszymi górami zwiastowała szczęście.

Babcia kochała czerwony kolor.

Mama chorowała jeszcze długo. To był woreczek żółciowy. U nas dużo ludzi na to choruje, więc wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. W Mieście mówi się, że to przez te grube kozuchy z łoju, które robią się zawsze na zimnej zupie, i przez tłuste baranie udźce, które tak wszyscy lubią, ale to niemożliwe.

To jest jedzenie Czyngis-chana, Ugedēja, Kubilaja, Timura, Suchbatara, Czojlbalsana, Cedenbala i Bagabandiego. Od wieków tak jadali nasi wodzowie i nikt nie może twierdzić, że z tą tłustą zupą na łoju jest coś nie tak. Stare rzeczy są sprawdzone. Ale lekarka zakazała, więc takich rzeczy mamie nie

przywoziliśmy. Czasami tato coś jej podtykał w torebce, ale mama i tak tego nie jadła, a jak się wydało, to lekarka się wściekła i powiedziała, że możemy sobie mamę zabrać, że z takimi tępakami to i tak nie ma sensu i że mama tylko zajmuje komuś łóżko.

Na tatę nigdy nikt tak nie krzyczał, więc poczuł się całkiem zbity z tropu, bo lekarka była młodą dziewczyną, a on poważnym mężczyzną, i przez szpitalny plastikowy fartuch prześwitywał mu wspaniały karminowy del, o jakim ta lekarka mogła sobie tylko pomarzyć.

Potem do szpitala jeździłam przeważnie ja. Za pieniądze od Erki i Purewa kupiłam bandażę i plastry, a także butelkę dla lekarki, i dwa razy w tygodniu woziłam mamie jedzenie. Leczenie mamy było jakieś dziwne. Ciągłe leżała, mało jadła, tylko dwa razy dziennie wypijała szklaneczkę wódki, którą siostra rozwoziła na turkoczącym wózku. Ten brzęk szkła oznaczał, że już muszę iść. Wielka lodówka, pełna butelek z wódką, była jedynym uzdrowiaczem, który widziałam u mamy na piętrze.

Wieczorem, kiedy siedzieliśmy tylko z tatą i Ojuną, brakowało nam mamy. Nie rozumiem, dlaczego jej tu z nami nie ma, -zamamrotał sobie czasem tato w kołnierz, a potem patrzyliśmy, jak gorące powietrze drży i faluje nad piecem. Lato dobiegało końca, ale ja do Miasta nie wróciłam ani jesienią, ani zimą, ani przez cały następny rok.

Tacie najbardziej brakowało mamy. Domem zajęłam się ja, ale Ojuna jesienią wyjechała z powrotem do internatu, Nara do szkoły, i wszystkie zwierzęta zostały na głowie taty. Nie dawał sobie rady, więc poprosił Ariunę, swoją siostrę, żeby mu pożyczyła do stada swoich dwóch synów, Dżargalsajchana i Najmę.

Cowo, ich tato, ciągle jeździł dżipem tu i tam, i właściwie ich rodzina z tego żyła. Zwierząt mieli mało, a do tego jeszcze dwóch następnych synów. Na każdy Szin Dżil zaklinali się, że to będzie ich ostatni rok w stepie i że potem wyjadą do Miasta, a ja od małego cieszyłam się, że w Mieście będziemy mieć takich bliskich krewnych.

Gdyby tato wiedział, jak to się skończy, nigdy by ich nie przyjął. Ale potrzebował kogoś do pomocy, a kiedy przyjechali, Burchan nie dał nam żadnego ostrzeżenia. Niebo było gładkie jak szkło i szaro przydymione. Tego dnia po raz pierwszy padał śnieg, a to uznaliśmy za szczęśliwy znak.

Do dzisiaj widzę te delikatne, rzadkie, powoli opadające płatki śniegu i dwie powoli zbliżające się sylwetki, które nie wzbijały pyłu. Wiedzieliśmy, że przyjdą, więc czekaliśmy na nich przed gerem. Nagotowałam jedzenia, tato z dobrego tytoniu ukreślił kilka papierosów dla gości, a później całe godziny

siedzieliśmy przed progiem, ja tylko dolewałam herbaty, i od tego nieustannego wypatrywania już nas oczy bolały. Dżargal był starszy, i od razu rzucało się to w oczy. Nigdy przedtem nie widziałam tak pięknego Mongoła.

Już minęło parę lat od tej pory, kiedy ostatnio byliśmy u Cowa i Ariuny, więc przez chwilę patrzyliśmy na siebie, potem tato podał przybyszom rękę, a ja poszłam po kluski i całą resztę.

Miał bary niczym jak, a potężne ramiona przypominały drzewo przy korzeniu. Nosił miękkie kozuszone buty, na których Ariuna wyszyła mu czerwonych wojowników. Kiedy wstawał, to jakby z ziemi wyrosła góra, a kiedy siadał, to tato dla lepszego samopoczucia podkładał sobie pod siedzenie małą poduszkę. Ariuna spodziewała się Najmy w tym samym czasie, kiedy mama chodziła z Magi. Najmą trochę się gubił obok Dżargala, ale kiedy był sam, też wyglądał dobrze.

Od razu przypominałam sobie, jak ja sama czułam się przy swojej starszej siostrze, więc starałam się dać mu odczuć, że nie szkodzi, że nie jest taki jak brat i że dla mnie to nie ma znaczenia.

Ten pierwszy wieczór był długi. Dżargal z Najmą prowadzili rozmowę, bo tak nakazuje obyczaj, a tato mówił z nimi jak z równymi sobie. Zwłaszcza Dżargal przeciągał każde słowo, wzorem poważnych mężczyzn, a kiedy skończyliśmy jeść, sam wyciągnął wódkę i poprosił o kieliszki. Zrobił na nas wrażenie.

Aż do następnej wiosny tato był zadowolony. I ja się cieszyłam, i mama też. Wypuścili ją jeszcze jesienią, więc nie byłam w gerze sama. Bardzo posiwiła, zapadły się jej piersi, za to urósł brzuch. Ale tato miał siły, wyglądał jak zamożny edzen, i wszystko mu się udawało. Stado obrastało w tłuszcz nawet zimą, my zaś byliśmy szczęśliwi jak dawniej, kiedy jeszcze była z nami Magi, a Ojuna dopiero szykowałą się do przyjścia na świat.

Tato traktował Dżargala i Najmę jak synów, a oni potrafili to docenić. Ich własny tato zawsze był poza domem, więc Ariuna nie mogła ich nauczyć rzeczy, które należą do mężczyzn. Obaj byli pojętni, Najmą dobrze jeździł, a kiedy strzelał, zawsze trafiał blisko celu albo w sam cel. Dżargal z kolei był silny, więc tacie przyszło do głowy, że następnego lata obaj mogliby wziąć udział w naszym somonowym Nadamie. Najmą by strzelał, a Dżargal walczył w zapasach. Najmą wolał startować w wyścigach konnych, ale tato od razu się temu sprzeciwił.

W końcu zresztą okazało się to bez znaczenia. Kiedy tylko pojawiła się Nara, wszystko i tak poszło w diabły.

Nara przyjechała wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Zazwyczaj po zakończeniu roku szkolnego zostawała w szkole jeszcze parę dni, żeby posprzątać i doprowadzić do końca jakieś tam swoje nauczycielskie sprawy. Ale tego roku nie. Nie przywiozła też ze sobą żadnego dziecka, bo zabronił jej tego pan kierownik. Po prostu nagle zjawiła się z dwiema torbami przed gerem.

Dni były piękne. Tego lata słońce nie doskwierało nam tak jak kiedy indziej, nawet w południe siadywałyśmy przed domem z jakąś robotą i rozmawiały o dzieciach z klasy Nary i o gotowaniu. Mama się do nas nie wtrącała, czasami powspominała coś z młodości, a wieczorem smarowała nam łojem rozpalone plecy. Nic nie zapowiadało, że Nara aż tak straci rozum.

Nawet podśmiewałyśmy się obie z Dżargala.

Szeptaliśmy o jego karku, potężnym jak u byka Bajsy, który w całym somonie słynął z tego, że nie mógł obrócić głowy, bo miał taką krótką i mięsistą szyję, że zanim się ruszył, to tylko ze złością łypał oczyma na boki, aż mu wyłaziły na wierzch fioletowe żyłki, a całe oko zakrywało białko. Ariuna musiała Dżargalowi przerabiać wszystkie dele. Wyobrażałyśmy sobie z Narą, jak by to było, gdyby Dżargal miał się wcisnąć w ten karminowy tatowy del. Wytrzeszczałby oczy, dusiłby się i poczerwieniał na twarzy, a i tak by się nie dopiął. Pokładałyśmy się obie ze śmiechu, aż brakło nam tchu, a mama krzyczała, że kipi nam zupa, bo koniecznie chciała się dowiedzieć, dlaczego się tak zwijamy i łapiemy rękami za podbródki.

Mężczyzn widywałyśmy tylko rano i wieczorem, i to króciutko, więc zawsze bardzo się na te chwile cieszyłyśmy. Tato przytył i zaczął opowiadać kawały, a Dżargal i Najmą zawsze byli głodni, więc zaraz zabierałyśmy im opróżnione miski i podtykałyśmy następne, napełnione po brzegi.

Mama mówiła, że to dopiero radość, że takie żołądki bez dna to zaszczyt dla każdej kobiety. Tato opowiadał, jak było, a mama dopytywała się, czy nie widzieli wilków, bo Ojunie te blizny po kłach nigdy tak zupełnie nie zniknęły, i od tamtej pory mama była ostrożna. Kiedy tato nic nie odpowiedział albo tylko coś odburknął, nazajutrz nie puszczała go do stada bez strzelby, i mógł sobie protestować, ile chciał.

A jak to się zaczęło, już nie wiem, w każdym razie zauważyłam, że od jakiegoś czasu w porze południowego jedzenia Nara zaczęła gdzieś przepadać. A po chwili znowu ją widziałam, jak coś ceruje albo wymiata palenisko, ale było w tym coś dziwnego. Dni mijały jeden za drugim, a Nara zawsze o tej samej porze zniknęła i wracała coraz później. Z całą pracą radziłyśmy sobie we trzy z mamą i Ojuną, Nara zresztą zawsze chodziła swoimi drogami, więc przez jakiś czas zostawiłyśmy wszystko, jak jest.

I to był błąd.

Tato też nic nie robił, kiedy w ciągu dnia Nara zaczęła pojawiać się przy stadzie.

Codziennie nosiła Dżargalowi obiad, po czym pod jakimś pretekstem odchodzili gdzieś na bok i siadali na głazach, a tato musiał zawsze Dżargalę wołać z powrotem, bo sam by nie przyszedł, Narze zaś nie powstałoby w głowie, żeby się od niego ruszyć. Tak to było przez parę dni, tato coraz bardziej się chmurzył, tymczasem Nara z Dżargalem zaczęli razem znikać także i po kolacji.

Zawsze wieczorem i tylko we dwoje. Jak gdyby nigdy nic. Nara prawie przestała ze mną rozmawiać, a tato krążył po gerze niczym zwierzę w pułapce. Mama wyczekiwała.

Wieczorne posiłki zaczęły przebiegać w milczeniu i w jakiejś dziwnej ciszy; w szarości nasze cienie jakby schudły i zrobiły się bardziej kanciaste, a słowa świszczwały jak stare, ochryple psy.

W czasie jednej takiej pełnej napięcia ciszy tato walnął pięścią w stół.

Jeżeli cisza może jeszcze bardziej ścieknąć, to wtedy tak się stało.

Drewno zadudniło, tato nabrał tchu, a kiedy skończył mówić, wszystkie oczy zatrzymały się na Dżargalu. Oczy Nary płonęły najchciwiej. Jakby miały w Dżargalę wrosnąć, rozpuścić się w nim i już nigdy nie wrócić do tego świata. Dżargal skinął głową. Nara zerwała się ze swojego stołka i zaczęła obsypywać go wilgotnymi pocałunkami. Całowała jego policzki, czoło, kark, z którego kiedyś wyśmiewaliśmy się obie, potem niecierpliwymi wargami dotykała jego ramion i rąk aż po końce palców.

Tato się odwrócił, mama zaczęła sprzątać ze stołu, a ja i Ojuna nie wiedziałyśmy, gdzie podziać oczy.

Przez cały ten czas Dżargal siedział nieruchomo, okryty ciemnym cieniem jak Burchan w świątyni i tak samo majestatyczny, z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy. Potwierdził, że ożeni się z Narą. W somonowej szkole uczyłaby jeszcze tylko jeden rok, lato się kończyło i trudno byłoby znaleźć nową nauczycielkę przed początkiem roku szkolnego, a na następne lato zjechałoby się do nas krewni ze wszystkich stron, bo Tuleg i Alta wydają za mąż swoją pierwszą córkę. Mogło tak być.

Tato jeszcze rzucił okiem na Narę i wyszedł na dwór zapalić.

Jego oczy mówiły: nie jesteś moja, więc co mi tam, wyklułaś się z kukułczego jaja, ale przecież cię kocham, sam nie wiem.

Wiadomo, że niebezpiecznie jest wychodzić za kuzyna, ale tato nie miał nic przeciwko temu. Z drugiej strony, potem to on najbardziej cierpiał przez to wszystko.

Tak samo jak kiedy odeszła od nas Magi.

Najdziwniejsze było, że oprócz Nary nikt się nie cieszył. Najpierw powtarzałam sobie, że przecież nie mogła znaleźć silniejszego mężczyzny, rodzina Cowa jest bogata, i że tak ma być, ale nie czułam żadnej radości.

Być może wszyscy przeczuwaliśmy że ogień, którym płonęły Narze policzki, kiedy przysysała się wargami do każdego skrawka rąk Dżargala, i jego delikatnie rozbłyaskujący uśmiech nigdy się ze sobą nie zejda.

Ale było o wiele gorzej.

Nara przestała jeździć do Dżargala z obiadem, a zamiast tego wyruszała rano razem z mężczyznami i wracała dopiero wieczorem. Brała ze sobą jakieś szycie czy inną robotę, żeby mama nie mogła się czeplić, ale nic nie dała sobie powiedzieć i nikt jej nie mógł powstrzymać. A potem jeździła już tylko tak, bez niczego. Włosy miała w nieładzie, policzki jej się zapadły, tylko oczy jarzyły się coraz mocniej.

Każdego ranka ciągnęła się za mężczyznami niczym jakaś odmienica, a wieczorem wracała z kwiatkami, które rozwieszała po całym gerze. Wiązanki ślubne, mówiła. Następnego dnia razem z mamą i Ojuną zrywałyśmy te powiędłe wiechcie, ale Nara co wieczór zносиła nowe, a na nas w ogóle nie zwracała uwagi.

Mówi się, że szalone kobiety, które porzucają swoje rodziny i ruszają między skały na gody z wilkami, mogą zabić wzrokiem.

Kiedy opętana dżgnie spojrzeniem po raz pierwszy, to biada kobietom, które akurat szukają pośród skał zagubionego koźlęcia - wrócą do domu, ale już nigdy spomiędzy ich nóg nie wyrzy główka dziecka. Nic im nie pomoże. Kobiety, które taka smagnie wzrokiem po raz drugi, po powrocie znajdą w gerze swoje dzieci chore, wijące się z bólu. Nic im nie pomoże. Kobieta, która się nie ustrzeże i przytrafi się jej to po raz trzeci, umrze. Nara zmieniała się w taką odmieniec.

Dżargal zaczął jej unikać, ale w gerze tak się nie da, więc przynajmniej wyjeżdżał do stada z samego rana, kiedy Nara była czymś zajęta i mogła tego nie zauważyć. Z czasem stawało się to coraz trudniejsze, bo Nara przestała się czymkolwiek zajmować. Domyśliła się, że Dżargal chce się jej wymknąć, więc wołała nie spuszczać go z oka.

Budził się, a ona na niego patrzyła. Zasypiał i wiedział, że Nara będzie obserwować każdziuteńkie drgnienie jego nozdrzy, każdziuteńkie chrapnięcie przez sen, zanim nad ranem sama przyśnie na chwilę w ubraniu.

Dla nas wszystkich powoli stawało się jasne, że Dżargal prędzej do końca życia będzie chodził okryty hańbą, niż ożeni się z tą kobietą. Bo to już nie była nasza Nara, a ślub wydawał się jedyną rzeczą, na której jej zależało.

Nie widząc innej rady, mama wybrała się do Chiroko, swojej budzącej postrach starszej siostry.

Nie słyszałam, żeby Szarceceg kiedykolwiek wypowiedziała jej imię, a młodszy brat mamy, Onon, podobno zanim o niej wspomniał, to najpierw rozglądał się na cztery strony świata i zataczał dłonią przepisowy magiczny krąg. Na wszelki wypadek, mówił.

Mama nic nie miała przeciwko Chiroko, chociaż rzadko o niej mówiła, ale przecież nie inaczej niż o innych. Tak samo wychowano i nas. Mama zawsze broniła ciotki przed rodzeństwem, co do tego zgadzały się obie z babcią Dolgormą. Nie słyszałam, co prawda, żeby babcia kiedyś się z nią spotkała, ale kiedy padło imię Chiroko, zawsze zaczynała uważnie słuchać, a jeśli ktoś niebacznie coś złego o niej powiedział albo zatoczył dłonią krąg, zaraz zaczynała prychać i wyrzucała go z geru.

Nara, czy raczej ta, która nią była przedtem, nie widziała już niczego oprócz Dżargala. Czasami słyszałam, jak coś przeciągle zawodzi, jakieś nieznane piosenki bez słów, w których trawa szumiała o zakazanych sprawach, a orły gwałtownie rzucały się ze skał.

Dżargal starał się zachowywać jak przedtem, ale nie chciał już robić nic, co kiedyś robili razem. Kiedy wieczorem Nara gestami próbowała go wywabić na zewnątrz, zawsze się jakoś wykręcił i zostawał w gerze.

Mama wróciła z Chiroko po siedmiu długich dniach. Wtedy Nara przestała już się odzywać, a do stada jeździł tylko tato z Najmą, bo Dżargala Nara nie puszczała od siebie na krok. Obie z Ojuną zajmowałyśmy się gerem, a Nara spędzała czas z Dżargalem na dziwnych zabawach.

Ciarki przebiegały mi po plecach, kiedy z zewnątrz dolatywał mnie jej głośny, głupi śmiech, i wyobrażałam sobie leciutki uśmiech Dżargala, ten zakrępyły w skrzywieniu ust wyraz nieczułości, który nieraz dostrzegałam, kiedy byli razem. Unikałam ich obojga.

Nara wracała zmęczona i brudna, z trawą we włosach i z miną dziecka, które coś zbroiło. Wieczorem Dżargal zajmował się czyszczeniem tatowych myśliwskich noży, a Nara siedziała na łóżku i bawiła się swoimi palcami albo

coś sobie mruczała pod nosem. W takich chwilach wyglądała zupełnie jak szósta córka Ojunbata, która urodziła się ostatniej wiosny przed Ojuną.

Tato śmiał się z Ojunbata, że umie robić tylko dziewczynki, i pytał, czy będzie próbował po raz siódmy. Tego roku często ich odwiedzaliśmy. Soldo, żona Ojunbata, bardzo mamę lubiła i dawała jej mnóstwo ciążowych rad. Rodzić sześć razy to przecież nie byle co, więc mama nawet nie pisnęła, chociaż, według mnie, co najmniej połowa tych trzymających w napięciu porodowych historyjek to bzdury. Ale Soldo chodziła w ciąży prawie całe życie, więc pewnie sobie tego nie wymyśliła.

Podczas gdy tato nabijał się z Ojunbata i zerkał na brzuch mamy, a ona wysłuchiwała lawiny rad i być może prawdziwych historii, my trzy z Magi i Narą zajmowałyśmy się małą. Soldo nie mogła się jej nachwalić, bo prawie wcale nie płakała, mało się ruszała i ciągle spała. Tylko że wszystkie byłyśmy całkiem obślinione.

Po parumiesiącach nic się nie zmieniło, a potem lekarz im powiedział, że już jej tak zostanie. Wciąż tylko leżała, a ger Ojunbata tak śmierdzał moczem, że przestaliśmy ich odwiedzać.

Mówili na nią Mała. Nie było sensu nadawać jej imienia, umiała tylko bawić się paluszkami i coś sobie mruczeć pod nosem, jak nasza Nara.

Pamiętam, jaka Soldo była szczęśliwa, kiedy Mała nauczyła się sama jeść.

Nam wydało się to głupie. W tym czasie Ojuna umiała już sama gotować, ale wiedziałyśmy, że nie wolno nam się śmiać.

Mała umarła zimą dwa lata temu.

Soldo płakała, ale wszyscy pozostali odetchnęli z ulgą. Myślę, że to wszystko stało się dlatego, że Soldo już była za stara na dziecko, że nie umiała go dobrze zrobić w brzuchu.

Przed przybyciem Chiroko Nara zachowywała się podobnie jak Mała. Musiała się domyślać, że Chiroko przyjechała po to, żeby ją zabrać, bo biegała wokół geru i nie dawała się schwytać nawet Dżargalowi. Ale potem się potknęła i wybuchnęła płaczem. Dżargal do niej doskoczył, złapał ją i już nam się nie wyrwała.

Tej nocy poszliśmy spać dopiero nad ranem. Tylko Nara przysypiała tacie na ramieniu, a tato krzyczał, że nigdzie jej nie puści, niech no ktoś spróbuje zabrać jego córkę; w rękę miał nóż. Chiroko mówiła rozsądnie i powoli, ale gdy tato zaczął krzyczeć, zamilkła. Mama przytakiwała siostrze, coś mamrotała i kiwała głową. Ani ja, ani Ojuna nie miałyśmy zdania. Dżargal otworzył usta, ale wystarczyło jedno spojrzenie Chiroko, żeby zamilkł. Najmą zaszył się gdzieś w

kącie i pewnie myślał o swoim gerze, w którym tato nigdy nikomu nie groził nożem, a mama nie sprowadzała czarownic.

Nara z Chiroko odjechały następnego dnia skoro świt. Niebo było ołowiane, a nad górami czekały w gotowości chmury pełne płatków śniegu. Pożegnała się z nimi tylko mama. Pozostali spali, a zanim się wygrzebałam i wybiegłam przed ger, żeby Narze i Chiroko pomachać i życzyć szczęśliwej drogi, już ich nie było. Przez step przewalała się mgła, a mnie wydawało się, że w oddali widzę dwie okutane, malejące sylwetki.

Dżargal został jeszcze parę dni, pomógł tacie sprowadzić owce z gór i zniknął. Nikt go nie zatrzymywał. Tato napisał do Ariuny list z podziękowaniem, bo Dżargal zawsze w pracy był odpowiedzialny i nigdy się nie oszczędzał, a możliwe, że dał mu też jakieś pieniądze.

Najmą został.

Był nam potrzebny, a on sam nie miał nic przeciwko temu. I tak zaczął u nas swój drugi rok, a potem trzeci. Nara ciągle była poza domem. Mama na początku jeździła do Chiroko co kilka miesięcy i przywoziła stamtąd strzępki informacji. Myślę, że Chiroko dużo jej mówiła, ale mama zostawiała to dla siebie. Jedno było pewne, że Nara dość długo nie mogła się pozbierać.

Z początkiem nowego roku szkolnego zaczęłam uczyć w szkole.

Spakowałam rzeczy w torby Nary i zamieszkałam w jej pokoju. Zajmowanie się dziećmi jest lepsze niż mycie misek i nalewanie herbaty z mlekiem w guandzu. Nauczycielka to o wiele poważniejsza profesja. W somonowym centrum zaraz mnie wszyscy znali i patrzyli na mnie z szacunkiem.

Miałam dwadzieścia dwa lata, przestałam się wygłupiać i nosić kolorowe kokardy, a jakbym miała dzieci, to starsze kobiety już mogłyby mnie uznać za swoją. A tak, to musiałam zawsze cierpliwie znosić ich długie przemowy i siedzieć cicho. Stare kobiety nigdy nie widziały Miasta i wszystkie ich rady były do niczego.

W somonowym centrum najbardziej lubiałam Anrę, tę, która mnie i Narze pożyczała konie, kiedy Nara była jeszcze nasza, a ja do niej przyjeżdżałam. Jak w somonowym domu kultury zebrało się trochę pieniędzy i mężczyźni wzmocnili dach nowymi podporami, to razem z Anrą założyłyśmy chórek dziecięcy. Dwa razy w tygodniu schodziło się parę szkrabów i czasem robiłyśmy jakieś występy dla rodziców. Anra umiała grać na morinchurze i na limbie, ja pisałam na tablicy słowa i pilnowałam, żeby wszyscy śpiewali głośno i to co trzeba. Anra mieszkała niedaleko mojego domu, który szkoła wynajmowała nauczycielkom, więc spotykałyśmy się wieczorami i mówiłyśmy sobie wszystko. Mama Anry rzadko bywała w domu, miała jakieś zajęcie we

władzach somonu, a taty Anry nie było od zawsze. Nikt tam więcej nie mieszkał. Tylko w tylnym pomieszczeniu w łóżku leżeli dziadek z babcią. Tak mówiła Anra, ale ja nigdy ich nie widziałam.

Opowiadałam Anrze o dzieciach. O tych, których nie cierpiałam, bo nigdy niczego nie umiały, o tych, którym było wszystko jedno, bo i tak nie miały się komu pochwalić dobrymi stopniami, i o moich ulubieńcach. Te dzieciaki chodziły czyste, miały zatemperowane ołówki, nie odzywały się bez pytania, a ich mamy i tatusiowie przychodzili zawsze, kiedy ich wzywałam.

Anra opowiadała o swojej mamie, brzydkiej Mongołce z wielkim garbatym nosem i ogromnymi uszami. Od dzieciństwa bałam się jej, wszyscy ją znali. Tak właśnie wyobrażałam sobie Uregmę. Jak Ulanceceg. Ojciec Anry chyba nie miał oczu. Zresztą szybko uciekł, a pani Ulanceceg drugi raz nie trafiło się takie szczęście. Anra zawsze miała wszystko tylko dla siebie i gdyby nie te chichy-śmichy to można powiedzieć, że miała dzieciństwo w porządku.

Rozmarzyła się, jakby myślała o tych dawnych dziecięcych czasach z brzydką mamą, i dopiero potem wyrzuciła z siebie to, co naprawdę chciała mi powiedzieć.

Od kilku miesięcy od czasu do czasu przyjeżdżał do niej mężczyzna. Nie był stąd. Spotkali się kiedyś w sklepie. Potrzebował benzyny, a Charal ze stacji jak zwykle gdzieś się zadekował i spał. Nikt inny nie miał klucza, więc Anra przyniosła mu z domu trochę benzyny z samochodu mamy. I tyle. A za tydzień znowu zapukał wieczorem. W jednej ręce miał kanister, w drugiej torebkę cukierków i wódkę. Że niby go poratowała tą benzyną i że powinni sobie z tej okazji trochę chlapanąć, no więc siedzieli i pili, aż wypili wszystko, a kiedy usłyszeli, że nadchodzi mama, to uciekli tylnym wyjściem za dom, i tam jej powiedział, że jest najjaśniejszą gwiazdą na tym nocnym niebie, i przewrócił ją na ziemię.

Było strasznie zimno. Anra opowiadała, jak szczekała zębami i jak wstydziała się tego pustego kościanego dźwięku, ale nie mogła go opanować. Na szczęście, kiedy wymykali się z domu, on zdążył chwycić kawałek jakiegoś koca, więc robili to na tym kocu. Mówiła, że z tej pierwszej nocy nie za wiele pamięta, ale że od czasów Złotej Ordy nasz step nie widział silniejszego Mongoła. Potem przyjeżdżał znowu i znowu, zawsze z wódką i cukierkami, i robili to za domem albo w domu.

Tak to się ciągnęło parę miesięcy. Nikt ich nigdy nie widział, tylko raz, kiedy byli zajęci w najlepsze, a on stał za nią jak wzburzony ogier, nagle posypało się szkło i do domu wpadł kamień.

Widzieli tylko czyjeś oddalające się plecy. Jakaś brudna jasnowłosa dziewczyna, nikt z miejscowych, więc to, że przestał przyjeżdżać, nie mogło mieć z tym nic wspólnego.

Anra westchnęła i położyła mi głowę na ramieniu.

Podobno nikomu innemu o tym nie mówiła. Zaczęła szlochać i objęła mnie za szyję.

„Kiedy mnie trzymał, czułam, że życie jest piękne. Kolory kwitły niczym pączki ostracicy, a step pachniał jak mleko z najświeższego dojenia. Teraz do końca życia zostanę sama. Taki drugi jeszcze się nie urodził. A ja, ofiara losu, nie umiałam go przy sobie zatrzymać”.

Podniosła głowę, jakby chciała mnie o coś zapytać. Beznadziejna sprawa. Mówiła o nim Bursztynowy Wojownik. Zdziwiła się, że chcę znać jego imię. Nigdy go o nie nie spytała.

Skoro już mówię o mężczyznach i o tym, w co się wplątywały dziewczyny, które były mi bliskie, i ciągle są, bo z Narą nigdy nie będzie inaczej, a i Anra nie zniknęła z tej ziemi, to przypomina mi się jeszcze jedno.

Zdarzyło się to trochę później.

Minęły następne trzy zimy i trzy rozjarzone wiosny, mama była coraz bardziej chora, bo woreczek żółciowy ciągle się odzywał, z kolei nasze stada trochę się rozrosły, a ceny kaszmiru były wyjątkowo wysokie, więc tato wymienił nasze stare auto na nowe. Ulanceceg wtedy jakimś cudem upolowała drugiego męża, więc częściej przesiadywałyśmy z Anrą u mnie. Mieszkał u nich Lia Po, a Uregma-Ulanceceg chodziła w ciąży z erlicem.

I właśnie tego dnia, kiedy mały Baldam po raz pierwszy zobaczył światło tego świata, w naszym ośrodku kultury odbywała się uroczystość. Właściwie nie było co świętować, ale władze somonu uznały, że dom kultury nie spełnia wymogów bezpieczeństwa, i mimo że mężczyźni trochę go podreperowali, to znowu zawalił się kawałek dachu, więc pójdzie do rozbiórki. Ale jeszcze przedtem, żeby ludziom nie było przykro, władze somonu zorganizowały w nim imprezę pożegnalną.

Z dzieciakami przygotowaliśmy Mój step, co ciągnie się w dal, Konie dzielnego Altanowa i inne ulubione pieśni naszego ajmaku. Przez cały wieczór Anra grała na morinchurze, kobiety nagotowały budzów i całe wiadra aksamitnej herbaty z mlekiem. Dwie dziewczynki z mojej klasy od małego ćwiczyły nugaralt, a ponieważ kobiety-węże zawsze mają powodzenie, nasze śpiewy przeplatały się z pokazami ich zręczności.

To był bardzo udany wieczór. Dziewczynki wyginały się na wszystkie strony, dorośli i dzieci przyglądali się temu z zapartym tchem, a do tego jeszcze nadarzała się okazja, żeby obgadać mnóstwo somonowych spraw.

Ja byłam jedną z ważniejszych osób w całym tym zgromadzeniu. Przygotowałam prawie wszystkie numery programu, więc niemal cały czas stałam na podium, uważałam na dzieci i tak ogólnie miałam na wszystko oko.

Nie mogłam nie zauważyć Ojuna.

Myślałam, że nikt z naszej rodziny nie przyjedzie, takie rzeczy zbytnio ich nie interesują, ale potem w najdalszym końcu sali dostrzegłam Ojuna. Musiała mnie widzieć, ale nie podeszła do mnie, a to nie mogło być tak bez przyczyny, tego byłam pewna. I potwierdziło się.

Ojuna siedziała wciśnięta w kąt, Najmą obejmował ją w pasie i oboje coś do siebie szeptali. I wtedy przypomniała mi się Nara i jak się to wszystko skończyło, i zaczęły mi migać przed oczyma fioletowe kręgi. Już-już miałam się zerwać i wywlec stamtąd Ojuna za włosy, ale zdołałam się opanować.

Mogłam coś popsuć, a ona potem wydrapałaby mi za to oczy. Lepiej nie. Dałam spokój.

Kiedy latem przyjechałam znowu na dwa miesiące do geru, Ojuna i Najmą już o wszystkim rozpowiedzieli. Tato się zgodził, mama objęła ich oboje i zaraz zaczęła wyskakiwać z różnymi pomysłami, dotyczącymi ślubu i tych wszystkich praktycznych rzeczy z mieszkaniem i tak dalej. Znowu działało się u nas dobrze.

Było oczywiste, że na weselu nie może zabraknąć Nary. Najbardziej nalegała na to Ojuna. Nigdy nie miałam o niej dobrego zdania, ale teraz widziałam, że walczy o siostrę jak tygrys. Postanowiono, że młodzi na razie postawią swój ger obok rodziców. Zdaje się, że Najmą tak upodobał sobie naszego tatę, że wcale go nie ciągnęło do domu, a myśmy się cieszyli, że Ojuna z nami zostanie.

Wypiękniała.

Tato mówił, że tak pewnie wyglądałaby Magi. Ale szepnął mi to po cichutku do ucha, żeby mama nie słyszała.

Miał rację.

Ona jedna okazała się podobna do niego, więc jasne, że był z niej dumny.

Najmą też miał się czym szczycić. Trudno znaleźć taką piękną, młodą i bogatą narzeczoną. Najmą miał tyle lat, ile miałyby Magi. Miną dwie wiosny i stuknie mu trzydziestka.

Nasza babcia zawsze mówiła, że kobietom, które poważnie myślą o życiu, nie są potrzebne gołowaśy. Gołowaśy są dobre do zabawy, na początek, ale

wyjsć za mąż trzeba za kogoś porządnego. I to samo dotyczy mężczyzn. Lepiej poczekać, a potem przez całe życie cieszyć się młodą żoną. Wszystkie żony Czyngis-chana były od niego dużo młodsze, tylko teraz ludzie wszystko mieszają, lamentowała babcia, narzekając, że minęły stare dobre czasy. Z Ojuny miałyby pociechę. Ale daleko Ojunie do babci. Dziadek był od babci starszy o dwadzieścia lat.

Ja go w ogóle nie znałam. Mama też nie. Tato zna go z opowieści swojej matki i z paru niewyraźnych wspomnień.

To było wesołe lato. Najmą i Ojuna cały czas przekomarzali się ze sobą, ścigali się na koniach, ale odwalili też mnóstwo roboty. Ojuna pokryła haftami stare dele Najmy, tak że rozjarzyły się kolorami, jakby na stepie wyrosły kwiaty. Już nie mama, tylko ona, jak prawdziwa żona, zajmowała się jego ubraniami. Rano zawsze wstawiała wcześniej, żeby mu wszystko przygotować, za to on nie pozwalał jej wykonywać żadnych ciężkich prac. Kiedy podnosiła cebry z wodą, zaraz na nią krzyczał i musiała je z powrotem odstawiać na ziemię.

Wieczorem coś sobie szeptali na ucho, tak samo jak wtedy w domu kultury, a na głos roztaczali wizje, jak będzie wyglądać ich nowy ger. Czasami widziałam, jak się sprzeczą, ale nie zdarzało się to przy nas. Z tego wszystkiego zrozumiałam, że można i tak.

Oni będą się kochać całe życie, powiedziała kiedyś Ariuna, kiedy przyjechała do mamy w odwiedziny.

A Burchan już wtedy wiedział, że będzie właśnie tak.

W końcu Nara przyjechała na wesele. Wtedy nie mieszkała już u Chiroko. Szarceceg zawiozła ją do Purewa, a Erka wzięła Narę do ich nowego guandzu. Słynni bracia rodem z naszego somonu po wielkich sukcesach splajtowali, więc dawny warsztat szewski, przerobiony na sklep z częściami do samochodów, w końcu przemienił się w guandz.

Podobno Nara radziła sobie tak samo dobrze jak ja. Szarceceg już nie chciała przyjąć do domu żadnej dziewczyny, więc Nara spała w nowym guandzu, w małym pomieszczeniu za kuchnią.

Strasznie byłam ciekawa tych wszystkich wieści.

Nigdy przedtem nie byłam tak niecierpliwa i podniecona, jak tego dnia, kiedy miała przyjechać. Zerwałam się nad ranem. Włożyłam najstrojniejszy del i robiłam się na bóstwo.

Tato śmiał się ze mnie, że pewnie wyglądam narzeczonego i że dzisiaj drugiej dziewczyny nie będzie wydawał za mąż.

Ale przecież Nara jest najbliższą mi osobą. Dla kogo innego miałabym się tak stroić, jeśli nie dla niej?

W czasie powitania wszyscy byli jacyś nieswoi.

Nara patrzyła w ziemię, a potem szybko poszła do mamy, do garnków. Cały ten uroczysty przepych nagle w moich oczach oklapł jak wielbłądzi garb w chudym roku.

Te wszystkie wspaniałości były niczym w porównaniu z jednym słowem Nary, jednym spojrzeniem, które mogła mi dać. A ona nic. Dopiero wieczorem.

Najpierw zapytała o swoje dzieci w szkole. Niektóre z tych, które miała w klasie, już skończyły naukę, ale większość przeszła do mnie, więc starałam się wszystko jej opowiedzieć i o niczym nie zapomnieć. Chciała wiedzieć, czy dyrektor pozwala teraz zabierać sieroty na wakacje, ale tego nie wiedziałam. Opowiadałam jej o Anrze, o tym, że Uregma-Ulanceceg ma dziecko z Chińczykiem, ale że nikt nie miał jej tego za złe, bo przecież żaden inny nie dałby się usidlić, i o uroczystości, i kiedy w kącie zobaczyłam Najmę z Ojuną. Nara uśmiechnęła się porozumiewawczo i spytała, czy kogoś mam. Pokręciłam głową. Nara powiedziała, że to dopiero wstyd, i wskazała Ojunę. Zaczęłyśmy się pokładać ze śmiechu. Obie byłyśmy dużo starsze niż panna młoda.

Wesele udało się wspaniale. Jeszcze długo się o nim mówiło.

Gotowaliśmy parę ładnych dni i parę ładnych dni potem jedliśmy. Przyjechali wszyscy wujowie i ciotki, oprócz Chiroko i Szarceceg, kuzyni, oprócz Dżargala, wszystkie kuzynki, ile ich wydał nasz ród, i jeszcze mnóstwo innych osób. Przyjechała Anra z Ulanceceg i małym Baldamem, wszyscy od Ojunbata, Batu, Gerle i Dawdza, Majdar z Munchceceg, a inni zjeżdżali się jeszcze drugiego i trzeciego dnia.

Młoda para dostała całe mnóstwo prezentów, więc Ojuna miała właściwie wszystko do wyposażenia domu. Potem postawili ger, goście pomału się porozjeżdżali, a nad stepem rozpostarła się pożegnalna cisza.

Ledwie mama pozbyła się kłopotów związanych z weselem, zaczęła szyc małe buciki i del dla niemowlaka, aż Ojuna zaczęła jej robić wymówki, żeby czasem nie zapeszyła. Ale mamę to trzymało przy życiu.

Wszyscy widzieliśmy, że robi się coraz bardziej żółta i słania się na nogach. Lada chwila mogła wylądować w szpitalu. Tak naprawdę to powinna być tam cały czas, ale to byłby dla niej koniec. Pojechała dopiero wtedy, kiedy już naprawdę zrobiło się źle. Po weselu leżała parę tygodni w szpitalu. Nie mogła niczego jeść, a zwłaszcza tego, co dostawała u nas w gerze, z wyjątkiem nieokraszonych klusek i ryżu. Tato jednak już nie mógł wytrzymać jej

nieobecności, więc któregoś dnia odpaliliśmy naszego dżipa, wyłożyliśmy tył kocami, żeby mamie leżało się wygodnie, i pojechaliśmy po nią do szpitala.

Lekarka tylko powiedziała, że jeśli mama tego nie przeżyje, to nie będzie jej wina.

Wcisnęła tacie torebkę proszków, a ja mamę podtrzymywałam, kiedy musiała zejść na dół po schodach.

Ojuna miała dość swoich kłopotów, Nara już wyjechała do Miasta, więc ja musiałam się zająć mamą. Jadła sama, nie tak jak babcia, ale poza tym było całkiem podobnie. Też nie chciała się ruszać, wiecznie spała i tylko w kółko zrzedziła. Tato wracał wcześniej i zaraz siadał przy łóżku mamy, a śmierć snuła się w pobliżu, ale musiała poczekać na mamę jeszcze parę długich lat.

W końcu na nogi postawiło ją dziecko Ojuny To był chłopczyk, wszyscy Najmie gratulowali i Ojunie też, że nie odziedziczyła pecha po mamie. Wraz z obowiązkami babci mama złapała drugi oddech, uwijała się jak bąk i zajęła się robotą. Odmłodziła.

Potrafiła obrobić cały ger, włącznie z dzieckiem, a mnie po raz pierwszy zaczęło się wydawać, że jestem w swojej rodzinie zbędna. Każdy - oprócz mnie - był w jakiś sposób ważny. Tylko ja nadawałam się do wszystkiego i do niczego, miałam już swoje lata na karku, a o takich niezamężnych kobietach zaczyna się wygadywać niestworzone rzeczy.

Wiedziałam, że nie pozostaje mi nic innego, tylko spróbować szczęścia po raz drugi. Spróbować i wierzyć, że coś z tego wyjdzie.

Kiedy w gerze akurat nikogo nie było, zapaliłam dwie świece, podniosłam naszego kamiennego, oddającego chłód Burchana i po cichu wypowiedziałam życzenia.

Na stole zostawiłam krótki liścik, parę zdań, i do woreczka włożyłam trochę chuszurów.

Pojechałam do somonowego centrum.

Stąd prędzej czy później można złapać jakąś okazję do Miasta. Nie chciałam się nikomu tłumaczyć. Miałam dwadzieścia cztery lata.

Kierownikowi szkoły zostawiłam w drzwiach kartkę, że muszą sobie znaleźć kogoś na moje miejsce. Przez te dzieci nie mam zamiaru zostać starą panną. W somonie już wszystkich znałam.

I tak po raz drugi w życiu wyrosły przede mną dwie majestatyczne wieże elektrociepłowni w Ułan Bator. Już godzinę przed Miastem czułam upojny dymny smród, który rodzi się w piecykach tysięcy gerów i w kotłowniach setek wyniosłych sowieckich bloków. Wsiadłam w tym ogromnym, szarym, zakurzonym tyglu i poszłam tam, gdzie zawsze był bazar.

Nogi niosły mnie same. A głowa w ogóle nie myślała. Była pełna dźwięków, tych metalicznych i skórzanych targowych dźwięków, kiedy mężczyźni wypróbowują nowe siodła i rzemienie, a chłopaki latają naokoło placu ze straganami i kawałkiem patyka z klekotem wałą o płot z blachy falistej, który cały ten asfaltowy prostokąt oddziela od Miasta. Bo jak ktoś chce wejść na targ, musi zapłacić, dać okutanej w różne łańchy babie parę groszy za różowy bilet wstępu.

Musiałam przejść kawałek przez przedmieścia. Mgłę przecinały, niczym wyszczerzone wilcze zęby, betonowe ruiny najeżone pordzewiałymi, powykręcانymi prętami i sterczącymi kawałkami żelastwa. Przechodziłam przez rury, w których spali ludzie. Było jeszcze wcześniej. Zawsze o tej porze Erka i Purew zaczynali siekać bajce i inne warzywa na sałatkę. Gdybym wtedy do nich poszła, wróciła do ciepłej, przytulnej jadłodajni, może teraz tak bym tu nie siedziała. Siedziałabym pewnie gdzie indziej. I z kimś innym.

Ludziom, którzy przybywają z Rosji, Miasto się nie podoba. Mówią, że Miasto, w którym czasem przez całe lata nie zazieleni się żadne drzewo i w którym nie ma ani jednej ulicy bez dziur i zdradliwych zapadlisk, to nie jest żadne Miasto. Rozmawiałam w guandzu z jednym Rosjaninem, który mówił, że czegoś takiego jak nasze Miasto w życiu nie widział, a podobno jeździł do Europy, a i Rosję zna jak starzy ludzie swój ajmak. Rzucił mi trzysta tugrów napiwku za zupe, przyciągnął mnie do siebie i posadził sobie na kolanach, i mówił, że jeżelibym chciała, to mnie stąd wyciągnie. Ale ja musiałam wracać do kuchni, a kiedy przyniosłam herbatę z mlekiem, już go nie było. Powiedziałam o tym wtedy Erce. Tylko się śmiała. Mówił, że jest z Leningradu. To było wtedy, kiedy byłam w Mieście po raz pierwszy.

Bazar właśnie się otwierał. Z wyładowanych aut wynoszono pudła z koszulkami, kurtkami, pochwy na noże, grzebienie, miski, rękawice, papierosy, kompletną końską uprząż, telewizory, po prostu wszystko. Handlarze rozkładali stragany, zapelniali je rzeczami, a potem przystawiali obok i zacierali zmarzniete ręce. Pomiedzy budami snula się stara baba z pudłem chuszurów, a straganiarze odsyłali ją od jednego do drugiego.

Mnie też przerzucali między sobą jak gorący ziemniak. Żaden nie mógł dać mi pracy, ale każdy mnie zatrzymywał i chciał pogadać.

Wieczorem zadzwoniłam do Kulana. Nie zapomniałam o mężczyźnie, z którym siedziałam pod frędzlami wielkiej makaty z Czyngis-chanem, ani o herbacie z mlekiem tamtego ranka. Zanim się na to zdobyłam, kartka z jego numerem już była tak wymiędlona, że prawie nic nie mogłam odczytać. Musiał być zaskoczony, że ciągle mam ten numer, najpierw coś odburkiwał i nie

bardzo chciał rozmawiać, ale w końcu pod bramę targowiska przyszedł po mnie jakiś mężczyzna, powiedział, że jest od Koli i że mam z nim iść. Przez całą drogę prawie się nie odzywał, potem weszliśmy do starego bloku, a on bardzo długo grzebał w torbie, zanim znalazł klucze. Było tam ciemno i bałam się. Kiedy otwierał, za drzwiami słyszać było jakieś hałasy, piski. Okazało się, że ma trójkę małych dzieci.

Przywitałam się z żoną, położyłam się tam, gdzie mi pokazali, i natychmiast usnęłam. Następnego dnia dostałam pracę na bazarze.

Stałam z lodami przy wejściu i roznosiłam po straganach jedzenie i picie, dostawałam za to kilka tugrów na dzień. Akurat tyle, żeby nie zdechnąć z głodu.

Nawet w naszym guandzu nie najadłabym się za to porządnie.

Po tygodniu zrobiłam się chuda i brudna, bo nie było gdzie się myć, a Kulan za każdym razem rzucał słuchawkę, kiedy usłyszał mój głos. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że kraść jest tak łatwo.

Po południu, kiedy schodziło się najwięcej ludzi, można było dość długo kręcić się koło straganu z bułoczkami i herbatnikami w polewie. Przez ten czas udawało mi się ukraść to i owo z toreb, ze dwie albo trzy bułoczki z lady i jeszcze mogłam coś dać dziewczynce, która przez ten czas pilnowała moich lodów. Ale nie mogę powiedzieć, żeby powodziło mi się dobrze.

Kiedy kończył się dzień, ludzie wracali do przytulnych bloków z workami pełnymi kupionych rzeczy, a handlarze grupkami wybierali się na wódkę.

Ja wystawałam przy bramie. Płachty uderzały o nagie konstrukcje straganów, pomiędzy którymi fruwały pomięte papiery. Spałam pomiędzy pudłami przed tylną bramą. Zagrzebywałam się w workach, a przemarznięte ręce ścisikałam między udami. Zawsze byli tam jacyś bezdomni przybysze z prowincji. Przed snem trochę ze sobą rozmawialiśmy - z jakiej kto jest okolicy i w ogóle.

Często ktoś mi proponował, żebym z nim poszła. Byłam młoda i od razu widać, że nie z Miasta. Mężczyźni wywalali na mnie oczy i rozdygotanymi palcami chwyтали mnie za rękę. Spierzchnięte wargi powtarzały jedno i to samo. Czasami wystarczyło, żebym powiedziała nie, a czasami musiałam się wyrwać i odbiec kawałek dalej. Wiatr odwiewał ich bezwstydną słowa. Czternastego dnia na całej długości rozerwał mi się rękaw delu. Miałam w nim już całą kupę lukrowanych herbatników, aż tu nagle ktoś mnie złapał od tyłu. Zaczęłam uciekać i wtedy to się stało. Rękaw się rozpruł, powypadały z niego ciastka, a handlarze zaczęli mnie okładać. Dołączyli się też jacyś inni ludzie, a kiedy wypłatałam się z tej kotłowaniny, w nosie bulgotała mi krew i spadała kroplami

z rozciętego czoła na rozdarty del. Ani tego dnia, ani następnego nic nie sprzedawałam. Od zakrwawionego kocmołucha nikt nie chciał niczego kupić, no i kraść też już nie mogłam. Musiałam wymyślić coś innego.

Nara nigdy nie przestała być moją ukochaną siostrą, a ja nie poszłam do niej od razu tylko przez jakiś głupi wstyd.

Powtarzałam to sobie po drodze do guandzu Erki, bo tam powinni coś o niej wiedzieć. Nie było to pewne na sto procent. Po naszym spotkaniu z Narą na weselu Ojuny zaczęły do nas dochodzić dziwne wieści. Mama musiała je mieć od Szarceceg, a ta - Burchan wie skąd. Ze podobno Nara zadaje się z mężczyznami. Niby w to nie wierzyliśmy, ale wiem, że mamie i tacie wypalało to serce.

Tato na pewno robił sobie wyrzuty, że wtedy w nocy odłożył ten naostrzony nóż. Zabierali mu córkę, a on tylko wymachiwał nim nad piecem. Głośno się o tych plotkach nie mówiło. Ja też w nie nie wierzyłam. Ale przyjść do guandzu i nie znaleźć tam Nary - tego nie chciałam. I dlatego nogi same zaniósły mnie na targowisko. Ale teraz potrzebowałam pomocy. Oby to były tylko oszczerstwa zazdrosnej Szarceceg.

Ale w guandzu Nary nie było. Erka dała mi jej telefon i gniewała się, że wtedy nic im nie powiedziałam, tylko zniknęłam na długich pięć lat, i jeszcze, że jestem taka brudna i śmierdząca. Mówiła, że Nara pracowała bardzo dobrze, i pytała, czy nie chciałabym przyjść na jej miejsce. Miałabym po niej pokój, gary myłyby mi małe dziewczynki, a ja bym tylko na nie uważała. Potrzebowałam pracy. Potrzebowałam pieniędzy. Ktoś obcy we mnie jednak powiedział nie. To byłam ja i nie ja. Od razu tego pożałowałam, ale Erka uznała, że sprawa jest przesądzona, i czułam, że muszę odejść.

Na dworze już było chłodno, a autobusom w ciemności świeciły się ludzkie oczy. Nocne miasto to wnętrzości pełne ruchu. Gdzieś pobyty nieeliczne latarnie, ale prawdziwe światło jest tylko na głównym placu. W mieście ruch panuje bez przerwy. Eleganckie dżipy bogaczy pędzą przed sobą dziesiątki poobijanych aut z drugiej ręki. Nocą wystawione na dwór stoły bilardowe oblepiają mężczyźni, którzy nigdy nie kładą się spać. W chodniku pełnym gór i dołów co chwila trafiają się huczące dziury - otwarte kanały. Promieniają ciepłem i głębokim oddechem śpiących. Wystające balkony i betonowe załomy ścian kryją opatulone, skulone postacie.

Szłam po głównej ulicy i z zaciśniętymi pięściami schodziłam z drogi cieniom. Popychały mnie uderzenia wiatru, który pachniał benzyną i tłustym kurzem. Który nie pachniał tak jak w Czerwonych - Górach.

Takiego wiatru nie ma nigdzie. Nie ma drugiego tak surowego miasta, które zrywa z gerów wołokowe płachty i ubiera je w popękany beton. Które blokami sięga obłoków, a gerami wrasta w święty, nieskończony step. Miasta, którego świt krwawią kopie nieskończonych zastępów, a zachód słońca czerwienieje gwiazdą o pięciu ramionach. To była dumna noc. Miasto chanów sypało pyłem i miotало kamienie. Domu schadzek Nary za nic nie mogłam znaleźć.

Od razu do niej zadzwoniłam, od chłopaka, który przesiadywał zwykle tuż koło guandzu. Cały dzień tkwił w kucki na chodniku i wciskał swój trzeszczący telefon każdemu, kto koło niego przechodził. Obcy głos w słuchawce na chwilę zamilkł, a potem chyba długo Nary szukali, bo zapadła cisza, a ja z niepokojem patrzyłam, jak zadowolony chłopak liczy minuty i już się cieszy na moje drobniało.

Nara mówiła szybko i mętnie. Nie zrozumiałam, czy tych pięć minut miało być piechotą, konno czy autem. Zapomniałam spytać. Po godzinie błędzenia w końcu trafiłam. Znajdowałam się na głównej ulicy, widziałam stąd guandz Erki.

Na pierwszy rzut oka był to podejrzaný lokal. Przy wejściu paliło się czerwone światło, nad drzwiami wisiał wielki, starannie wykonany napis „Diwadzin”, a przed domem stało kilka luksusowych aut. Wokół nich kręciły się kobiety. Dwie były pogrążone w przyjacielskiej rozmowie, jedna natrętnie zaczepiała mężczyznę, który przechodził obok i w ogóle nie zwracał na nią uwagi, a dwie inne szarpały się za włosy pod neonową tablicą i miotaly się w bójce. Szminka rozmazana na ich twarzach wyglądała jak rany odniesione w walce, oczy ginęły w czarnych kręgach, z których strzelały błyski, a nogi miały rozkraczone niczym zapaśnicy i spod krótkich spódnic wystawały im sute koronki.

Nara stała ukryta w cieniu przy wejściu. Objęłyśmy się. Chwyciła mnie pod rękę i weszłyśmy do środka. Potem wspinałyśmy się po stromych schodach, piskliwy kobiecy śmiech dźgał mnie w skronie, poręcz wiła się jak rozżarzony wąż, światła uciekały gdzieś daleko i parowały prosto w gwiazdziste niebo, usiane świecącymi kamykami, potem znowu rosły i rosły, i już myślałam, że spłonę, del zaczął mnie parzyć i przypiekał mi skórę. Chciałam wyjść. Wyjść ze swojej skóry, zbiec w dół schodami, brakowało mi powietrza, a palce Nary wpijały mi się w pachy jak rzemienie i ciągnęły mnie coraz wyżej, w stronę ostrego i głośnego niebiańskiego światła. Nagle powiedziałam: dosyć. Pamiętam to miarowe łup-łup, kiedy moje nogi uderzały o schody. Musiały mnie ciągnąć we dwie. Na drewnianych schodach uderzenia dudniły jak odliczanie, światła i huk mętniały i zlewały się ze sobą, sufit był coraz niżej i

walił się na mnie jak kafar. Potem usłyszałam pstryknięcie. Pewnie włącznik światła w pokoju Nary.

Kiedy się obudziłam, mojej siostry już nie było. Zza ściany dochodziło miarowe skrzypienie łóżka i charczenie, jak wtedy kiedy tato źle wymierzy i krew zaleje zwierzęciu poranione płuca. Poza tym panowała zupełna cisza. Potem powoli zaczęły się rodzić dźwięki. Jeden za drugim, tak samo jak wieczorem w Mieście stopniowo zapalają się światła. Doleciały mnie odgłosy kobiecej paplaniny, potem usłyszałam auta na ulicy, później gdzieś z daleka głośną muzykę, która potężniała, potem skrzypienie schodów, ktoś szedł na górę albo w dół, wreszcie zgrzytnęła klamka. Znowu zamknęłam oczy. Nara mówiła, że to niemożliwe, żebym na targowisku była tylko parę dni. Ja byłam pewna, że tak, ale ona mówiła, że w tak krótkim czasie nie można się tak urządzić. To musiało być co najmniej kilka miesięcy. Nie dała się przekonać. Byłam za słaba, żeby się kłócić. Kilka dni tylko leżałam i w kółko liczyłam pająki i wachlarze pęknięć na suficie. Wyglądały jak pajęczyny, i za każdym razem wychodziło mi inaczej. W moich snach było pełno sieci. Łapałam w nie zwierzęta.

Z czasem nauczyłam się rozpoznawać wszystkich mężczyzn Nary.

Po pchnięciach, po oddechu, po szepcie i po gwałtowności.

Niektórzy byli gotowi raz-dwa. Bez słów, bez długiego skrzypienia. Takich Nara lubiła. Ale niektórzy musieli się najpierw nagadać, przeklinali i zasypywali Narę świństwami, a ona musiała się długo rozbierać i pokazywać im swoje rzeczy, dopiero wtedy zabierali się do dzieła. Potem cały sąsiedni pokój się trząsł, a tych dwoje zza ściany wdzierało się do moich snów. Najgorsi byli faceci z wymaganiami. Większość mężczyzn żadnych wymagań nie miała, tylko przychodzili po swoje, a potem wychodzili zadowoleni, z lekkim uśmiechem na twarzy. Ale niektórzy mieli specjalne życzenia. Tacy przychodzili po kilka razy, Nara już wiedziała, co będzie i jak najlepiej i najszybciej załatwić sprawę, i nie musiała się wysilać z domysłami i próbami.

Wołodia, miły Rosjanin, jakich w naszym gerze pojawiało się co roku kilku, a do guandzu tacy przychodzili koło południa i siadali gdzieś z tyłu, zawsze się przy tym wściekał w pokoju obok. Nie wiem dlaczego, ale potem był strasznie chamski, a Nara miała posiniaczone plecy. Chyba właśnie najgorzej było, kiedy przychodził Wołodia. Potem Nara musiała spać na brzuchu, czego od dziecka nie cierpiała, a innym mężczyznom odechciewało wszystkiego przez te pokancerowane plecy, i szli do innej.

Z Rawdanem było na odwrót. Zawsze przychodził do Nary z torbą pełną różnych rzeczy, a potem Nara mi opowiadała, co miał tym razem nowego, i

śmiałyśmy się z tego. Rawdan chciał, żeby się nad nim znęcać, więc Nara się nad nim znęcała.

Praca w guandzu działała Narze na nerwy. Podobno Erka do wszystkiego się wtrącała i nie pozwoliła jej niczego zrobić po swojemu.

Po zmroku w okno pokoiku Nary na parterze walili jacyś włóczędzy, więc codziennie bała się kolejnej nocy. Wieczorem nie mogła przez to usnąć, potem w pracy snuła się jak pijana, a kiedy zrobiło się ciemno i Erka szła do domu, w pokoiku migały cienie nocnych aut i ludzi, którzy pukali i śmiali się. Było słyszeć brzęk butelek i chlupot wódki. Zwłaszcza jak uchyliła okno, żeby wpuścić trochę powietrza.

Na Erce i Purewie nie zostawiła suchej nitki. Nienawidziła, kiedy w ciągu dnia Erka tłustymi rękoma dotykała jej włosów. Ja uwielbiałam te macierzyńskie dotknięcia jej miękkich, małych dłoni. Nie cierpiała chodzić z Purewem na bazar po mięso. Ja wtedy wydawałam się sobie ważna i lubiłam się targować, ale Narze na targu śmierdziało, a kiedy zawadziła łokciem o mięso, które dyndało na hakach, mówiła, że robiło się jej niedobrze.

Nara siedziała na moim łóżku, opowiadała, chwilami długo milczała, przyglądała włosy, a ja nie mogłam oderwać od niej oczu.

Myślałam o Chiroko. Nara była odmienicą, kiedy mama ją do niej wiozła, co do tego nie ma dwóch zdań. Ta cała sprawa z Dżargalem była najdziwniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w naszej rodzinie. W naszym rodzie zawsze wszystko było jak należy. Ludzie się rodzili, dorastali, mężczyźni chodzili ze stadem, a kobiety miały obowiązki w gerze, i tak mijały zimy, ludzie pochylali się ku ziemi, potem zasypiali na wieki, a ród rozkwitał dalej poprzez ich potomków, którzy najpierw raczkowali koło dorosłych, a potem dzielili się na tych, co idą do stada, i tych, co niańczą ich dzieci.

Odmieńcy pojawiali się u nas zawsze tylko w opowiadaniach. Co prawda, babcia uprawiała czary, przynajmniej od czasu jej śmierci coraz bardziej wszyscy w to wierzymy, ale nigdy nie zrobiła nic, czego nie można było zrozumieć. Czasami bywała tajemnicza, bo wiedziała więcej niż my i miała moc, ale zanim się zestarzała i zaczęła zapominać o soleniu mięsa na chuszury wszystkie domowe i inne obowiązki wykonywała tak jak trzeba.

Tajemniczość Nary była inna. Kiedy na nią padło, przestała być jedną z nas. Z nas, kobiet, które znają swoje miejsce, wiedzą, kiedy wypada się odezwać, gdzie można znaleźć najsuchszy argal, co zrobić z dzieckiem, jeśli ciągle płacze, i jak przyrządzić herbatę z mlekiem, tak delikatną jak brzuszek nowo narodzonych wielbłądzą. Nara już taka nie była.

Co prawda, nie miałam pojęcia, co się działo z Nara u Chiroko, nawet nie wiedziałam, gdzie się Chiroko podziewa, ale pewne było jedno, że Chiroko nie oddała nam naszej Nary. Tak sobie pomyślałam, kiedy Nara siedziała przy mnie na łóżku i opowiadała o nieskończeniu złych lat, pełnych mycia plastikowych stołów i nakładania ryżu do obtłuczonych misek, o grubym Purewie, przez którego w kuchni nie było gdzie się ruszyć, i o jego żonie z wiecznie czerwonymi policzkami i brudnymi palcami, które wtykała w garnki, żeby spróbować brei, co zawsze pachnie tak samo: zjełczałym łojem i zbyt mocno przyprawionymi warzywami.

Po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że Nary nie rozumiem. Kiedy sobie przypominałam, jak z Erką wybierałyśmy nowe różowe obrusy, które potem Nara szorowała i przeklinała, jak kupowałyśmy wazon na ladę, w którym później codziennie stała świeża wiązanka, a Nara prędzej by ją rozbiła, niż zmieniła kwiatki na nowe, i jak mówiła, że ich wyłysiałe łodygi zasłaniają jej widok, więc kiedy to wszystko sobie przypominałam, łzy napłynęły mi do oczu. A Erka tak Narę chwaliła. Ja już tego ich całego dobrodziejstwa dla dziewczyny z prowincji nie mogłam wytrzymać, wybuchnęła nagle Nara. Nie mogłam wytrzymać, rozumiesz? To „rozumiesz” Nara wykrzyczała.

Nigdy przedtem nie patrzyła na mnie takim złym wzrokiem. Jeszcze nigdy nie była tak daleko.

Naciągnęłam koc po same oczy i czułam, jak powstaje rozstępek, który słowa Nary wyrąbały między nami niczym ciosy siekiery, i jak z każdą chwilą ciszy ten rozstępek rozszerza się w przepaść, której żadna z nas nie będzie już mogła przeskoczyć. Znałam te słowa i wiedziałam, co znaczą, ale dlaczego Nara to wszystko mówi - tego nie rozumiałam. Kto jej zrobił co złego? Nic nie powiedziałam. Przecież byłam starsza i nie mogłam nie rozumieć swojej własnej siostry, młodszej i kochanej. Teraz wiem, że nie działo się nic strasznego.

Wtedy czułam tylko, że zacząć opowiadać o tym, że dla mnie te wszystkie sprawy były nowe i ciekawe, że spełnił się mój sen, że miałam pracę, a potem z Bjamchu byłam naprawdę szczęśliwa - zacząć o tym wszystkim mówić nie miałoby sensu.

Tak samo na nic by się nie zdało powiedzieć, że lepiej jest być kucharką w porządnej jadłodajni, niż chodzić za pieniądze z facetami. Po paru miesiącach zresztą te mądrości i tak wywietrzały mi z głowy. Znowu zaczęłyśmy się rozumieć. I nie wiedziałyśmy, że to wszystko przez mężczyzn.

Ale już wtedy nie mogłam wyjść z podziwu nad tym, że chociaż Narze było tak samo okropnie źle jak mnie, zawsze wyglądała na najwspanialszą

rozpustnicę, jaka kiedykolwiek postukiwała obcasami w pyle ułanbatorskich ulic. Była niezniszczalna, później też. W alabastrowobiałej twarzy rysowały się czerwone, zmysłowe wargi, mimo jej nieposkromionego, gwałtownego potoku mowy wciąż jakby świeżo uszminkowane, a wyskubane, pociągnięte kredką brwi tworzyły piękną, wyzywającą linię. Nara pudrowała również i szyję, nie jak te tanie panienki, które wieczorem pukają facetom w okna aut i rozplaszczają piersi o szyby. Tamte wyglądały jak maski z chińskiej opery. Ich białe twarze były nadziane na brązowe, brudne szyje. Szminkę miały rozmazaną po całej twarzy, a spod ich koszulek zalatywał smród niedomytego ciała. Nara była fantastyczna. Kiedy zamrugała długimi, umalowanymi na czarno rzęsami, to jakby świat umarł i w jej orzechowych oczach urodził się na nowo. To nie były te ciemne węgielkowe igielki, które miałyśmy my wszystkie, ale kremowe orzeszki cedrowe. Kłaniał się wędrowny najmaczin od ryb z Władywostoku. Włosy miała dość długie, falowały jak diuny pustynnego piasku i opadały jej na plecy.

Ale ładna buzia to nie wszystko. Tak uważała babcia, i faceci, którzy przychodzili do Nary, też. Mówiła mi to. Jeszcze szczupłe nogi, szerokie biodra i piersi twarde jak woreczki wypchane borówkami, które zbierałyśmy jesienią u podnóża Czerwonych Gór. Przez to wszystko mężczyzn ciągnie do niej bardziej niż do innych. Ja tam nie wiem. Co za różnica.

Przypomniałam sobie tych wszystkich złośliwych chłopaków, którzy dokuczali Narze w somonowej szkole z powodu jej jasnych włosów. I złe, grube buriackie nauczycielki w przedszkolu, od których się tego nauczyli.

Facetów takich kobiet miała teraz Nara uwiązanych na jednym włosku swojej bujnej grzywy. Wracali i dobrze płacili.

Byłam tylko strasznie zmęczona, wygłodzona i obolała, ale właściwie nic poważnego mi nie dolegało. Trochę poleżałam, i znów było dobrze. Nara chodziła koło mnie jak Soldo koło Małej. Kiedy przychodziła pora jedzenia, a ona akurat nikogo nie miała, podkładała mi pod głowę miękkie poduszki i wybierała z churagu najtłustsze kawałki, żebym szybko doszła do siebie. Na taką nikt nawet nie spojrzy, mówiła. Popatrz tylko, jakie masz chude ręce. I dwoma palcami ścisnęła moje ramię. Widzisz? Nara miała nadgarstki jak moje kostki u nóg, a przecież nie była gruba. Z czasem uświadomiłam sobie, że Nara uważa za rzecz przesadzoną, że tu zostanę i w jakiejś ciasnej pakamerze będę fikać z facetami przez całe noce tak jak ona. Przede wszystkim nie chciałam, żebyśmy się znowu ścięły, więc jak długo się dało, nie wyprowadzałam jej z błędu.

Kiedy postanowiłam odejść, Nara nie miała mi tego za złe. Akurat kogoś przyjmowała, więc nawet nie mogła mnie odprowadzić. Podczas gdy mężczyzna ściągał łachy, wychyliła się szybko z okna i pomachała mi wesoło. Potem jeszcze długo Nara nie wychodziła mi z głowy. Kiedy pracowałam na straganie ze słodyczami, kiedy gotowałam w szkolnej stołówce, kiedy na poczcie przybijałam pieczątki na listach, kiedy opiekowałam się jasnowłosym Mikołajkiem, synkiem jednej Rosjanki, kiedy w plastikowym płaszczu i rękawiczkach z obciętymi palcami przedzierałam bilety w autobusie miejskim linii Bombogor - Bochijn Orgo i z powrotem.

Spałam za parę tugarów, gdzie się dało, a dało się wszędzie. To wszystko odkrywałam stopniowo. Powoli docierały do mnie coraz to nowe rzeczy. Może zaczynałam rozumieć coś z tego, co mówiła Nara, a może i nie, ale w guandzu u Erki nikt mnie już nigdy nie zobaczył. Nie mogłam robić czegoś, o czym Nara myślała, że to głupie, z kimś, o kim Nara mówiła tak jak wtedy o Purewie. To było niemożliwe. Ale robić coś, co sama uważałam za ohydę, to tak, to mogłam.

Po kilku miesiącach powlokłam się w kierunku nęcących neonowych świateł. Diwadzin. Jeszcze nie minęło południe, drzwi były zamknięte, a okno Nary na górze zasłonięte. Zapukałam. Z daleka przybliżały się czyjeś powolne, szurające kroki.

Ze szpary w uchylonych drzwiach wyrzała czyjaś twarz, za mocno obsypana pudrem. Tak dobrze znana, a przecież obca twarz mojej ciotki Szarceceg.

Cały czas podejrzewałam, że zajmuje się czymś niegodziwym. Stale zachodziłam w głowę, skąd Mergen bierze forszę na to swoje codzienne wysiadywanie przy wódce i dlaczego Żółty Kwiat nigdy nie zabrała mnie ze sobą do tego kombinatu mięsnego, w którym, jak twierdził Purew, pracowała. Teraz nie zastanawiałam się nad tym. Nie było na to czasu. Następnego dnia, ledwie wstałam z łóżka, wzięła mnie do pracy.

Wszystko mi pokazała. Cały dom, dziewczyny, kobiety za ladą i pokój, który mi przydzieliła. Ciemny, cuchnący po wizytach mężczyzn. Łóżko z cienkim, spranym prześcieradłem, lampka z żółto-czerwonym abażurem.

Nie krzyczeć, być miłą i pieniądze brać zawsze z góry. Takie były zasady Szarceceg.

Innych nie miała.

Szybko to zrozumiałam, zaraz po kilku pierwszych dniach. Byłam już zmęczona i cała obolała. Nara mówiła, że potrzeba kilku dni, żeby się przyzwyczaić. Najpierw to boli, potem jest obrzydliwe, a po paru tygodniach,

zależy od dziewczyny, każda nauczy się być w dwóch miejscach naraz. Jest tam, i jednocześnie nie ma jej. Nara mówiła, że często wtedy bierze konia od Anry i pędzi na nim po swoich ulubionych górach. Odwiedza także Chuczteja, małomównego, cichego sierotę, którego wzięła do geru ostatniego lata, zanim kierownik tego zabronił. A kiedy trwa to dłużej, wyobraża sobie wszystkich z naszego geru, jednego po drugim, i zastanawia się, jak sobie radzą.

Tak sobie myślę, że do tych rodzinnych obrazków wplata się Narze też i Dżargal. Szanuję ciotkę Chiroko, ale Narze już na zawsze zostało coś w oczach. Coś z tych szybko więdnących wiązanek, które rozwieszała w gerze na żerdziach.

Czwartego dnia mojej pracy ostami przyszedł mały, zasuszony człowieczek. Nie miał żadnych specjalnych życzeń, więc słuchałam, jak za szybami budzi się miasto, jak auta coraz gęściej przemykają z warkotem jedno za drugim, a po ulicy przelatują krzyki zaspanych straganiarzy.

Facet zrobił swoje, a potem się ze mnie podniósł i już stał w drzwiach. Czekał, czekał, mówię. Jakby go coś dźgnęło, nacisnął klamkę, drzwi huknęły jak zwalony głaz. Wyleciałam za nim, zbiegam po schodach i widzę, jak Żółty Kwiat trzyma go za fraki, a on drze się i szarpie. W końcu się wyrwał. Szarceceg zostało w rękach powietrze. Na dworze jednak dostał za swoje od Dordżoja i Batmunkhema, naszych dwóch chłopców, którzy mają oko na takich spryciarzy. Tak był pokiereszowany, jak wiał, że jeszcze na drugi dzień przed wejściem widać było czerwone plamy.

Potem Szarceceg porządnie zmyła mi głowę.

Już nikt więcej na mnie nie czekał, więc wzięła mnie do swojego pokoiku pod schodami i palnęła mi kazanie. Na koniec powtórzyła swoje trzy zasady i pchnęła mnie w kierunku drzwi, żebym poszła się umyć i spać. Szybkim ruchem starła mi z twarzy rozmazaną szminkę i czekała żebym zniknęła. Ale ja nie odchodziłam.

Tylko tak stałam i nie mogłam się ruszyć z miejsca. Nogi jakby mi przymarzły do ziemi, niczym kopyta słabych koni na mrozie, i patrzyłam na nią tak, jak gapią się wiejskie dzieci, kiedy do rodzinnego geru zawita jakiś obcy. Żółty Kwiat. Moja ciotka, która gotowała dla nas budzę, kiedy umarła Magi, a tacie wódka z butelki ciekła po brodzie, bo tak mu się trzęsły ręce, że nie mógłby odwiązać najspokojniejszego konia.

Ciotka, która śmiała się razem z nami i знаła tysiące zagadkowych opowieści, a kiedy Nara znalazła ranne pisklę, pomogła nam zrobić zagródkę i pozwoliła naskubać dla niego trochę mięsa z kolacji. Gdyby zobaczyła to mama, to ptak wyleciałby za ger, a my obie razem z nim. Żółty Kwiat. Gdyby

nie ona, nie byłabym teraz dziewczyną z burdelu, tylko nauczycielką w somonowym centrum, być może miałabym już męża, ger, dziecko, własny komplet czarek i haftowanych narzut. Gdyby nie ona, codziennie uczyłabym pierwszaków rachunków i zakręcałabym z nimi literki w niebieskich dewterach w linie. Albo wybudowałabym sobie trzeci ger, obok tego Ojuny i Najmy, i nasłuchując przeciągłego meczenia, szukałabym po górach swojego stada, a wieczorem kładłabym się sama do swojego łóżka, i nikt obcy nie jeździłby po mnie brudnymi łapami i nie zakłócałby moich młodych snów przekleństwami i fałszywymi pieścizotami.

Gdyby Szarceceg nie zaprosiła mnie po raz pierwszy do Miasta, ja sama nigdy bym się nie zdobyła na przyjazd, właściwie to był jej pomysł. Każda kobieta powinna kochać swojego pierwszego chłopaka, w pocie dwóch na wpół dziecięcych ciał ma się odbijać cały rozgwieżdżony wszechświat, a w dziewczęcych i chłopięcych niezdarnych ruchach księżyc ma się huśtać jak kołyska. To wiedziałam teraz. Ale niczego nie można cofnąć.

Mergen nie był zły, nie został mi po nim żaden smutek, tylko czarna bezdena dziura, w której najpierw zginął Bjamchu, a potem wszyscy następni, którzy pozwalali mi u siebie spać przez te długie miesiące, kiedy próbowałam znaleźć w Mieście pracę, zanim znowu zapukałam do przeklętych drzwi tego przybytku, a z ciemności wychynęła upudrowana Szarceceg. Mam wrażenie, że nikt inny oprócz niej nie zdołałby wyciągnąć mnie z Czerwonych Gór i smyrgnąć mną o asfaltowy dywan głównego placu tak wielkodusznie, jak zrobiła to moja ciotka.

Dla mnie już nie było powrotu. Po tych miesiącach, kiedy po raz drugi porwałam się na własne szczęście, w chwilach słabości wzywałam na pomoc wygładzone figurki bożków i spałam ze ściśniętymi kolanami, żeby zetknęły się przynajmniej we śnie, już nie mogłam spakować do worka swoich rosyjskich wapnopodobnych pudrów, różowej kruszącej się szminki, i z uśmiechem na ustach po raz kolejny stanąć w progu naszego ośmiobocznego geru. Spróbowałam szczęścia i nikt nie mógł mi zarzucić, że zabrałam się do tego nie tak. Choćby wtedy, kiedy znowu przyjechałam do Miasta i od razu poniosło mnie na bazar. Wystarczył jeden telefon, żebym miała gdzie spać i rano coś ciepłego w żołądku, i nikt ode mnie nic za to nie chciał. Miałam znajomych. Potrafiłam od razu zbliżyć się do ludzi. Erce i Purewowi też od początku bardzo się spodobałam. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, żebym miała swój własny guandz. Gdyby tylko Bur chan troszeczkę popchnął sprawy we właściwą stronę, też mogłam mieć takie czerwoniutkie policzki i górę garnków, i dwie dziewczynki z warkoczami do pomocy, jak Erka. Ale ja

przecież stamtąd wyszłam, zadzwoniłam od tego chłopaczka z telefonem i poszłam do Nary. I nikt nie powiedział, że tak miało być. Przedtem chciałam mieć swoją własną jadłodajnię z wyblyszczonym brązowym linoleum i kolorowymi plakatami na ścianie. Co dzień przez dwanaście godzin miotać się w duszącej parze, tężejącej w drobne krople, po których na kafelkach zostają tłuste ścieżki. Tego przecież chciałam. I zostawiłam Erkę, tak jak stała z założonymi rękoma, i nigdy więcej nie wróciłam. A ona za mną nie zawołała. Sprawa została przesądzona. Do tej pory ani razu się nie obejrzałam. Dopiero teraz.

Wszystkie moje prace trwały za krótko, żebym mogła się ich nauczyć, a za długo, żeby mi się nie znudziły. Z własnej woli odeszłam tylko z poczty. Nie radziłam sobie z paczkami, a jeszcze musiałam wieczorem szorować całą halę i raz w tygodniu pucować mydłem wszystkie okienka. Kierowniczka mojego oddziału mnie nie znosiła. Tego nie dało się wytrzymać, a pieniądze mnie tam nie trzymały. Na bazarze zarabiałam dwa razy więcej i marzłam porządnie od rana do nocy, bo sprzedawałam tylko w cienkiej kurtce i w butach bez futerka. Wyrzucili mnie, kiedy ukradłam Naranowi dwie pary rękawiczek i szal. Gdy Naran, u którego pracowałam, oznajmił mi, że od jutra ma na moje miejsce kogoś innego, tak jakby westchnął. Zanim mnie przyłapał, dogadywaliśmy się całkiem dobrze. Nie mógł zrozumieć, że tych jego pieniędzy mi nie starcza.

Rękawiczek mu nie oddałam, potem je sprzedałam jednej dziewczynie od fryzjera. Wtedy już u niego nie pracowałam.

U fryzjera się spodobałam, więc wzięli mnie do zamiatania włosów.

Czasami brał mnie żal. Gęste, długie włosy młodych dziewcząt powinny być pod ochroną. Tak samo jak górskie kozice albo klasztor Erdeni Dzu. Głupie dziewczyny nie wiedzą, co jest właściwe, a co nie. Ni stąd, ni zowąd coś im strzeli do głowy, a potem płaczą.

Co drugi dzień przychodziła jakaś, która chciała się ostrzyc na krótko, a potem, jeszcze w plastikowej narzutce i z ciepłymi monetami w ręku, uderzała w rzewny płacz i musiałyśmy ją wyprowadzać. To była moja robota. Mówić, że wygląda ładnie, i wymyślać różne dyrdymały, żeby ją uspokoić. Niektóre klientki wsuwały mi do kieszeni drobne. Chociaż ich nie strzygłam, ale potem suszyłam im włosy i opowiadałam różne historyjki z naszego ajmaku.

Te kobiety nigdy nie grzały własnym ciałem pod delem niedonoszonych jagniąt i nie odróżniłyby trzyletniego wałacha od ośmioletniej klaczy, więc mogłam opowiadać, co tylko mi przyszło do głowy, a one były zadowolone.

Odprawili mnie stamtąd właśnie przez te napiwki. Nie chcieli, żeby mi się za dobrze powodziło. Takiemu byle komu z prowincji. A ja przy nich wcale nie czułam się gorsza. Wtedy już nie, i być może to też było im nie w smak.

Nie wypaliły też inne rzeczy. Zawsze pojawiała się jakaś przeszkoda. I tak ze wszystkim.

Choćby kobiety z burdelu. Za swoją pracę dostają więcej, ale to nie jest lekki kawałek chleba, a jeśli chcą być szanowane, to muszą milczeć o tym, czym się naprawdę zajmują.

Szarceceg już wiele lat tak ciągnie. Trudno powiedzieć, czy mama kiedykolwiek czegoś się domyślała. Różne rzeczy można zatajać całe lata, także przed najbliższymi.

W tej klitce pod schodami, gdzie ze szpar między deskami w suficie ciągle opadają obłoczki kurzu, patrzyłyśmy na siebie z Szarceceg chyba z godzinę. Ja zastanawiałam się, co tu właściwie robię, a ona musiała wyczuć, że póki sama nie będę chciała wyjść, to nikt mnie stąd nie wyrzuci. Wargi miała zaciśnięte, a jej delikatny przecież nos przypominał wielki dziób. Spod pudru wyzierała twarz kutej na cztery nogi starej baby. Kobiety, której łono było wypalone, niezdolne do wydania życia, stąd gorzyc w jej oczach, i żadnej litości dla młodej dziewczyny, która teraz niepotrzebnie zabierała jej czas.

Tak myślałam ja, o tym zabieraniu czasu, ale Szarceceg po prostu nie wiedziała, jak zacząć.

Byłam tą twarzą urzeczona, płynęła w niej i moja krew, a ja szukałam w niej siebie. Z drugiego brzegu ktoś do mnie szyderczo machał. Tylko że Szarceceg myślała, że przyszłam po to, żeby usłyszeć historię. Po ten kawałek mojej mamy, który tak jakoś w sobie łąpsnęłam i którego bałam się w dzieciństwie.

To była ta chwila, kiedy mama wisiała na cienkiej nitce, kiedy moje serce waliło na alarm, a przed gerem stał mężczyzna, który nie był naszym tatą, a mama go chciała. Tylko Żółty Kwiat o tym wiedziała. Od mamy i od niego, i myślała, że będę tak długo stać pod tymi schodami, póki tego z siebie nie wyrzuci.

No to powiedziałam, co wiedziałam, zakończyła.

Mergen pochodził z Mongolii Wewnętrznej, południowego kawałka mojej ojczyzny, wbitego pomiędzy piekielne moce naszych odwiecznych największych wrogów, nieskończonego Państwa Środka. Mongolia Wewnętrzna jest prowincją Chin, chinole nam tę ziemię po prostu beczelnie ukradli i uznali za swoją. Mieszkają tam tylko dziesiątki tysięcy ichnich bękartów, które rodzą się co roku z naszych zniewolonych kobiet. Każda

mongolska kobieta musi wyjść za chinola, a ich dzieci uznaje się za Chińczyków.

W Mongolii Wewnętrznej jest nas coraz mniej i nie ma na to rady. Chińskich osadników jest wielu, a czasy, kiedy Mongołowie ze swych siodeł panowali nad wszystkimi chińskimi i innymi narodami, dawno zasypały diuny złotego piasku pustyni Gobi.

Ludzie z Mongolii Wewnętrznej nie są u nas przyjmowani z otwartymi ramionami. Jakżeby inaczej. Co prawda, są to jakby jedni z nas, ale niebezpieczeństwo zbratania się z chińskim bękartem, nieczystym erlicem, jest tak duże, że lepiej ich unikać, jeśli się da. Tak mówią wszyscy. Przypomniła mi się Dawdża, Li Fu i mała Gerle o drobnych, mandaryńskich policzkach. Ja tam za Chińczykami nie przepadam. Wykiwają, kogo się da, nikogo do siebie nie dopuszczają i mnożą się jak króliki. Przecież Li Fu nie był zły, a i tak go wyszczuli, a Gerle z Dawdżą już tyle lat są same. Dawdża teraz jest zasuszona i zharowana, ale i przedtem nikt jej nie chciał. Żaden chłop nawet na nią nie spojrzy. Kto by był taki głupi, żeby się wystawiać na pośmiewisko i wychowywać dziecko, które swoim rodowodem świeci jak czerwony lampion przed chińskim domem.

Ja, można powiedzieć, miałam szczęście. Jakoś udało mi się wyrosnąć z chińskich rysów, a ponieważ miałam porządnego mongolskiego tatę, który to przełknął i któremu nikt by nie podskoczył, to, wyjąwszy lata szkoły, nikt mi do miski nie podrzucał psiego mięsa.

Mergen o wiele bardziej przypominał Chińczyka. Twarz miał jak typowy erlic i jeszcze zaczął wcześniej łysieć. Po tym można to poznać na pewniaka. Rody mamy i taty były czyste. Z obu stron zdrowy, niesplamiony rodowód i jednoznaczny, pogardliwy dystans do Chińczyków.

Jak mama z tatą na siebie trafili, o tym wiedziałam już wcześniej. Z tej historii nikt nie robił tajemnicy. Jedynie babcia zrządziła, że mama jest z biednego domu, jakby podejrzewała, że mamie chodziło głównie o to, żeby polepszyć sobie w życiu, a tylko przy okazji zgarnęła i tatę. Ale ja raczej wierzyłabym w szczere uczucie mamy, a nawet gdyby to nie była prawda, to zawsze lepiej tak niż na odwrót.

Bo jeżeli młoda, bogata dziewczyna wychodzi za biednego, to wstyd. To byłby wielki pech dla taty.

Ale Żółty Kwiat o tym, jak mama poznała się z tatą, mówiła zupełnie co innego.

Podobno Tuleg napalił się na moją mamę Altę. Bardzo chciał ją mieć i nie wypadało mu odmówić. Mira, babcia ze strony mamy, której nie znałam tak

dobrze jak Dolgormy, była nieustępliwa. Nie żeby mama w ogóle nie mogła na tatę patrzeć, w końcu był miły i dobrze wiedział, co i jak ze stadem, no więc się pobrali. Zanim zszedł się rok z rokiem, urodziła się Magi, a Alta została matką, czyli kobietą godną szacunku pod każdym względem.

Nie mogła na nic narzekać, mówiła Szarceceg, a ja czułam, że już wtedy musiała jej zazdrościć.

Rodzice nigdy nie zaznali biedy.

Nawet kiedy trafił się gorszy rok, nie musieli chodzić do ludzi po prośbie. Jeszcze sami pożyczali innym, i dlatego w całej okolicy wszyscy ich poważali. Kiedy Magi miała koło roku, tato postanowił rozkręcić własny interes.

To było po raz pierwszy i ostatni. Później zrozumiał, że pieniądze mają o wiele szybsze nogi niż stado owiec, i powrócił do swoich zwierząt, ale wtedy po prostu postanowił spróbować. Przywoził z Chin izolowane kable i radia, które akurat wtedy zaczynały być tam tańsze niż u Rosjan. Wyjeżdżał na długo do Urumczy, a czasami i do Pekinu, a mama zostawała sama.

Mergen to nie był żaden wędrowny kupiec rybny który pewnego słonecznego, letniego dnia pojawił się w naszym gerze, żeby coś przetrącić, skrzywiła się Szarceceg i mrugnęła porozumiewawczo, ale człowiek, z którym Tuleg prowadził swoje interesy.

Na początku nawet dobrze im szło, więc Tuleg zaprosił Mergena do swojego geru. Chińczyk nie Chińczyk, tato i tak miał coś do załatwienia w tamtej okolicy. Alta najpierw sprzeciwiała się temu, żeby jej mąż w ogóle wchodził w jakieś układy z Chińczykami, ale były z tego pieniądze, na Mergenie można było polegać, znał swój kraj, więc jakiś czas wszystko grało.

Co najdziwniejsze, Tuleg przez cały czas przy tym był, a mimo to Mergen zdobył Altę. Na początku nigdy nie przyjeżdżał do nas sam, to było nie do pomyślenia, i Tuleg ciągle kręcił się gdzieś w pobliżu. Przesiadali razem w gerze, dyskutowali o interesach, Alta dolewała im herbaty z mlekiem, a wieczorem wódki.

Żółty Kwiat na chwilę zamknęła oczy, a ja widziałam, jak razem z mamą siedzą gdzieś obie w zagłębieniu pomiędzy wrzosami, i mama otwiera przed nią serce, wylewa wszystkie tajemnice i zakazane myśli, tak jak kiedyś robiłyśmy to my z Narą. Nie, mama, nie mogła znać prawdy o Szarceceg. Ze świętych spraw miłości nie zwierzałyby się przecież sprzedajnej kobiecie, starej dziwce bez sumienia.

Każdy dzień Żółtego Kwiatu - z tych, które zdołałam poznać - niszczył rozpustą wszystko, co ludzkie, bezbronne i kruche, wszystko to, co mama musiała czuć do tego chińskiego Mongoła. Możliwe, że jeszcze wtedy

Szarceceg była kimś innym. Tak jak Nara, zanim poznała Dżargaia. Kto może wiedzieć, z czego zwierzyła się Szarceceg mama, a co naopowiadał jej Mergen.

Chciałam o to zapytać, ale gdyby Szarceceg się zacięła, nie dowiedziałabym się już niczego. Więc zostawiłam ją w spokoju przez parę chwil z tymi zamkniętymi oczyma, może przeliczała dzienny utarg albo żałowała, że w ogóle zaczęła ze mną o tym rozmawiać. Po chwili zaczęła mówić dalej.

Mergen przyjeżdżał z tatą co jakiś czas przez kilka miesięcy. Podobno za każdym razem było tak samo. Rozmawiali długo w noc. Mama nie mieszała się do ich rozmów, zresztą i tak by jej nie pozwolili. Nie uchodzi, żeby kobieta pouczała męża, do tego przy innym mężczyźnie, a mama tych zasad zawsze się trzymała. Szarceceg znów na chwilkę przerwała, a na jej twardych ustach dojrzałam cień pogardy.

Jedyna rzecz, którą ta biedna kobieta może się szczycić. Że nikt jej nie rozkazuje.

Zresztą komu by na tym zależało.

Potem podobno mama zaczęła być roztargniona. To bardzo często tak się zaczyna. Drżały jej ręce, kiedy niosła więcej misek, wychlapывała się z nich zupa, a naczynia telepały się jak zostawione na zimnie zwierzęta.

Mężczyźni rozmawiali o swoich sprawach, a ona cała się trzęsła, ale tylko do czasu, kiedy wylała na Mergena czarę z gorącą herbatą. Według Szarceceg, wtedy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. Tak jej powiedział sam Mergen. Żółty Kwiat się przy tym skrzywiła.

Tato na nią krzyknął, żeby się ruszyła. Mama wzięła chochlę, przed gerem stał ceber z zimną wodą, ale Mergen wstał i wyszedł za nią. Wtedy po raz pierwszy byli ze sobą na osobności.

Szarceceg, kiedy mama jej o tym opowiadała, podobno nie mogła uwierzyć, że można aż tak stracić głowę przez jakąś zwyczajną oparzoną męską dłoń. Mama mówiła, że wzięła jego rękę w swoją, namoczyła w cebrze ścierkę i przykładła mu ją do grzbietu dłoni. Tak ją wycierała, powiedziała Szarceceg i zatoczyła ręką w powietrzu kilka razy dokoła. Od razu zrozumiałam, że naprawdę musiało być nieco inaczej. Rozgrzaną od oparzonej skóry ścierkę co chwila maczała w cebrze i wszystko powtarzała od nowa. Mówiła, że w życiu nie widziała, żeby mężczyzna miał taką piękną dłoń.

Szarceceg wykrzywiła się w uśmiechu. Ręce to ręce, wszystkie są takie same. A mama rozwodziła się o niebieskawych żylastych górkach, o stawach, które były wokół całe pomarszczone jak czaszki zasuszonych starców, o pobrużdżonych twardych paznokciach o wielkich białych półksiężycach i nie wiadomo o czym jeszcze. To wiem oczywiście od Szarceceg. Trudno to

wszystko spałować. Ale było jasne, że od tej chwili mama nie mogła już sobie wmawiać, że nic się nie dzieje. Już była jego.

Potem Mergen powoli obrócił rękę i zrobiło się tak, jakby nadchodził świt, taki blask szedł od tej białej, pokrytej odciskami dłoni.

Mnie te ręce zawsze kojarzyły się ze smrodem tytoniu i z jednym zamaszystym gestem, który powalił mnie na tapczan. Budziły we mnie strach, czasem jeszcze i teraz. A dla kogoś były piękne. Wtedy aż się wzdrygnęłam. Ja tylko pamiętam, jak się trzęsły i zaciskały na moich nadgarstkach, i były po pijacku wilgotne i niecierpliwe. Kiedy Szarceceg ciągnęła swoją opowieść, nie mogłam o tym nie myśleć.

Mama przeciągnęła palcami po jego dłoni, a potem położyła na niej rękę. Nie, właściwie tylko tak jej lekko dotknęła i cofnęła dłoń. Przy tym upuściła ścierkę, która pacnęła o ziemię. Kiedy się po nią schylała, z geru właśnie wyszedł tato, a Mergen wszedł do środka. Następnego dnia rano obaj odjechali bez pożegnania, a mama tylko liczyła dni, które wlokły się wolniej niż przedtem, chociaż i tak było pewne, że tym razem tato wróci sam. Tak też się stało, a mama nie myślała o niczym innym, tylko o mężczyźnie, o którym nawet nie wiedziała, jak się dokładnie nazywa, i o jego wyciągniętej ręce, która pojawiała się w jej wszystkich gorączkowych snach.

Po tygodniu tato znowu wyjechał, a kiedy minęło siedem kolejnych dni i mama zobaczyła chmurę pyłu na horyzoncie, pomyślała, że z jakiegoś powodu wraca wcześniej.

Ale było zupełnie inaczej. Tato miał w Chinach moc roboty i wrócił dopiero po długich czterech tygodniach słodkich uciech, które Mergen sprytnie sobie załatwił tym sposobem, że wysłał tatę w interesach aż nad rzekę Talimuho, i traf chciał, że Dolgorma, wtedy jeszcze młoda kobieta, na dwa miesiące wyjechała do kuzyna do Chowd.

Szarceceg powiedziała, że zostałam poczęta właśnie wtedy, w czasie najszczęśliwszych tygodni życia mojej matki, i że powinnam być jej za to wdzięczna. Coś z tego szczęścia gdzieś we mnie jest. Kiedy Mergen wyjechał, bo tato mógł lada dzień wrócić, mama podobno wymusiła na nim obietnicę, że nim minie ćwierć roku, powtórzą to wszystko jeszcze raz. Zdaje się, że Mergenowi było do tego tak pilno, że za niecałe dwa miesiące tato znów wyjechał gdzieś równie daleko jak przedtem, a oni całe dni byli razem. Przy tej okazji mama po raz pierwszy i ostatni poprosiła babcię Dolgormę, żeby zawiozła wnuczkę na parę dni do rodziny, więc babcia z małą Magi na rękę wybrała się na zachód, w swoje rodzinne strony do krewnych, których mama w życiu nie widziała i widzieć nie chciała. Nie wiadomo, dlaczego właściwie

wyjechała, bo na pewno moja nie w ciemność bita babcia, jak mówiła Szarceceg, nie była taka głupia, żeby się na to nabrać. Krótko mówiąc, motywy działania babci pozostaną tajemnicą. W końcu na starość babcia dzień w dzień mamie nieźle dawała do wiwatu. Może właśnie dlatego. O tym, jak sobie skakały do oczu, wiedziałam lepiej niż Szarceceg. Trwało to przez całe moje dzieciństwo.

W czasie tych paru posiekanych na kawałki tygodni Mergen gospodarował z mamą jak na swoim. Co prawda, z pochodzenia był erlicem, ale na zwierzętach znał się jak prawdziwy Mongoł.

Oczywiste było, że długo to nie może tak trwać.

Gdyby nawet tato był nie wiadomo jak łatwowierny, to żaden mężczyzna nie będzie wiecznie zostawiał swojej żony samej, więc Mergen musiał coraz bardziej główkować, żeby wysłać go w jakąś daleką podróż. I samemu się przy tym jakoś od niej wykręcić. Po jakimś czasie tato zdecydowanie odmówił, a kiedy Mergen nie przestawał nalegać, raz na zawsze rzucił to całe handlowanie i wrócił do domu.

Podobno powitanie miało chłodne, mama w ogóle nie chciała z nim rozmawiać, nasienia też od niego nie chciała, ale mimo to po jakimś czasie brzuch zaczął się jej zaokrąglać. Tato się nie dziwił, w ogóle sobie tym nie zawracał głowy, ale z mamą nie można było dojść do ładu, więc powoli zaczął tracić cierpliwość. Mama ni stąd, ni zowąd wybiegała z geru, przed progiem osuwała się na ziemię i zanosila się płaczem. Wiadomo, że kobiety w ciąży są przewrażliwione, ale jak mówiła Szarceceg, co za dużo, to niezdrowo.

Aż kiedyś uderzył mamę w twarz, rzucił ją na łóżko i powiedział, że dopóki nie będzie z niej z powrotem normalna kobieta, nie wypuści jej z geru na krok. Mama się zacięła, odwróciła do ściany, owinęła kocem i tak wytrzymała trzy dni. Tato sam do niej przyszedł w łaskę, żeby coś wreszcie zjadła, przez wzgląd na dziecko. Mama dała się uprosić, wstała, i wszystko było jak dawniej. Potrafiła godzinami patrzeć w przestrzeń, po policzkach toczyły się jej łzy a tato na przemian ją pocieszał i wściekał się na nią z bezsilności. Któregoś dnia mama mu wszystko opowiedziała. I o tych jaśniejących dłoniach, i jak wysłała Magi z Dolgormą do krewnych.

Kiedy skończyła, z podbródkiem bojowo wysuniętym do przodu, z przepraszającym, ale dumnym wyrazem twarzy czekała na pierwszy cios. Myślała, że ją zabije. Szarceceg twierdzi, że tato naprawdę jej przyłożył. Nawet nie pisnęła. Uderzył ją w twarz i odszedł.

Mama słyszała, jak siodła konia, potem cichnący tętent kopyt, a później zapadła cisza. Tato już taki jest. Zamiast porządnie ją złoić i już, jak by zrobiła większość mężczyzn, zniknął na parę dni. Żeby sama wybrała.

Wszystko zależało od niej. Wiedziała, gdzie znaleźć Mergena. Z Magi też by nie było kłopotu, już o tym wcześniej rozmawiali, a jakąś pracę znalazłaby wszędzie. Mergen był, co prawda, najmaczinem, raczej handlował, czym się da, niż zajmował się stadem, ale mama gotowa była to przełknąć.

I tu przestaje ją rozumieć, powiedziała Żółty Kwiat. Albo raczej nie mogę uwierzyć, żeby głównym powodem było to nieczyste, znów się skrzywiła, pochodzenie Mergena. Ale Alta tak to tłumaczyła, a skoro tyle już mi naopowiadała, to tego chyba by sobie nie wymyśliła. Sam Mergen przytaknął, kiedy później go o to pytałam. Nie miałyby życia, mówił.

No i jeszcze się bała. Normalnie, bała się nieznanego, nie była już dwudziestolatką i wymawiała się tym, że z taty jest porządny człowiek, a kto wie, jak ten nowy odnosiłby się do Magi. No i ta chinolska krew Mergena. Chociaż ja, tak samo jak Szarceceg, myślę, że to nie mogła być główna przyczyna. Mergen podobno potwierdził, że o to chodziło. Nie za bardzo mu wierzę.

Jeśli o mnie chodzi, to mama zawsze twierdziła, że jestem taty. Potem na kolanach przysięgała przed babcią Dolgorma. Niech mnie porwą o północy złe duchy, niech mnie rozniesie wściekły byk, niech dziecko urodzi się bez rąk, jeśli nie jest moje i mojego Tulega.

I została z nim. Ale Mergen dalej do niej przyjeżdżał.

Czasami.

Mama szalała, że naraża ją na takie niebezpieczeństwo, ale i tak zawsze go prosiła, żeby został do następnego dnia. Rano biegła od geru do jego konia i z powrotem, obejmowała go za ramiona i szeptała mu słodkie słówka. Jakoś szóstym zmysłem umiał wyczuć, kiedy taty nie zastanie w domu. Ponoć zakochani czasem to potrafią. Z Dolgorma Alta wyczyniała różne sztuczki, coraz bardziej przejrzyste.

Chociaż właściwa decyzja zapadła wtedy, kiedy tato bez słowa zniknął na parę dni, to potem, po każdej wizycie Mergena, mama musiała decydować się jakby na nowo. Ale raz na zawsze wygrał tato i już nigdy nie zostawił mamy tak długo samej. Przynajmniej nie póki była młoda. Kiedy po tych kilku dniach wrócił, na stole miał wszystko, czego dusza zapragnie, ger świecił czystością, a mama szczebiotała jak ptaszyna w kwietniu.

Któregoś razu Mergen rzucił pomysł, żeby razem spędzili parę dni w Mieście. Mama miała tam przyjechać. Nigdzie indziej człowiek nie może się tak zaszyć. Nie był to zły pomysł. Ale ja już miałam prawie pięć lat i mama nie mogła tego dalej tak ciągnąć. Była przecież znowu taty i serce nie ma tu nic do rzeczy.

Spakowała trochę ubrań, powiedziała Szarceceg, odwiozła was do przedszkola, ale potem rozsiadła konia, wróciła po was do somonu i przebrała się z powrotem w domowy strój. Do Miasta nie dotarła. Ale jeszcze przedtem dała Mergenowi mój adres, a on całymi dniami leżał z papierosami i butelką u mnie pod oknem i czekał na nią, nawet kiedy już było jasne jak słońce, że nie przyjedzie.

Przyzwyczailiśmy się do siebie, powiedziała Żółty Kwiat jakby chodziło o coś Burchan wie jak wzruszającego. Podobno naprawdę był z niego kiedyś przystojny mężczyzna, twarz miał ciosaną jak drewniany batar, a członki podobne do korzeni drzewa, silne i twarde.

Dlaczego nie miałabym mu pozwolić, żeby u mnie został, też był mi potrzebny mężczyzna, a jak mówię, nie przeszkadzaliśmy sobie. Tak powiedziała, słowo w słowo, dokładnie tak.

Zaskoczyło mnie, że Szarceceg w ogóle czuje potrzebę, żeby jakoś się usprawiedliwić. Tego bym się po niej nie spodziewała.

Ale mimo wszystko, tak czy inaczej, była to zdrada.

Na pewno mamie przedstawiła całą rzecz jako siostrzaną pomoc: że wzięła ten ciężar na siebie i że Mergen nic tylko pije i gnije w domu, a ona mu daje pieniądze, bo takiego załamanego chłopca nie ma serca od siebie wykopać. O tym, jak do niej przyszedłem i jak mnie później wyrzuciła, nie powieetaiafa ani słowa.

Mężczyźni są dziwni.

Teraz już inaczej patrzę na to wszystko.

Z początku nie mieściło mi się w głowie, jak mama mogła kochać takiego śmierdzącego opoja. I jak on mógł zrobić mi coś takiego. Przecież Żółty Kwiat powiedziała mu, kim jestem, wiedział, z kim ma do czynienia, i w ogóle mu to nie przeszkadzało. I stało się. Byłam wtedy młoda i głupia, zapadł ciemny, jesienny wieczór, a od Szarceceg oprócz jakichś pieniędzy dużo mu się nie dostawało. W końcu nie był znowu taki brutalny. Mogłam zacząć gryźć albo wierzgać, ale tego nie zrobiłam.

W kanciapie zrobiło się całkiem ciemno. Szarceceg wyciągnęła skądś cienką, długą świeczkę, nakapała trochę wosku i przy kleiła ją na dno szklanki. Potem opadła na miękkie, wytarte fotel, i ja też, na taki sam, naprzeciwnie. Na stoliku między nami leżał woreczek i rozsypane kozie i owcze kostki, a ja przypomniałam sobie te moje i Nary, gdzie się podziały, a także Chiroko, która lubiła wróżyć sobie właśnie z takich szkliskożółtych kości. Zdaje się, że i o niej Szarceceg wiedziała coś ciekawego. Ale chyba już nie udałoby mi się niczego z ciotki wyciągnąć. Spod spódnicy wyglądały jej nogi, cienkie i usiane sinymi

plamami. Z odrazą posłała kopniakiem w kąt różowe pantofelki, ręce założyła za głowę, zrobiła parę głębokich wdechów i wydechów, i z wolna wracał jej pewny siebie wyraz twarzy, kąciki ust ściągnęły się gorzko, a w oczach pojawił się ten pełen rozbawienia dystans do wszystkiego, nad czym inni leją łzy. Nadeszła pora, żeby wyjść i nareszcie się wyspać po męczącej nocy.

Przez te miesiące, kiedy miałam się w mieście różnych zajęć, Nara całkiem się zmieniła.

Przybywało takich dni, kiedy razem nie zamięliśmy się ani razu, a czasem starczało jedno słowo, a już skakałyśmy sobie do oczu. Przestraszyłam się, bo w niektórych momentach zaczęła mi przypominać Szarceceg. Kąciki jej ust ściągał grymas goryczy, i na wszystko znajdowała odpowiedź. Język miała ostry jak brzytwa.

Chodziła ubrana najlepiej z nas wszystkich, a jak jej poleciało oczko, to nie zawracała sobie głowy żadnym łapaniem, tylko rajstopy frunęły w kąt, gdzie rosła sterta prawie nowych, porzuconych ubrań. Paliła wyborowy tamchi, cienkie długie papierosy, których u nas w ogóle nie można było dostać, a jak potrząsnęła ciężkimi puklami, które każdego popołudnia kręciła na lokówce, to powietrze wokół niej robiło się ciężkie od odurzającej, słodkiej woni, że można było zemdleć. Kiedy zapytałam, czy nie chciałaby wypróbować jakiegoś lżejszego, kwiatowego zapachu, i podsunęłam jej swój flakonik, dostała ataku szału, więc już więcej nie wyskakiwałam z żadnymi propozycjami. Nawet jak została jej szminka na zębach albo tusz się rozmazał od łez, to wołałam ugryźć się w język.

Życie mojej siostry było życiem kilku Nar, a jedna Nara była tak niepodobna do tej drugiej i trzeciej, jak trzy kobiety, które przypadkiem wpadną na siebie w tłoku na głównej ulicy. Nara kobieta sprzedajna była zupełnie kim innym niż Nara odmienica i Nara moja najukochańsza siostra z czasów dziecięcych zabaw. Jakby sama siebie gdzieś gubiła. Kobieta nie jest przecież jaszczurką stepową, która ni stąd, ni zowąd zmienia kolor: Ale z Narą było właśnie tak. I myślę, że mama, tato, Ojuna i Czerwone Góry były dla niej stracone dużo wcześniej niż dla mnie. Ale i tak była moja i jedyna.

A przecież ja też zapominałam. Jak końskie oczy mieniły się różnymi kolorami, kiedy tato przyprowadził nową klacz, albo które wielbłądy za nic nie chciały klęknąć przed mamą i tato musiał je okładać, tego też nie potrafiłabym już dokładnie powiedzieć. Ale to przecież gdzieś tam jest - wiedziałam o tym cały czas, i było tak nawet po wielu miesiącach, kiedy faceci wybili mi z głowy prawie wszystko oprócz pragnienia, żeby kiedyś się stąd wyrwać. I jeszcze apetytu, który miałam ogromny.

Domyślałam się tego od czasu, kiedy zaczęły mnie nachodzić różne dziwne zachcianki, a Nara spytała mnie o to prosto z mostu, jak zobaczyła, że ciągle się czymś napycham. Cieszyłam się.

Uświadomiłam sobie, że sama nie umiałabym odejść, a tak będę musiała, przynajmniej na jakiś czas. Już było pewne, że nigdy nie skończę tak jak Szarceceg, i od razu poprawił mi się humor. I dlatego ostatnie miesiące były całkiem radosne, a jeszcze znajdowało się sporo chętnych, żeby robić to ze mną właśnie wtedy, i przez ten brzuch wcale nie zarabiałam mniej pieniędzy, czego się początkowo obawiałam. Tylko Nara mnie martwiła.

Jak już wszystko inne odpada, to jedyną rzeczą, jakiej kobieta może się trzymać, jest marzenie, żeby się stąd wyrwać. Ze spotka jakiegoś mężczyznę, który będzie wart tego, żeby zapomnieć o pieniądzach i znowu marznąć na targu, pucować cudze buty, a potem, jeśli dopisze szczęście, może otworzyć nawet byle jaki sklepik.

Ja też na początku wyobrażałam sobie, że któryś facet mnie stąd wyciągnie. Powie, że przecież ja jestem inna, lepsza, że mnie kocha i że się o mnie zatroszczy. Ale nawet jak już przestałam w to wierzyć, bo tacy mężczyźni do nas nie przychodzą, a ja byłam dla wszystkich tylko dziewczyną za pieniądze, nawet wtedy wiedziałam, że nie mogę tu zostać. Chociaż o mały włos tak właśnie się nie stało.

Dni uciekały, a ja ciągle nie wiedziałam, co ze mną będzie, gdzie się podzieję z dzieckiem.

Jakoś jednak zebrałam się na odwagę i zeszłam do kanciapy zapytać Szarceceg, czy czasem nie wie o jakimś tanim kącie na mieście. Ale ona była szybsza. Wprawne oko już mogło dostrzec mój brzuch, i kiedy do niej weszłam, w oczach Żółtego Kwiatu pojawił się podstępny błysk i natychmiast wystartowała z gadką, że nie muszę jej niczego mówić, że Chiroko pomogła już niejednej, i jeżeli chcę, to zaraz pojutrze kogoś ze mną do niej pośle. Kiedy szło o cudze nieszczęście, to Szarceceg była chętna do pomocy i można było na niej polegać. Wszystko zawsze umiała załatwić. Wtedy jak stało się to z Magi, przyjechała zaraz następnego dnia. Ale kiedy zaczęłam mówić o mieszkaniu i że Chiroko do niczego nie jest mi potrzebna, nagle stała się chłodna i ucięła, że jeśli chodzi o mieszkanie, to nie może mi pomóc, muszę sobie radzić sama, i że ma mnóstwo pracy, ale gdybym zmieniła zdanie, żebym dała jej znać, bo ona o tych sprawach wie swoje.

Parę dni minęło jakby nigdy nic, a potem mnie ścięło.

Już od rana było mi słabo, Nara wzięła za mnie paru facetów, żebym mogła się położyć.

Obudziły mnie wyrzuty sumienia, bo to już nie po raz pierwszy Nara mnie kryła, a ja nie miałam jak się jej odwdziżyć. Wytoczyłam się z pokoju, pomarańczowe kręgi światła zatańczyły mi przed oczyma i łokciami uderzyłam o poręcz. Głowa opadła mi w dół, wzrok zatrzymał się na parterze, a tam właśnie otwierają się drzwi i wchodzi tato.

Potem wszystko się zawaliło, uderzyłam się w głowę i w rękę, a serce jeszcze na drugi dzień trzepotało mi w środku jak bielinek w butelce. Któraś z dziewczyn pomogła mi wstać i powiedziała, że żadnego Tulega tu nie było. Wolałabym poronić, niż iść go szukać. Tato by tego nie przeżył. Nara powiedziała, że to głupota, skąd miałby się tu wziąć.

Szarceceg też go nie widziała, ale oświadczyła, że jeżeli myślę, że tato jest w tych sprawach zielony i że dotąd jeszcze nigdy nie zawitał w takim przybytku jak nasz, to znam się na prawdziwych mężczyznach jak kura na pieprzu.

Kiedy już miałam wielki brzuch i Nara musiała brać za mnie jakiegoś faceta niemal co trzeci dzień, uznałam, że muszę odejść z Diwadżinu i wrócić w Czerwone Góry. Nie miałam zamiaru tułać się teraz z dzieckiem po Mieście. No bo kto da pracę ciężarnej kobiecie, a i mieszkać nie miałam gdzie.

Na pożegnanie Nara przyniosła mi bućki dla dzidziusia, które sama uszyła w jakiejś wolnej chwili, a ja musiałam przyrzec, że przyjadę pokazać jej malucha.

Przekonywała mnie, że jak urodzi się dziewczynka, to musi się nazywać Naranchuja, że widziała w telewizji film, w którym tak miała na imię główna bohaterka, piękna robotnica z kopalni cynku w Erdenecie. Ale mnie nikt nie mógł przekabacić, ja już dla swojej córki miałam wybrane imię. Co do imienia dla chłopca, dogadałyśmy się bez problemu. Z chłopakiem zawsze jest mniejszy kłopot.

Sama nie wiem, co mi przyszło do głowy, że zanim wyszłam z torbą na drogę, żeby złapać jakieś auto, wybrałam się jeszcze do tamtego mieszkania na Sansarze.

Drzwi otworzył mi zwałisty, zarośnięty chłop w poplamionym podkoszulku. Twarz miał płaską, wódka rozmyła mu rysy, tylko w tych wydłużonych, trochę chińskich oczach jakby jeszcze coś pobłyskiwało, coś z dawnych czasów, kiedy mało brakowało, a podebrałby żonę bogatemu nudelczinowi, potem zaś zadekował się wygodnie u jej siostry, gdzie przez długie lata mieszkał za frajer, wyrzucał pety przez okno i tak wygniótł tapczan, aż zrobiła się z niego rozhuśtana kołyska.

Najpierw był zaskoczony, potem powoli otworzył ramiona, zrobiłam krok, a Mergen mocno przycisnął mnie do siebie. Poczułam zmieszanie, wybąkałam,

żeby uważał, bo zgniecie dziecko, i odepchnęłam go od siebie. Uśmiechnął się i zmierzył mnie od stóp do głów wodnistymi oczkami. Potem poczęstował mnie papierosem, wódki nie chciałam, i weszłam do środka. W kuchni był smród, po ścianie w dwóch rządkach w górę i w dół maszerowały mrówki. Pamiętałam to wszystko w dużo lepszym stanie. Błat stołu wybrzuszył się od wiecznie porozlewanej wody, a lampa miała rozbity klosz. Tylko okno było otwarte na oścież, na parapecie leżały zapalki i paski gazetowego papieru. Mergen zawsze lubił obserwować ludzkie mrowisko na dole i prawie każdego mógł rozpoznać po kapeluszu. Wyglądał na zadowolonego, a kiedy sobie nalał i zapalił, wydawało się, że niczego mu nie brakuje do szczęścia.

Pytał, co tam u mnie, więc w kilku zdaniach streściłam mu te parę lat, kiedy się nie widzieliśmy. Załatwiłam to raz-dwa. Co robiłam teraz, wiedział od Szarceceg, nie było o czym gadać. Powiedział tylko, że dobrze, że będę miała dziecko, że z tym nie warto zwlekać, i że jeszcze trochę, a byłabym za stara. Zapytałam go, czy on ma dzieci, tam gdzieś w swoim kraju, a on przytaknął i dodał, że właściwie już najwyższy czas, żeby zobaczyć, jak im się wiedzie. Wylazło z niego, że szykuje się do wyjazdu. Mówił, że nie wie, czy wróci, i zapytał dokąd teraz pójdę. Wzruszyłam ramionami. Zaproponował, żebym została tutaj, że on to z Żółtym Kwiatem jakoś załatwi, i tak przecież, jak twierdził, ona wpada tu tylko raz na jakiś czas, żeby trochę posprzątać i coś ugotować, a tak to mieszka w Diwadzinie. Kiedy zobaczył, że kamień spadł mi z serca, obiecał, że jeszcze dziś wieczór pójdzie do Szarceceg, a potem znajdzie sobie

spanie gdzieś indziej. W końcu nigdzie nie poszedł, usnął na tapczanie, a z samego rana poczułam, że Szarceceg mnie szarpie, tak samo jak wtedy, tamtego ranka, zanim mnie wyrzuciła. Ale nie wyglądała na rozgniewaną. Powiedziała, że nie ma wody, żebym poszła się umyć do kogoś z domu obok i że mam trzymać swoje rzeczy osobno od jej rzeczy. Rzuciła mi klucze na łóżko, a ja znowu usnęłam.

Mergen został jeszcze kilka dni. Przez ten czas Szarceceg nie pokazała się ani razu. My natomiast wysiadaliśmy razem przy stole w kuchni, paliliśmy, a Mergen lał w siebie wódkę raz za razem. Dziecko urodziło się z wielkim brązowym znamieniem na brzuszku. Doktor pytał, jak było w ciąży z alkoholem i tamchi, ale ja myślę, że to od tego, jak się wówczas przestraszyło. Co prawda, tato wtedy nie przyszedł do naszego domu uciech, ale sam przestрах już maluchowi wystarczył.

Kiedy mówiłam o tym Mergenowi, śmiał się, podobno w Mongolii Wewnętrznej dziwki są o wiele tańsze. Potem wyciął z gazety zdjęcie Damdinsurena, roztarł tytoń i skręcił sobie grubego papierocha.

O mamie nie rozmawialiśmy. Mergen powiedział tylko, że wszystkie baby są takie same, a mnie przyszło do głowy, że jemu coś takiego mogło się przytrafić więcej razy. O Szarceceg mówił jak o kimś, u kogo po prostu mieszka.

Ta kobieta nigdy go nie wystawiła do wiatru, chociaż jej fałszywy, chechtaczkowy uśmiech wcale mi się nie podobał.

Tych pięć dni spędzonych z Mergenem w nagrzanym bloku było wypełnionych wódką i różnymi przytykami z obu stron, ale kiedy wyjechał, było mi bez niego smutno.

Na próżno czekałam na rozmowę o sprawach, które nie dawały mi spokoju. Nie doczekałam się. A tak chciałam usłyszeć, jak to naprawdę było z mamą, czy Mergen czuje się dziadkiem tego dziecka, i jakie kobiety wyrosły z tych dzieci, które jedzie odwiedzić w swoim kraju. Na dole wyciągnął z kurtki jakieś pieniądze, wcisnął mi je do kieszeni, a mnie stanęli przed oczyma faceci z Diwadzinu, którzy po udanym numerku wsuwali mi coś ekstra za dekolt. Pomachał ręką i wszedł do pierwszego auta, które akurat przejeżdżało. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Na schodach przypomniało mi się, jak wtedy szedł na górę, tak samo pijany, jak teraz ja, a ja patrzyłam, jak zwałił się na schody.

W mieszkaniu przez kilka dni usuwałam zastarzały smród i wypilałam dwie butelki wódki, schowane w tapczanie, który zrobił ze mnie kobietę.

Swoje dziecko, od pierwszej chwili, kiedy poczułam, że się we mnie rusza, nazywałam Dolgorma. Tak samo jak wszystkie kobiety, chciałam chłopca, ale przez to błogosławione imię cieszyłam się, że jest, jak jest. Magi unosiła się gdzieś w innych światach, a Ojuna za pierwszym razem urodziła chłopca, więc to imię zostało dla mnie.

Miałam zaoszczędzonych trochę pieniędzy, ponadto parę tysięcy rugrów od Mergena, więc powinno mi jakoś starczyć na życie do czasu, aż będę mogła się za czymś rozejrzeć. Przesiadywałam zatem przy oknie na krześle Mergena, robiłam skręty z jego wysuszonego, kruszącego się tytoniu i czekałam, aż Dolgorma da o sobie znać. Z okna w kuchni widać było betonowe podwórko pomiędzy czterema blokami. W ciepłe dni zbierali się tu dżidzurowie ze wszystkich czterech domów i głędzili o tym, co gdzie akurat komu w mieszkaniu nawaliło. Chłopcy uganiali się za piłką i celowali nią do metalowej obręczy. Maluchy snuły się pod płótem, głaskały szczenięta i od czasu do czasu

dostawały piłką w głowę. Kobiety siedziały w jednym kącie podwórka, karmiły niemowlęta i rozmawiały z tymi, które na balkonach wieszały pranie. Dziewczyny chichrały się na płotku.

Na podwórko często przychodziła stara kobieta z chochlą i wiadrem rzadkiego, przezroczystego kumysu. Pływały w nim kawałki gałązek i utopione muchy. Czasami ludzie ustawiali się do niej w kolejce, ale ta szara, mętna woda nie miała nic wspólnego z gęstym, nasyconym bielą kumysem od Munchceceg. Czasem starsi chłopacy z naszego bloku przeganiali kamieniami tych młodszych i okupowali całe ogrodzenie. Spokojnie machali nogami, szczerzyli się do słońca i podawali sobie z ręki do ręki papierosa.

Do okna zwykle brałam jakieś szycie, żeby na Dolgormę czekało już parę ładnych rzeczy.

Do szpitala zawiózł mnie Najramdal, sąsiad z pierwszego piętra. Potem, następnego dnia, przywiózł mi torbę z rzeczami, ale Dolgorma już zdążyła przyjść na świat.

Jeśli nie liczyć tego znamienia, była zupełnie zdrowa.

Na plecach miała małą niebieską plamkę, więc cieszyłam się, że ojciec jest Mongołem; co prawda, nic więcej o nim nie mogę powiedzieć, ale jakoś nigdy nie zwracałam sobie tym głowy, i teraz też nie.

Wszystko poszło szybko, na trzeci dzień byłam już z powrotem w domu, i znowu przy oknie z widokiem na wszystkie ważne rzeczy, co dzieją się na Sansarze, tyle że teraz z białym zawiniątkiem, które kilka sąsiadek zaraz przyszło obejrzeć.

Kiedy nie zobaczyły przy mnie żadnego mężczyzny, zaczęły kręcić nosami, ale ja starałam się być dla nich miła, więc po jakimś czasie dały spokój plotom.

Żyło nam się dobrze.

W naszym gerze nowe ubrania nosiła tylko Magi. Ja dodzierałam znoszony del, z którego już wyrosła, i wykręcałam sobie nogi w jej wielkich buciorach, które w środku zawsze były całkiem wytarte.

Byłam dumna z tego, że z Dolgorma jest inaczej, i bardzo się starałam, żeby było inaczej, inaczej - ile tylko się da. Miała wszystko, co chciała, ale starałam się jej nie rozpuszczać. Kiedy marudziła i domagała się czegoś, czego nie mogła dostać, potrafiłam przywołać ją do porządku. Gdyby miała tatę, to za to kapryszenie dostałaby od niego od czasu do czasu w skórę. Ja tylko dawałam jej klapsy i starałam się zawsze wszystko jakoś wytłumaczyć.

Rosła jak na drożdżach. Wszystko było tak, jak miało być. Ptasiny puszek, jaki zwykle miewają noworodki, szybko zamienił się w kruczoczną, delikatną czuprynę, potem pojawiły się pierwsze ząbki, i jeszcze zanim skończyła roczek,

udało jej się przejść przez wyrwę w asfalcie, szeroką na trzy palce, i nawet się nie potknęła. Sama to widziałam. Sąsiadki z podwórka też. Była sprężysta jak młoda roślinka, która wyrosła z ziarenka, a pierwsze zdanie wypowiedziała dokładnie w dzień swoich pierwszych urodzin. Było o mnie. Potem rozłożyła rączki i wpadła prosto w moje ramiona, a ja dałam jej w nagrodę karmelkowego cukierka. Do oczu napłynęły mi łzy.

W miarę jak rosła, stawiała się coraz bardziej uparta, kiedy czegoś chciała. To mi powinno dać do myślenia. Trzeba było w porę ją ukrócić. Ale co można powiedzieć takiemu skarbeńkowi z warkoczykami, kiedy tupie nóżką jak jagniątko kopytkiem? A pieniądze akurat były jedną z niewielu rzeczy, których mi wtedy nie brakowało. Czasami kupowałam sobie jakieś ubranie, a potem zamawiałam dla niej u krawcowej takie samo, tylko malutkie. Tak wystrojone wychodziłyśmy potem na podwórko i siadałyśmy na ławce, a ludzie, którzy akurat byli pomiędzy blokami, oglądali się za nami, i niektórzy z nich marszczyli czoło. Ta dziewczuszka była pod moimi skrzydłami i tyle. Każde inne dziecko dostaje coś od mamy, coś od taty, jeszcze coś od ciotek, wujków, babć i pradziadków z dalszych pokoleń. Ale Dolgorma miała tylko mnie, no i troszkę Narę. Musiałam jej dać absolutnie wszystko.

Kiedy Dolgorma miała siedem lat, długo się wahałam, aż w końcu postanowiłam pokazać jej rodzinę.

Nie można zupełnie zapomnieć o więzach krwi. I pozbawić własną córkę ludzi, którzy przecież byli i jej. I tak Nara albo Szarceceg kiedyś by się przed nią wygadały, a gdyby odkryła to sama, nigdy by mi tego nie wybaczyła. Z opowiadań znała tylko babcię Dolgormę. Tylko ją. Nawet mnie nie wypytywała. Jakby w ogóle nie przyszło jej do głowy, że można mieć jakichś bliższych krewnych.

Przez całą drogę autobusem do Czerwonych Gór trzęsły mi się nogi. Próbowalam poopowiadać trochę Dolgormie o tacie i Ojunie. Ale ona ciągle mędrkowała o innych rzeczach. Była strasznie podekscytowana wielkimi stadami zwierząt, koło których przejeżdżaliśmy, a ja musiałam jej wyjaśniać, dlaczego wielbłądy mają kopyta mięciutkie jak poduszeczki do igieł, podczas gdy krowy stukają nimi tak głośno, dlaczego koni jest dużo, a jaków mało, i który koń jest najważniejszy w całym stadzie.

Z takich dzieci w somonowej szkole wszyscy się wyśmiewali. I mimo że Dolgormę wychowałam dobrze, o moim dawnym świecie wiedziała niewiele.

W domu przyjęli ją jak swoją. Nawet tato, który poprzednim razem odprawił mnie z płaczem. Że się wyrodziłam, sięgnęłam po to, co mi się nie należy. I dużo czasu minęło, zanim Dolgormę zaczął nazywać jej imieniem.

Teraz, kiedy przyjechałyśmy po raz drugi, był już za stary na to, żeby się ze mną handryczyć. Tylko się zdziwił, że jest już taka duża, a kiedy Dolgorma spytała, czy są do siebie podobni, zachmurzył się i rozluźnił uścisk, aż zsunęła się mu z kolan na ziemię. A tak to nie był dla niej niedobry nawet raz skrzyczał dzieci Ojuny i Najmy, Batdżara, Cecegme i Zule, kiedy zaczęły przedrzeźniać Dolgormę, że tak ochoczo kiwa głową. Potem zawołał do siebie Dolgormę i każdemu z dzieciaków dał kuksańca, żeby popamiętały.

Batdżar, Zula i Cecegma byli naprawdę okropni. Trzymali ze sobą i zawsze wymyślali takie trudne zabawy, że Dolgorma przybiegała do mnie z płaczem, że nie chce być ciągle ostatnia.

Rozmawiałam o tym z Ojuną, ale ona na swoje dzieci nie dała złego słowa powiedzieć i twierdziła, że Dolgorma ma się uczyć, więc miała już po paru dniach ciągnęła mnie za rękaw, żebyśmy wracały do domu. Ale ja się nie zrażałam.

Stosunki rodzinne wymagają czasu, dojrzewają jak kumys, pośpiech na nic się nie zda, i Dolgorma musiała nauczyć się radzić sobie sama.

Strasznie byłam ciekawa Ojuny. Ostatnim razem Batdżar był jeszcze w pieluchach, a dziewcząt w ogóle nie znałam.

Najmą się postarzał, ramiona miał zwieszone i więcej rozmawiał ze zwierzętami niż z ludźmi, a w gerze z jego strony dochodziło tylko głośne mlaskanie albo cichy szelest gnieczonego tytoniu, kiedy robił skręta. Ojuna świetnie sobie radziła ze swoimi kobiecymi obowiązkami, więc nie były jej potrzebne żadne męskie uwagi.

Ona chyba najbardziej z nas trzech wdała się w mamę. Przynajmniej jeśli chodzi o ger. Ja zawsze musiałam najpierw zajrzeć pod każdą pokrywkę, żeby się dowiedzieć, w którym garnku jest woda, w którym mleko, gdzie są resztki mięsa, a który jest pusty i umyty. Tak samo robiłam u siebie w domu, ale Ojuna mogłaby chodzić cały dzień z zawiązanymi oczyma i nie wylałaby ani jednej kropli zupy, a z całą robotą uwinęłaby się szybciej niż ja. I przy tym jeszcze miała oko na Zule i Cecegme. Batdżara co rano Najmą zabierał ze sobą.

Krótko mówiąc, Ojuna była kobietą jak się patrzy i dobrze o tym wiedziała.

Tylko nie dało się z nią rozmawiać.

Uważałam, żeby nie śmiać się przy niej, bo kiedyś na mnie naskoczyła, że nie pozwoli, żeby tak ją obrażać, że nikt mnie tu siłą nie trzyma, i jeśli myślę, że ona zazdrości mi tego, że jestem miastowa, to grubo się mylę, bo jej jest mnie tylko najzwyczajniej w świecie żal.

Poczekalam, aż się wykrzyczy, a nazajutrz już było wszystko dobrze. Tylko od tej pory miałyśmy trochę mniej tematów do rozmowy. Ale z Najmą układało

się jej dobrze. Ariuna, jego mama, wiedziała to od samego początku. Tych dwojga nic na świecie nie mogło rozłączyć. Czasami Ojuna krzyczała i zdarzały się dni, kiedy Najmą nie odezwał się ani słowem, ale znowu innym razem obejmował ją w pasie przy piecu, Ojuna przez chwilę się zżymała, że jej przeszkadza, ale w końcu przechylała głowę na piersi i puszczała łyżkę, która sterczała w kluskach jak urga, albo przytulała się pośladkami do jego nóg i mieszała dalej w garnku jakby nigdy nic, a po twarzy przemykał jej uśmiech jak dziecku, kiedy się je łaskocze.

Mama była taka sama jak dawniej, tyle że więcej chodziła koło taty. W swoim gerze zostali już sami, tylko we dwoje, a jak było trzeba w czymś pomóc, przychodziła Ojuna. Ale mama, mimo swojego wątłego zdrowia, nie zgadzała się na żadną większą pomoc, a jeszcze do tego żeby najmłodsza córka się u niej rządziła. Tego nie mogła znieść do końca swoich dni.

Zanim po tym pierwszym lecie wróciłyśmy z Dolgorma do Miasta, spotkaliśmy się jeszcze z Ariuną i Cowem oraz z Majdarem i Munchceceg, którzy przyjechali w odwiedziny. Piliśmy w gerze rodziców, bo tato nie miał żadnego towarzystwa przez cały długi rok, a mama dumnie napełniała czarki. Wszyscy mnie wypytывali o życie w Mieście, Cowo mówił, że w przyszłym roku na pewno się do mnie sprowadzą. Ariuna zasłaniała dłonią uśmiech, Najmą milczał i raz po raz wlewał w siebie wódkę.

Wszyscy wypiliśmy za tę ich przeprowadzkę, po czym przysunął się do mnie mój szwagier i szepnął mi do ucha, że swojej Ojuny nie oddałby za to całe Miasto.

Potem wytoczył się na zewnątrz i było słychać, jak psy walczą o jego rzygi.

W następnych latach Dolgormę przeważnie posyłałam na wieś samą. Nie była zachwycona, ale kiedy ja byłam mała, to też mnóstwo rzeczy miało być tak a nie inaczej i nikt mnie nie pytał o zdanie. Tak ma być, i koniec. Wakacje na rozprażonych ulicach to żaden cymes. Jak ma się wałkonić pod blokiem, to lepiej niech się na coś przyda w Czerwonych Górach. Mogła sobie myśleć, co jej się podoba, ale tak czy inaczej, zawsze udawało mi się ją wyprawić.

Sama też się cieszyłam, że pozbędę się jej na parę tygodni. Kiedy jej nie było, prawie codziennie przychodziła do mnie Nara. Zamykałyśmy się obie w kuchni, gdzie w dymie można było siekierę zawiesić, prowadziłyśmy rozmowy o facetach, a po gołych ścianach bez przerwy łąziły muchy. Tego właśnie chciałam oszczędzić Dolgormie. Gadek starych bab.

Ja nie miałam się na co skarżyć, było dobrze, tak jak jest, ale Narze szczęście nie bardzo sprzyjało. Ciągłe wyglądała nieźle, przecież jednak na tę

swoją czterdziestkę. Kiedy szłyśmy po ulicy i mijałyśmy młode dziewczyny, to od razu rzucało się w oczy, że nie ma się z czego cieszyć.

Ja już nikogo nie szukałam. Najramdał, sąsiad z pierwszego piętra, któremu czasami podrzucałam Dolgormę, jeszcze zanim poszła do chuchdijn cecerlegu, przychodził do mnie już parę lat. Napiliśmy się razem herbaty, jak ciekło z ubikacji, to miałam kogo zawołać, a kiedy wyjeżdżał do krewnych na wieś, zostawiał mi swoje klucze i zawsze przywoził parę butelek kumysu. Tyle wystarczało, żeby było mi dobrze, i nie potrzebowałam nic więcej.

Ale Nara nie miała nawet tego, nie miała też żadnej Dolgormy, a w Czerwonych Górach nie pokazywała się już tak długo, że kiedy ktoś wypowiedział tam jej imię, na chwilę zapadała pełna konsternacji cisza.

Nara nie umiała radzić sobie z facetami. Zaraz ciągnęła ich do siebie do domu, a potem się dziwiła, jak następnego dnia rano znikali i nigdy nie wracali. Kiedy jakimś cudem któryś nie zraził się od razu, to tak go zamęczyła, że po miesiącu wiał, aż się kurzyło. Za najmniejszą oznakę zainteresowania Nara od razu gotowa była oddać wszystko. Wciskała każdemu swoje serce jak drobniaki, a jak facet nie był zainteresowany, to myślała, że pomocą rozłożone nogi. I tym całą sprawę zawsze pogrzebała. Nic do niej nie trafiało. Była kobietą łatwą, nie umiała inaczej. Ale i tak jest to ciągle moja najukochańsza siostra. Nic tego nie zmienia.

Ja jej ciągle powtarzałam, musisz się cenić, ale ona swoją cenę być może знаła lepiej niż ja. Tylko to może wyjaśnić, dlaczego ciągle do mnie przychodziła i z papierosem w trzęsącej się ręce opowiadała kolejną historię, dokładnie taką samą jak poprzednia. Na całe moje gadanie tylko mrugała długimi rzęsami, spod których patrzyło na świat dwoje wystraszonego, tonących we łzach oczu, a te oczy, wiedziałam, czekają tylko na głaskanie po główce. I tak bez końca.

Dolgorma zazwyczaj wracała do domu przed końcem wakacji. Często udawało się jej namówić kogoś w somonowym centrum, żeby ją podwiózł, i jak tylko trafiała się jakaś okazja, natychmiast wyrывała się z powrotem do Miasta. A ja, naiwna, cieszyłam się, że na wsi czegoś się nauczy, i robiłam sobie nadzieje, że może kogoś tam sobie znajdzie, a potem te wszystkie umiejętności będą jak znalazł. Ale Dolgorma była harda.

Tato miał rację, że sama kobieta to za mało dla dziecka, a ja już byłam zmęczona powtarzaniem tego samego w kółko. Moja córka zawsze umiała się odszczeknać, zwłaszcza kiedy mowa była o babci albo o Ojunie. Żeby chociaż zdążyła coś przeżyć, żeby nie była tak beznadziejnie głupia. Ale ona wszystko wiedziała lepiej. Czasami miałam ochotę porządnie jej wlać.

Kiedyś o mało do tego nie doszło. Byłam pijana, no i źle się to skończyło. Wszystko przez ten jej cielejący wiek. Też kiedyś byłam młoda i miałam pstro w głowie, ale nigdy nie pozwalałam sobie tak jak ona. Mama strzeliłaby mnie w twarz. Ja swojej Dolgormy nie strzeliłam.

Byłam pijana i plotłam jakieś bzdury, zamiast po prostu zamknąć drzwi, a klucz wyrzucić przez okno. Dolgorma miała ledwie szesnaście lat. Wyszła i trzasnęła za sobą drzwiami.

Wierzyłam, że wszystko zawsze jakoś się ułoży, przynajmniej między nami dwiema, była przecież wystarczająco inteligentna. W szkole - zawsze najlepsza, i myślałam, że już nie jest dzieckiem. Przecież musiała wiedzieć, że to wszystko dla jej dobra. Nigdy nie robiłam nic złego, zawsze chciałam jak najlepiej, nawet Najramdał powtarzał, że fantastycznie sobie radzę, wszyscy mówili, że wygląda jak laleczka, a potem nagle coś takiego. Nie mam sobie nic do zarzucenia, po tych wszystkich latach, naprawdę nic. Żeby chociaż dała mi szansę, ale nie - od razu mnie skreśliła, według swojego widzimisie, a potem choćbym jej obiecywała złote góry, nic z tego, jakby mnie nie słyszała. Pozwalała sobie mnie osądzać czy co, gówniara jedna. Ona, która jeszcze nie przyniosła do domu jednego złamanego tugra, a już zgrywa ważniaczkę. Słodka dziewczyneczka z tymi rączynkami, które jeszcze nie wiedzą, jak to jest, kiedy kobieta chwyta się ostatniej deski ratunku, a stutonowe drzwi miażdżą jej palce, gdy trafia się jej ostatnia okazja, i każda decyzja będzie gorsza od wszystkich innych, które można było podjąć przed laty, kiedy tak jest źle i tak niedobrze, ale po prostu nic innego nie ma w zasięgu ręki - tej dziewczynie jeszcze nic takiego się nie zdarzyło, a mimo to miała czelność mnie pouczać, co jest dobre, a co złe. A przecież to wszystko, co sobie w jednej chwili po swojemu poukładała w głowie i co jej się tak pięknie złożyło w całość jak dziecięca układanka, to wszystko ja sobie rachowałam przez całe lata, i jeszcze do tego potrzebna mi była ona, żeby w końcu to do mnie dotarło. Łamałam sobie nad tym wszystkim głowę po nocach, myślałam o tym już wtedy, kiedy ona jeszcze nie wiedziała, że znowu przyjdzie na świat, tym razem z mojego łona, już wówczas się zastanawiałam, i potem też, z brzuchem jak beczka, kiedy mogłam leżeć tylko na plecach, a ona wciąż mnie kopala od środka, jakby chciała powiedzieć: bierz się do roboty, nie czekaj do następnego rana, bo jutro to wszystko też będzie nie do wytrzymania, i zawsze będziesz chciała odłożyć to na potem. I później tak samo, przez całe lata. W moich wnętrznościach przewalała się kula ciężka jak własna nieodwołalna decyzja, i właśnie o to chodziło. Nie chciałam się rozhuścić, nie chciałam znowu żyć w niepewności, a nie miałam żadnej innej pracy oprócz tej z facetami. I nie zamierzam mówić, że

to było okropne, bo ludzie robią o wiele gorsze rzeczy, ale mało kto tak się namęczył jak ja. I właściwie po co? Dla tej dziewczyny, która sobie ubzdurała, że jak ma szesnaście lat, to już może mnie pouczać.

Najpierw wmawiałam sobie, że to wszystko wynikło z chwilowej złości, która do rana zniknie bez śladu, i że następnego dnia Dolgorma znowu tu ze mną będzie. Ale nie przyszła ani trzeciego dnia, ani czwartego.

Nara mówiła, że mam się nie przejmować, ale jej spokój tylko mnie irytował. Ja potrzebowałam innego pocieszenia niż ona, ja chciałam usłyszeć, że to nie moja wina, ale czego można się spodziewać po dziewczynie z burdelu. Cóż mogła mi powiedzieć? Ona miała w głowie tylko facetów, a zastanawianie się nad jakąś dalszą perspektywą rozłożyłoby ją na obie łopatki.

Powiedziałam, żeśmy się pokłócili, bo Dolgorma oświadczyła, że w Czerwone Góry już jej nikt wołami nie zaciągnie.

Narze twarz wykrzywił śmiech i kaszel palacza. Ta wersja to było coś w sam raz dla niej. Potem godzinę słuchałam lawiny jej dobrych rad, że mam starać się zrozumieć swoją córkę i że powinnam się postawić na jej miejscu.

Byłam wściekła, bo Narze nie chciałam kłamać.

Dolgorma zniknęła niemal na cały rok. Przez ten czas zrobiła się ze mnie stara kobieta. Jeśli już przedtem miałam wrażenie, że pies z kulawą nogą nie obejrzy się za mną, to teraz byłam pewna, że ktoś taki będzie wołał liczyć asfaltowe łaty, które mu migają pod nogami, niż choćby kątem oka zawadzić o moją żółtą, zwiotczałą twarz.

Pytałam o Dolgormę wszystkich, również jej znajomych, których znałam i ja, ale tylko kręcili głowami i zaczęli opowiadać o swoich sprawach.

Miasto zrobiło się popielate, mój świat stał się jałowy, serce miałam jak step stratowany tysiącem kopyt spłoszonego stada i siedziałam w waciaku na balkonie. Na dole poszturchiwali się chłopcy, w bloku przybyło parę maluchów, i nikt nie miał pojęcia, że każdy wschód bladego słońca może być ostatnim, bo ja chciałam, żeby tak było, i jeszcze się o to modliłam.

Chodziłam do sumu i na obrotowych wałkach przyklejałam co tydzień nową karteczkę z prośbą, bo przez siedem dni cudze ręce, które obracały młynki, zawsze zdołały zamazać litery i moją prośbę ludzie odnosili na dłoniach do swoich gerów i piętrowych bloków, gdzie na korytarzach leżeli pokotem faceci w otoczeniu butelek, a inni w swoich mieszkaniach wycierali wnukom nosy, bo przecież moja Dolgorma musiała być gdzieś między nimi, ale żaden mi tego nie powiedział, choć po tych paru miesiącach niektórych z nich już znałam.

Pozdrawialiśmy się przy młynkach, a mnie pocieszało, że inni też mają zmartwienia i przyklejają karteczki tak jak ja. Kobiety chciały, żeby wrócili do

nich ich mężczyźni, żeby Burchan miał w opiece ich synów, prosiły też o pieniądze, a młynki obracały się pod rękoma tych wszystkich, którzy przyszli do sumu, żeby spełnić swój obowiązek, ponieważ każdy powinien od czasu do czasu zawitać w świętym miejscu. Nadeszła zima, potem w domu rozgrzewałam sobie ręce pod gorącą wodą i po chwili robiło mi się trochę lepiej, ponieważ nigdy nie przestałam wierzyć w siłę modlitwy, chociaż jak wszystko gra, to Burchan od razu ulatuje mi z głowy.

Ale tego nieszczęsnego roku od rana do wieczora słałam mu swoje błagalne myśli. Bo tak naprawdę nigdy nie było tak, żeby wszystko grało.

Często chodziłam na pogaduszki do Najramdala piętro niżej, i to były jedyne chwile, kiedy nam razem wychodziło. Nie rozmawialiśmy o Dolgormie. Wiedziałam, co o tym myśli. Że młode dziewczyny często robią głupstwa i nie wiedzą, jak postąpić, ale prędzej czy później wraca im rozum, i mojej małej też wróci, jeszcze tydzień, dwa, zaklinał się na duszę. Oboje wiedzieliśmy, że przecież dobre z niej dziecko i że za jakiś czas musi zatęsknić za mamą.

Najramdal brał mnie za rękę, i tak siedzieliśmy u niego, popijaliśmy herbatę i oglądaliśmy telewizję przez kilka wieczorów każdego miesiąca. Kiedy Najramdal trzymał mnie za rękę, ten smutek dało się jakoś wytrzymać. Mógł tak samo trzymać za rękę jakąś inną, młodszą kobietę, wyglądał dobrze i mieszkanie też miał nieźle urządzone, ale trzymał za rękę właśnie mnie, i wiedziałam, że nie robi tego tylko dlatego, że jest mu mnie żal.

Po kilku miesiącach po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że kto wie, może nigdy już nie będzie inaczej. Że kwiatom nigdy nie wrócą dawne kolory, że nawet w ciepłe, słoneczne dni będzie zimno, a ja odtąd zawsze będę przeklinać promienie słoneczne za to, że one mogą jej dotknąć, a ja nie. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że Dolgormie mogło się coś stać.

Przecież taka rzecz nie mogłaby mi się przydarzyć - nie mnie. Ja już wystarczająco dużo przeżyłam. Jak wróci, dostanie za swoje.

Tak to się we mnie huśtało.

Później mi przeszło. Żeby tylko już tu była.

I tak, kiedy minął piąty miesiąc od jej odejścia, zaczęłam przylepiać swoje modlitwy codziennie.

Część druga

Tę historię słyszałam już sto razy. Sto razy matka mi ją opowiadała.

Wieczorem, kiedy nie mogłam usnąć, siadała przy mnie na łóżeczku i przytulała swoją głowę do mojej. Jej ręce chłodziły. Delikatnie zatykała mi palcami buzię, żebym już przestała się napraszać, że już musi iść, ale jak przestanę marudzić, to opowie mi jeszcze raz.

Takich wieczorów pamiętam wiele. Prawie za każdym razem było tak samo. Nigdy nie chciałam, żeby matka wychodziła, zawsze jest gorzej spać samemu, a poza tym wiedziałam, że mamy nie powinny tak zostawiać swoich dzieci, i ona też musiała to wiedzieć. Ale u nas było inaczej. Więc przynajmniej zanim wyszła, zawsze musiała mi coś opowiedzieć.

Wiele z tych rzeczy, w które ona wierzy, do mnie nie przemawia. Co prawda, u nas w pokoju dziennym na ozdobnym stoliku koło telewizora stoi Burchan, tak jak u większości innych ludzi, ale zdaje sobie sprawę, że takie rzeczy nie mają na moje życie większego wpływu. Po prostu żadne cuda i czary nie istnieją. Szamani wymarli. Tylko z prababcią było inaczej. To jest właśnie ta historia, którą matka opowiadała mi przed wyjściem. Ale prababcia wcale nie jest w niej najważniejsza.

Najważniejsza jestem ja, moje imię. Jak mogłabym zasnąć, gdybym nie powtarzała sobie tego w kółko na okrągło?

Prababcia była sławna na całą okolicę. Umiała uzdrawiać dotykem śmiertelnie chorych i jedno jej spojrzenie wystarczyło, żeby rany przestały krwawić. Rady prababci były opłacane najdelikatniejszymi kaszmirowymi materiałami, a kto po nią posłał i prosił o pomoc, ten witał ją już przed progiem i oddawał jej cześć w taki sam sposób, jak starzy ludzie kłaniają się malowanym figurkom świątynnym. Podobno kiedy prababcia się zbliżała, niebo purpurowiało, a tuż przed jej przybyciem łomotały gromy i błyskawice strzelały jak zębate noże, cięły niebo niczym piły elektryczne i ostro waliły w ziemię. Kiedy piorun trafił w ger, to znaczyło, że nawet prababcia nie może już pomóc. Ale to nie zdarzało się zbyt często, i właśnie dlatego wszyscy tak prababcię szanowali.

Prababcia знаła się na wszystkich chorobach duszy i ciała. Plecom wykrzywionym od pełnych po wrąb wiader i ciężkich garnków odbierała ból tak samo jak nieszczęśliwie zakochanym. Leczyła ciężkie choroby dorosłych i rozbite kolana dzieci, które spadły z konia.

Kiedy prababcia stała i rozmawiała z końmi, to nawet tym najbardziej rośłym patrzyła prosto w oczy. Taka była wysoka.

Kiedy mama dochodziła do tego momentu, zawsze pytałam ją o to samo. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie nauczyła się od prababci mowy zwierząt. Mama mówiła, że to jest bardzo trudne, a poza tym prababcia umarła, zanim w ogóle mogło przyjść co do czego z taką nauką.

Nie było czasu. Chorych nigdy nie zabraknie. Jest ich jak ziarenek ryżu w czarce z jedzeniem, jak pcheł w złachanej wilczej skórze - tak mawiała matka o rzeczach, których było dużo. Jak siniaków na ciałach ułanbatorskich wałkoni, jak śladów splunąć na jednym rogu tego zawszonego miasta, tak mówię ja. Ja nigdy nie widziałam wilka. Może wilki w ogóle nie mają pcheł. Ale mniejsza o to.

Prababcia była osobą, przed którą niczego nie dało się ukryć. Umiała poznać, kiedy ktoś zmyśla. Kiedy ktoś skłamał, na drugi dzień wyskakiwały mu na ciele czerwone plamy, drapał się po całych nocach, i nikt nie umiał zaradzić na to swędzenie.

Póki prababcia żyła, można było poznać kłamców z całej okolicy po zakrwawionych palcach, za paznokciami mieli krew.

Tylko prababcia mogła im pomóc. Tacy już nigdy nie powiedzieli krzywego słowa, przynajmniej nie przy niej.

Trzęsła też gerem matki. Mama musiała jej słuchać bez gadania, pilnować, żeby nikt nie powyrywał ziół, które sobie nasadziła, a jak prababcia kazała coś zrobić, to każdy to robił dla swojego własnego dobra. Prababcia zawsze wiedziała, co mówi, a kiedy coś powiedziała, to tak jakby odwinęła się rzeźnickim tasakiem. Gdzie sieknęła, tam się wbił. Co powiedziała, to się stało.

Tak samo było z jej śmiercią. Kiedy się zestarzała, postanowiła odejść. Całą rodzinę wyprawiła z domu, a kiedy wrócili, leżała już gotowa przed gerem.

Miała na sobie haftowany srebrną nitką del, głową zwrócona była na wschód i śpiewała, póki nie wydała ostatniego tchu. W miarę jak traciła oddech, słowa były coraz cichsze, aż zlały się z szumem deszczu, który miłosiernie ciurkał gęstymi sznurami, żeby, jak mówiła mama, okryć godnością jej ostatnie chwile. Prababcia nie chciała, żeby ją wniesiono do geru.

Rano jej zimne ciało, w przemoczonym deszczem delu, znaleźliśmy daleko w stepie. Na twarzy miała jakby odświętny wyraz, zabarwiony lekkim uśmiechem. Kolory, którymi przedtem ozdobiła sobie czoło i policzki, rozplynęły się w dziwny, rozmazany wzorek.

Potem zeszła się cała okolica, wszyscy zachodzili w głowę, co mogą oznaczać te kolorowe plamy, wróżyli z nich szczęście i niepowodzenia na przyszłe lata. Najwięcej mogli powiedzieć, rzecz jasna, dorośli ze strony matki. Czyli mój dziadek i babcia. Wokół nich tłoczyły się dzieci. Mama z ciotką Narą

i nieboszczka ciotka Magi z ciotką Ojuną na rękach. Ciotka Ojuna nie miała jeszcze dwóch latek. Na martwej twarzy prababci ktoś dojrzał rozszalałe chmury i przepowiadał, że w naszej ziemi wydarzy się coś złego. Innym jasne wzorki przypominały tłuste stada łaciatych krów, więc przepowiadali łagodną zimę i długie, słoneczne lato. Byli i tacy, którzy w plamach dostrzegali ogromne jurtowisko, jakie jest w Mieście, i mówili, że ceny skupu mięsa pójdą w górę, że z Miasta przyjedzie z wizytą do maminego somonu jakaś szycha albo że somonowe centrum nagle się rozrośnie i nasza ziemia stanie się niezwykle ważna.

Mamie nie wypadało się odzywać, więc tylko stała cicho pomiędzy kolanami babci. Mówiła, że twarz prababci co chwila zmieniała kolor, rosła, a potem znowu się zmniejszała.

Aż nagle mama nie wytrzymała i ni stąd, ni zowąd krzyknęła: Komar, zobaczcie jaki wielki komar!

Wszyscy zamilkli, a nieforemne plamki nagle złożyły się w kształt skrzydeł, pomiędzy którymi można było się dopatrzeć ciemnego patyczka komarzego ciała. Mama pierwsza zobaczyła, co wszyscy inni dostrzegli później, dopiero jak im to powiedziała.

Następnego lata okolicę nawiedziła klęska. Wszyscy ludzie chodzili opuchnięci i nie można było wyjść z geru. Kilkoro dzieci umarło na różne komarze choroby, inne od obrzęków nie widziały na oczy, i dorośli tak samo. Czegoś takiego dotąd nigdy nie było w maminej ziemi. Zwierzęta jak dzień długi zawijały ogonami, a krowy się bodły.

Roje komarów gnębiły ajmak przez cały miesiąc. Mnóstwo ludzi pomarło wtedy na gorączkę, a niektórym w rozdrapanych ranach zagnieździły się małe, śmierdzące robaczki. Mama miała rację.

Dziadek, syn prababci i tato mamy, uznał, że tak tego nie można zostawić. Wszyscy byli przekonani, że prababcia dała znak. Przez mamę, nie przez kogoś innego. Co prawda, mama nie miała żadnych niezwykłych zdolności, ale gdyby wtedy ktoś potraktował ją poważnie, to wszystko mogło się skończyć inaczej.

W końcu postanowiono. Pierwsza córka mamy będzie nosić imię prababci. Tak na wszelki wypadek. A także dla uczczenia na wieki Dolgormy, najbardziej niezwykłej kobiety w całym bacgańskim somonowym okręgu.

To zdanie mama wypowiadała zawsze tak samo, a jeśli czasem opuściła jakieś słowo, od razu podnosiłam krzyk. Żebym mogła zasnąć, musiałam usłyszeć ten bacgański somonowy okręg. Nie miałam zielonego pojęcia, co to takiego ten bacgański somonowy okręg, ale brzmiało to wspaniale. Nie

wiedziałam, że chodzi o miejsce, do którego później będę jeździć każdego lata na dwa miesiące do dziadka i babci.

Nienawidziłam tych wakacji, ale tej historii mogłam słuchać na okrągło.

Potem miałam wrażenie, że i ja jestem w jakiś sposób ważna. Czułam to. Mimo że mama prawie codziennie wieczorem wychodziła z domu, ja natomiast, kiedy się budziłam w nocy, nie mogłam jak inne dzieci wskoczyć do niej pod koc, żeby ogrzać sobie nogi, ja musiałam sama je sobie rozcierać rękoma, w głowie mi okropnie szumiało, a zagłębienia w ścianach zalewało czarne błoto. Uspokoić mnie mógł tylko spokojny warkot aut, które co jakiś czas przejeżdżały koło naszego bloku. Tam, na zewnątrz, było znane mi Miasto, pełne przyjaznych dźwięków i życzliwych świateł, i tam gdzieś podziewała się mama. Mieszkanie było pełne upiornych chrobotów, a kiedy znowu - teraz już bez mamy i ze strachem - zasypiałam, wyobrażałam sobie, jak na Berke z naszego przedszkola sprowadzam okropne swędzenie, tak jak prababcia.

Wszyscyśmy wiedzieli, że Berke bez przerwy coś zmyśla, o swojej rodzinie i o swoim bracie, którego wcale nie miała, a mnie się roilo, że od tego, jak pali ją całe ciało, nie może nawet usiąść. W tym półśnie miała też na twarzy obrzydliwe czerwone plamy, a ręce całe we krwi, jakby je zanurzyła w keczupie. To mnie koilo.

Czułam siłę, bo Dolgorma była najbardziej niezwykłą kobietą w całym bacgańskim somonowym okręgu, a mnie spotkał ten honor, że dostałam po niej imię.

Z mamą żyło nam się dobrze. Miałyśmy mieszkanie w Mieście i nigdy nie musiałyśmy wypraszać mięsa i mleka od krewnych ze wsi, jak to było w rodzinach prawie wszystkich moich kolegów ze szkoły. Zimą w przerwach między lekcjami chodziłam do Inche. Mieszkała tuż obok szkoły, a mnie nie chciało się marznąć przez całą drogę do domu i z powrotem tylko po to, żeby na dwadzieścia minut wsadzić nogi pod kran z gorącą wodą. Dopiero u nich zobaczyłam, jak mamy dobrze.

Mama kupowała najlepszą wołowinę, a do tego jeszcze groszek konserwowy, warzywa w słoiku, majonez po trzy sztuki w wielkich żółtych torebkach, kruche, rozsypujące się herbatniki orzechowe i pieczywo - długie puchate bagiety. Żadne tam ciężkie, gorzkie kluchy, jakie mieli u Inche.

U Inche zawsze wychodziłyśmy na balkon, a tam stała zamarznięta na kość koza, wciśnięta pomiędzy skrzynki. Codziennie mama Inche odkrawała z niej kawałek i z wielkiego płóciennego worka odsypywała do garnka dwie garście

klusek. I to wszystko. Czasem jeszcze dostawałyśmy lepkiego cukierka razem z resztkami papierka, ale to już musiało wystarczyć.

Dla Inche to była normalka. Dla mnie nie.

Mama posyłała im czasem przeze mnie czekoladę, żebym nie wychodziła na darmożada, ale jak chciałam zanieść do Inche nasze kompoty z gruszek w puszkach i jakieś przyprawy, to mi nie pozwoliła. Że mogliby coś sobie pomyśleć i że przecież nie są znowu tacy biedni. Inche zresztą naprawdę nic takiego nawet nie powstało w głowie. Ale ja zawsze miałam lepiej.

Chodziłam ubrana jak w zagranicznych, niemongolskich filmach, i mama też. Mama nosiła delikatne pończochy i miękkie bluzki, których mogły jej pozazdrościć wszystkie kobiety. Ale ciotka Nara ubierała się jeszcze lepiej. Myślę, że mama nigdy nie miała nikogo bliższego niż ona.

Czasami, kiedy przychodziłam ze szkoły, siedziały z mamą w naszej kuchni i gadały. Już od drzwi czułam drogi tytoń ciotki Nary. Paliła cienkie, długie papierosy, jakich w naszych kioskach nigdy nie widziałam. Wcale od nich nie żółkły palce, już z przedpokoju wołała mnie po imieniu przez zasłonę dymną, a ja pędziłam, żeby jej usiąść na kolanach. Miała duże piersi, większe niż mama i o wiele bielsze. Pachniała papierosami, ciężkimi, słodkimi perfumami, a czasami alkoholem. Nosiła broszkę, dwa pierścienie i wysokie szpilki. Była damą. Kiedy odrzucała włosy, cały pokój pachniał jakimiś kwiatami z obcych krajów. Tylko głos miała trochę za bardzo krzykliwy. Przypominał zdarte od wrzasków głosy bazarowych przekupek.

Na bazar z mamą nie chodziłyśmy. Czasem tylko zapuszczałam się tam na zakupy z jakąś koleżanką. Na bazarze można dostać tylko najtańsze i najgorsze rzeczy. W sklepach są pięknie ubrane sprzedawczynie, jest ciepło, i nikt się nie targuje. Mama zawsze mi kupowała, co chciałam, i sobie też. I dlatego się dziwiłam, kiedy znajdowałam ją czasem zwiniętą w kłębek na tapczanie albo zamkniętą w łazience, a jak wychodziła, miała czerwone, zapłakane oczy. Wtedy myślałam, że przecież mamy wszystko, czego chcemy. Ale czasami mnie też nachodziło. Też czasem zwijałam się w kłębek.

Bardzo szybko wyczułam, że w tych wyjściach mojej matki jest coś podejrzanego. Już w chuchdijn cecerlegu się wydało, że inne mamy w nocy nie pracują. Tylko moja.

Mama bardzo szybko zamknęła mi buzię. Jestem jeszcze za mała na takie rzeczy, mówiła.

Kiedy już byłam większa, odcinała się, że to nie moja sprawa i że mam popatrzeć na swoje koleżanki, które ciągle mają głód w oczach i zawsze donaszają cudze buty.

Matka wychodziła na noc przez całe lata.

Już znałam to ciche trzaśnięcie drzwiami, którym dla mnie zaczynała się noc.

W ciemnym przedpokoju mama po omacku szukała butów, ja powoli zapadałam w sen, a tym trzaśnięciem mama po raz ostatni żegnała się ze mną przed wyjściem.

Kiedy czasami zostawała na noc w domu, nie mogłam usnąć. Mama się śmiała, że chyba musi wyjść, żebym w końcu usnęła, a ja ze śmiechem wyprawiałam ją z domu.

Wtedy już byłam większa.

Ale i tak nigdy tego nie zapomniałam. Nauczyłam się być sama.

Mama opowiadała mi czasem o swoich siostrach, jak wszystkie były małe. Mówiła, że nie mam pojęcia, co to znaczy mieć na karku małego bachora. Ze nie wiem, jak śmierdzą pieluchy, jak nieustanne dziecięce wrzaski walą w skronie tysiącem młoteczków i jak straszliwie daleko jest od drzwi do okna, kiedy na tym oknie akurat bawi się głupi dzieciak. Bogi cały czas wszędzie ciągnęła ze sobą swojego młodszego brata. Była moją koleżanką, więc wiedziałam, jak to jest, kiedy dziecko bez przerwy wtyka gdzieś paluchy i nie wie, że garnek z wrzątkiem oznacza śmierć. Brat Bogi przekonał się o tym dopiero wtedy, jak go na siebie ściągnął i niedługo potem umarł. Zamknęłyśmy go w kuchni, bo nie dawał nam spokoju, a potem mama Bogi powiedziała, żebym już do nich więcej nie przychodziła, bo przeze mnie Bogi nie może upilnować małego Batdzargala. To była prawda, ale i tak chciałam mieć brata albo siostrę. Kogoś własnego. Tylko mojego i mamy.

I dopiero kiedy mama powiedziała, że do dziecka potrzebnych jest dwoje, zaczęłam się zastanawiać, jak to właściwie ze mną jest.

O tym, co robią w nocy kobiety z mężczyznami, dowiedziałam się u Inche. Spałam u niej, kiedy mama miała coś do załatwienia albo musiała wyjechać.

Kiedyś Inche obudziła mnie w środku nocy, wyciągnęła spod łóżka stary nocnik i zaczęłyśmy nasłuchiwać. Nic nie widziałam, ale do tych odgłosów Inche pokazała mi jakieś obrazki, które jej starszy brat trzymał pod łóżkiem, i wszystko stało się jasne.

Ja te rzeczy trochę poznałam już na wsi, ale nie wiedziałam dokładnie, o co chodzi.

To nocne kotłowanie koców na łóżkach dorosłych jakoś mi się zlewało z innymi dziwnymi i odrażającymi rzeczami, których na wsi było pełno.

Faktem jest, że właściwie dosyć długo nie miałam pojęcia, że do naszej rodziny należy jeszcze ktoś inny oprócz mamy i Nary.

Bacgański somon, ta nędza zachłystująca się kurzem, rozwinął się przede mną jak obrus przepalony petami, na krótko przed dniem moich siódmych urodzin.

Babcia, dziadek, ciotka Ojuna, wuj Najmą i trójka ich dzieci. Drobne i coraz bardziej malejące, połyskujące figurki, do których wykrzywiałam się z dżipa, kiedy po wakacjach wracałam do Miasta. W Mieście, przez to, że jest w nim tyle domów, nikt nie może być tak strasznie malutki i oddalony, a mimo to widoczny, jak ludzie na wsi.

Mieli stać się moimi nowymi bliskimi. Ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Zawsze miałam to samo wrażenie, kiedy z geru Ojuny wracałam do Miasta, a oni stali przed gerem, tak jak należy, dopóki nasz dżip nie wpłynął za najbliższy pustynny pagórek. Nigdy nie stali się moimi bliskimi.

Przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażała mama.

Dziadek mówił, że już mnie kiedyś widział, całkiem malutką. To była w ogóle pierwsza rzecz, z jaką wyskoczył. Nie wyglądał na bardzo zdziwionego, kiedy weszłam do geru, jak matka mnie popchnęła i powiedziała, że mam iść pierwsza.

Potem wypytywała, co mi mówił dziadek, a kiedy jej odszczeknęłam, że tylko to, i zaczęłam się złościć, dlaczego wcześniej tu nie przyjechałyśmy, skoro wszyscy wiedzieli, że istnieję, zaczęła rozpakowywać nasze rzeczy, i przybiegł mój brat cioteczny Batdżar i siostry cioteczne Cecegma i Zula, i poszliśmy razem obejrzeć martwą panterę śnieżną.

Potem już nie musiałam o nic pytać, samo mi się wszystko rozjaśniało w głowie. Zrozumiałam, że w naszej rodzinie istnieje mnóstwo drażliwych spraw, i że do takich spraw należymy również ja i moja matka.

Batdżar, który był o dwa lata ode mnie starszy, mówił, że mama ukradła moje imię. Dosłownie tak powiedział: ukradła twoje imię, tak samo jak altajscy złodzieje kradną najlepsze konie z naszych stad.

Wydało mi się to śmieszne. Matka nie była żadnym podejrzanym typem, a moje imię nie miało nic wspólnego z chwytem koni na urzę.

Od razu poszłam zapytać matkę, jak można ukraść imię, a ona opowiedziała mi jeszcze raz tę samą pożegnalną historyjkę o prababci i o tym, jak ona jedna rozpoznała na jej twarzy komara, i jak dziadek postanowił, że będę Dolgorma. To, że tylko dziadek mnie widział, kiedy byłam zupełnie mała, jakoś potwierdzało wersję mamy.

Dziadka bardzo polubiłam. Ciotkę Ojunę już mniej, bo Batdżar powiedział, że o tym altajskim koniokradzie usłyszał od niej, a poza tym mamie też nie za bardzo się z nią układało. Co prawda, nie mogłam zrozumieć, dlaczego matka

przywiozła mnie tak późno do bacgańskiego somonu, a jak się okazało, że Cecegma, Batdżar i Zula już wcześniej słyszeli o mamie, to się popłakałam, ale i tak po dwóch dniach strasznie chciałam wrócić do domu.

Wtedy po raz pierwszy byłam tam z mamą, później już prawie zawsze przyjeżdżałam sama.

Babcia mówiła, że na to potrzeba czasu. Słyszałam, jak obie z mamą rozmawiały, i wtedy dotarło do mnie, że babcia nigdy niczego nie zrozumie.

Już byłam wystarczająco duża, żeby wiedzieć, że wieś to nie szkoła, do której się trzeba przyzwyczaić, bo jak dzieci nie chodzą do szkoły, to rodzice idą do więzienia. Gdybym z mamą od razu na trzeci dzień wróciła do Miasta, nic by się nikomu nie stało. I tak przez te wszystkie lata nikt za mną nie tęsknił, a mnie też nikogo z nich nie brakowało.

Powiedziałam to wszystko mamie, ale dziadek usłyszał i spuścił mi manto. Potem i mamie palnął kazanie, że to tak w Mieście wychowuje się dzieci, a ja po raz pierwszy widziałam mamę uległą.

W gerze matka była zupełnie innym człowiekiem. Nie mogłam tego znieść. Kiedy babcia wtykała mi do ręki mieszadło, chutag albo tawag, cały jeszcze w śmierdzącej, ciepłej krwi, tylko patrzyłam, jak by to zwalić na Zulę albo Cecegme. A mama wszystkie te prace posłusznie wykonywała razem z babcią.

Zaczęli mnie nazywać dzalchu, ale ja leniłam się tylko tam. Tam wszystko było mi obce. Kiedy już miałam swój rozum, po prostu rzucałam robotę i wychodziłam. Zostawiałam mięso nie do końca pokrajane i nieposolone, a malowane drzwi zatrzaśkiwały się za mną choćby i na cały dzień. Tego triumfalnego uczucia, kiedy przytrzasnęły ogon jakiegoś nochoja, nie da się opisać. Babcia mogła na mnie krzyczeć, ile chciała. To może działało na Cecegme albo na mamę, ale nie na mnie. Babcia stała i dziko wymachiwała rękoma, brwi miała uniesione do góry, a przez szorstką, pomarszczoną, kocią twarz przebiegały fale głębokich zmarszczek.

Była śmieszna.

Bałam się jej tylko tamtego pierwszego lata i nigdy jej nie wierzyłam.

Zasuszona głowa babci na cienkiej, śniadej szyi cały czas kiwała się rytmicznie, tak samo jak ruchliwe ręce, które w domu bez pomocy dawały sobie radę ze wszystkim. Prawie zawsze coś w nich trzymała.

Tylko kiedy wieczorem czekałyśmy na mężczyzn, zupa spokojnie perkotała na piecu, i z robotą był spokój aż do następnego rana, trzymała je złożone na podółku. Drobne, brzydkie, węzlaste piąstki. Ale nawet wtedy poruszała palcami albo rozcierała sobie uda, jakby zmarzła na kość. Zawsze się mnie

czepiała, a ja tęskniłam za naszym mieszkaniem, w którym były kąty. Bo za słupy podporowe w gerze nie można się schować.

Babka niczego matce nie odpuściła. Ty rusko, mówiła, kiedy widziała jej piękne ubranie, a gdy rano mama myła sobie twarz, zrzędziła, że z tej wody mógł być cały czajnik herbaty z mlekiem na wieczór, i że mama tylko ją tak bez sensu rozchlapuje. Po wodę przeważnie chodziłam ja, ale babcia ciosała mamie kołki na głowie, jakby to ona miała obolałe plecy od tych wiader. Batdżar zazwyczaj był przy stadzie, ale Cecegma i Zula bały się babci jak stepowego skorpiona. Tak mówiła ciotka Ojuna.

I jeszcze jedna rzecz różniła mnie od krewnych z Czerwonych Gór. Przynajmniej raz w czasie wakacji musieliśmy wyprawić się do owa. My, młodzi, nieśliśmy chadagi i słodkie ciastka, a dziadek i babka ubrani byli w lepsze rzeczy. Telepaliśmy się parę godzin przez rozpaloną do białości okolicę, pył szczypał oczy i spływał razem z potem brązowymi strużkami, które rozmazywaliśmy rękoma po całej twarzy. Konie charczały z pragnienia i plątały im się nogi jak koniom pijaków. I wszystko tylko po to, żeby potem obejść kamienistą górkę, na kamulcach położyć trochę roztopionych słodyczy i do chwiejnych, martwych konarów przywiązać niebieskie i żółte kawałki materiału, w sam raz dla wielbłądów i zabłąkanych koni. Ale w końcu zawsze do owa jechałam. To nie było tak jak z patroszeniem kóz i zbieraniem argalu, kiedy krzyknęli na mnie dzalchu i zmarszczyli czoło. Musiałam jechać. Pomyślałam sobie, że mimo wszystko dobrze mieć oprócz mamy i Nary jeszcze jakichś innych bliskich.

I w końcu jakoś się wewnątrznie przemogłam.

Ale nie tak jak mama.

Mama miała gorzej. Codziennie. Należała do nich bardziej niż ja i robiła wszystko, żeby odkupić to, że jej świat jest inny, a oni zostali tam, skąd ona odeszła. Wszystkie jej zabarwione uśmiechem, bojaźliwe spojrzenia i ruchy, którym daleko było do zręczności dłoni ciotki Ojuny, prosiły o wybaczenie.

Jedną sprawą, której jednak w ogóle nie rozumiałam, była prababcia. Znałam jej historię lepiej niż swoją własną i daremnie doszukiwałam się szacunku, z którym o tej najbardziej niezwykłej w całym bacgańskim somonowym okręgu kobiecie mówiła mama, i który tak jakby trochę i mnie się należał. Babka jakby jej nie знаła. Co prawda, mama mówiła, że dziadek szanuje jej pamięć, ale on tylko nie pozwalał nam dotykać skrzynki, w której podobno był kawałek prababcinego delu i para jej letnich haftowanych butów, a wszystko inne jakby wpadło w szyb od windy.

Może miały z tym jakiś związek jego długie wieczorne wyprawy w stronę horyzontu, ale nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Mama mówiła, że kiedy była mała, zabierał je ze sobą obie, ją i Narę, ale nigdy nie zaproponował tego wnukom. Ani babce, ani Ojunie. W towarzystwie Ojuny nie czułam się dobrze. Co innego Najmą, jej mąż. Z nim jednym z całego geru lubiłam przebywać. Najmą czasem brał mnie na konie.

Prawie wcale się nie odżywał i z kieszeni delu wyciągał jednego papierocha za drugim. Do geru wracał dopiero na noc i nigdy nie krzyczał na dzieci jak Ojuna. Mówił tylko wtedy, kiedy to było niezbędne, i nikt lepiej od niego nie znał okolicy.

To on mi pokazał malunki, które były za gerem w Czerwonych Górach w kilku trudno dostępnych miejscach. O niektórych z nich wiedzieli wszyscy, a niektóre znał tylko on, a potem też i ja, kiedy go uprosiłam. Sadzał mnie przed sobą na siodle, nikomu ani słowa, i uciekaliśmy od tych wiecznych przepychanek babki z Ojuną.

Na niektórych kamieniach były tylko jakieś zygzaki i odciski rąk, ale na innych widniały postacie w koncentrycznych okręgach - ludziki, które trzymały się za ręce, a ze zwierząt głównie konie i krowy.

Na największym rysunku, który pokazał mi Najmą, był wielki kwadrat, a w nim setki małych i wielkich kółek. Najmą mówił, że to są zwierzęta. Stado.

Ludzie kiedyś dawno nie umieli malować, więc nie pozostawało im nic innego, jak z kozy zrobić kółeczko.

Zula, Cecegma i Batdżar kręcili na to nosem. Nie mieli ochoty wlec się aż do skał dla jakichś starych kółeczek. Byli głupi. Mnie z kolei nudziły ich zabawy. Zawsze tylko pobrudziłam sobie ubranie, ale nigdy nie wygrałam. Zula czołgała się po trawie tak cicho, że ja nie umiałabym nawet równie cicho leżeć.

Kiedyś Najmą pojechał do somonowego centrum po rzemienie i przywiózł puszkę z białą farbą. Mrugnął do mnie i od razu wiedziałam, że szykuje się coś tylko dla nas dwojga. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy w skały.

Wyjął pędzel, nożem podważył wieczko od puszek i poszliśmy do kółeczek. A potem zaczęliśmy dokładnie pociągać białą farbą jeden rysunek za drugim. Ja mogłam poprawiać tylko proste rysunki, bo od razu na początku pociągnęłam z rozmachem jedno zwierzę i tym nieopatrzynym ruchem z konia zrobiłam garbatego jaka. Zajmowaliśmy się tym do wieczora, a kiedy w ciemności zaczęły nam łzawić oczy, wróciliśmy na kolację. Jeszcze przez kilka dni, kiedy Najmą miał czas, jeździliśmy z puszką w góry i poprawialiśmy to, co było już ledwie widoczne.

Rysunki lśniły jak nowe. Potem pokazaliśmy to innym i nawet Batdżar, który dużo ze mną nie rozmawiał, uznał, że jest lepiej, niż było. To były moje najprzyjemniejsze wakacje ze wszystkich spędzonych w bacgańskiej ziemi. Już przestałam się wstydzić, nabyłam trochę różnych umiejętności i byłam jeszcze za mała na to, żeby dostrzec tę nędzę, w jakiej żyją mieszkańcy wsi.

Babka mówiła, że dlatego dziwię się tym wszystkim wiejskim rzeczom, że nigdy nie wyściubiłam nosa z Miasta, ale ja się wcale nie dziwiłam, mnie się po prostu na wsi nie podobało.

Część trzecia

Na przykład my w Mieście plastikowe torby z puszkami po sprajcie, butelkami po wódce i resztkami jedzenia wyrzucamy przez okno, ale u babki wszystko piętrzyło się koło geru jak mury obronne, które musiałam za każdym razem pokonywać z zaciśniętymi zębami, taki był smród. W ogóle nie miało sensu wspominać o jakimś myciu, a pranie robiło się od wielkiego dzwonu. Kiedy dawniej w mieście widziałam wieśniaków, myślałam, że są wysmagani wiatrem i spaleni słońcem, bo po całych dniach cwałują wokół stada i zaganiają pojedyncze sztuki do kupy, ale ten ich błyszczący brąz to nic innego, tylko usmolona sadzami, tłusta skorupa.

A z tym rzucaniem kostkami to kolejne oszustwo. Kiedy rzucają dzieci o to, kto pójdzie po argal, to bardzo proszę. Ja też tak grałam z Zulą o różne rzeczy. Ale jak kości rzuca babcia, żeby się dowiedzieć, czy to jest dobry dzień na wielki udój albo czy dziadek ma kupić nowe drzwi już w tym roku, czy też lepiej jeszcze poczekać, to szkoda gadać. Bez sensu.

Mama mówiła, że owce ze stada dziadka są najsmaczniejsze w całej Mongolii na zachód od Miasta. Mięso mają tak aromatyczne, że nie potrzeba do niego nic oprócz soli. Podobno przez jakieś wyjątkowe zioła na pastwiskach. Ale w miskach i tak nigdy nie było nic oprócz łoju, który przy przełykaniu przyklejał mi się gdzieś w gardle, a potem przy bekaniu tak po nim jechało, jak z capiego pyska. Nie ma porównania z sansarskimi parówkami z puszki.

Cecegma i Zula bardzo szybko straciły chęć do zabawy i została im tylko ta ich złośliwość. Za każdym razem musiałam jakoś wymóc na nich respekt. Obie cały rok mieszkały w internacie przy szkole, a mimo to nie wiedziały, kiedy powstała nasza republika, którędy płynie Wołga i gdzie leżą Stany Zjednoczone. Co najwyżej życiorys Czyngis-chana. W tym były dobre. Zresztą to wszystko to i tak same wymysły.

Kiedy matka siadywała u nas w kuchni, na przykład z Narą albo z jakąś inną panią, to nawet przez zamknięte drzwi całe mieszkanie wypełniał gromki śmiech. Przy tym gotowały albo słuchały radia, a ja w sąsiednim pokoju z głową nad podręcznikiem matematyki albo przyrody strzygłam uszami jak pies Cereg z serialu Cagda.

Jeśli w radiu leciało coś ładnego, czasami z kuchni słyhać było podwójne przytupywanie albo znowu ni stąd, ni zowąd mama parskała śmiechem, kiedy Nara wyskoczyła z czymś zabawnym.

W gerze mama była zgaszona, oczy miała spuszczone, kiedy babka się na nią rozdarła, mamie drżała broda. Jakby to ona była młodsza, a nie Ojuna. Wstydziłam się za nią, a babki za to nienawidziłam.

Widziałam, jak babcia zupełnie straciła głowę, kiedy przywiozłyśmy z Miasta nową latarkę. Nie umiała jej włączyć, a potem świeciła w ciemności na owce i śmiała się, jak im oczy błyszczą na czerwono, później kierowała światło na twarze Ojuny i Cecegmy, a mama siedziała i nie odzywała się słowem.

Babka nic nie wiedziała o świetle, a mimo to matka zawsze jej ustępowała.

Kiedy babcia nie miała dla mamy żadnej roboty, i Ojuna też nie potrzebowała pomocy, mama

siadała na płaskim kamieniu niedaleko tych skał z malunkami. Kamienie były nagrzane, a mama zawsze mnie napominała, żebym uważała na węże, które mają pod nimi gniazda.

Czasami obserwowałam mamę, jak idzie. Chodziła inaczej niż wszyscy w gerze, jej chód był lekki i płynny, jakby miała oderwać się od ziemi i dołączyć do wędrownych czapli, skoro już nie chce zostać u swoich. Kiedy doszła do kamieni, nie siadała od razu, najpierw rozkładała chustę, wygładzała ją rękoma i dopiero potem ostrożnie siadała, jakby wciąż miała na sobie delikatne pończochy i nie chciała ich zaciągnąć. Kiedy przychodziła, a ja akurat byłam przy skałach, skradałam się na palcach od tyłu i czasami udawało mi się ją zaskoczyć.

Łapałam ją z tyłu za włosy, a mam cię, i nigdy nie byłam pewna, czy się z tego cieszy, czy mam odejść. Czasami mówiła, żebym razem z nią trochę popatrzyła, i pomagała mi wdrapać się na górę. Siadałam koło niej, ale zaraz zaczynałam się wiercić, łapać owady, które łaziły mi po kolanach, i wypytywać mamę o różne rzeczy.

Matka przeglądała się w tych piaszczystych, szarych połaciach jak w lustrze, i każdy pagórek w Czerwonych Górach coś dla niej znaczył.

Do mnie to w ogóle nie przemawiało. Teraz też nic w tym nie widzę.

W moich oczach step był tylko ogromnym płatem suchej, zrogowaciałej, martwej skóry.

Nie miałam gdzie się zaczepić wspomnieniami - moje wspomnienia były w Mieście, czyli hen, za górami, a potem zawsze dostawałam od mamy po głowie i zaczynałam płakać, bo na tej wypalonej desce z kępkami bladej trawy naprawdę nie było niczego, na co można by patrzeć.

Włókłam się w kierunku babcinego geru, ostra trawa cięła mnie po nogach, a wieczorny wiatr podnosił z ziemi ciemny pył.

Ger wyglądał jak skurczona bryła, a ja wiedziałam, że w środku czeka na mnie porcja klusek, brudny garnek i drwiny obu sióstr, bo te dwie zawsze umiały znaleźć sobie jakiś powód do szyderstw.

Mama na głazie ani drgnęła.

Kiedy dziadek odwoził mnie pod koniec ósmego miesiąca, do wszystkich kobiet stojących w rzędzie przed gerem zrobiłam z dżipa najbardziej pogardliwą minę, na jaką mogłam się zdobyć, tylko Najmie posłałam promienny uśmiech i z palca wskazującego i kciuka zrobiłam kółeczko jak na malunkach i przycisnęłam je do szyby. Byliśmy spiskowcami.

Może trochę z tym przesadzałam. Ale przyszłe? mi to do głowy za późno. Dopiero kiedy wydała się ta cała sprawa z matką. Miałam wtedy szesnaście lat, Batdżar był w wojsku, a z obiema siostrami ciotecznymi nie widziałam się ładnych parę lat. Dziadek już wtedy nie żył. Dlaczego dobrzy ludzie zawsze umierają pierwsi? W babce to jej twarde serce tłukło się jeszcze parę lat, ale nie przeżyła swoich sióstr i brata. Nie potrafiła sobie odmówić tłustego jedzenia, a dżip Najmy okazał się za wolny na to, żeby w mieście jakiś doktor mógł jeszcze coś pomóc.

Może wcale nie byli tacy. Ze mną przecież było o wiele gorzej. Kiedy połapałam się, czym się matka zajmuje, po prosu ją porzuciłam. Przestała dla mnie istnieć. Kiedy zrozumiałam, skąd mamy na te nasze stroje i pięknie urządzone mieszkanie na Sansarze, za jakie obślizgłe, przepocone banknoty matka to wszystko kupowała, wyszłam, trzaskając drzwiami.

Mama siedziała w kuchni i krzyczała, że nie wiem nic o życiu, że ona haruje i poniża się tylko dla mnie, ale że od jutra wszystko się zmieni, bo to żadna sprawa, żeby robić co innego, daje mi na to słowo honoru. Była pijana, język jej się plątał, a już w przedpokoju usłyszałam, jak poleciało szkło; mama musiała boleśnie się o coś walnąć, bo zaczęła miotać przekleństwa jedno za drugim, ale takie, jakich nie znają nawet męty z zaplutyh spelun.

Poszłam prosto do Oczira.

Gdyby go nie było, nie mogłabym sobie pozwolić na to, żeby tak trzasnąć drzwiami.

Nic nie umiałam, a szlifowanie bruków to nie dla mnie. Chodzić w łachmanach i zebrać u ludzi o kawałek chleba zza umytej wystawy, spać po kanałach i trzymać z tymi, co do Miasta uciekli ze wsi albo zwiali od tych, którzy ich bili, a teraz nędzę zalewali stakanami wody, co to, to nie. I tak już dawno chciałam się przenieść do Oczira, ale póki nie wybuchła ta afera z matką, nie miałam okazji z tym wyskoczyć. Powiedział, że najważniejsze, że

matka nie zdążyła nauczyć mnie swojego fachu, wziął ode mnie torby, wrzucił je do swojej szafy i tak znalazłam się w nowym domu.

Oczir miał dość duże mieszkanie na ostatnim piętrze. Huczał w nim wiatr, a kiedy było szoro, to nawet jakby się trochę kiwało i huśtało, i przez szpary w oknach wył i świszczwał wiatr. Balkon mieliśmy cały zakratowany, bo Oczir mówił, że jakiś cwaniak mógłby się wspiąć tu na górę, a obca twarz za oknem balkonowym to nie jest nic miłego.

Oczir miał już skończoną trzydziestkę. Był dla mnie miły i wszystko mi powiedział od razu tego pierwszego wieczoru, kiedy przyniosłam swoje rzeczy. Żona zabrała dzieci i uciekła od niego, podobno poszło o pieniądze. Kiedy wyliczył wszystko, czego ta baba chciała, i to tylko w najlepszym gatunku, nie potrafiłam zrozumieć, jak mógł z nią te parę lat wytrzymać. I jeszcze jej płacił alimenty.

To wszystko powiedzieliśmy sobie od razu pierwszego wieczoru.

Leżeliśmy razem w małżeńskim łóżku przykryci wielką kołdrą w kwiaty, trzymaliśmy się za ręce i czułam, że mam ogromne serce, które pulsuje i oddycha jak wielkie zwierzę, a Oczir przenika do niego niby zapach z płóciennego woreczka z macierzanką. Był jak mój tato, z trudem mogłam go objąć w pasie, a jednocześnie mały; tego wieczoru wydał mi się jakby skulony w zamkniętej dłoni, a ja czułam tę siłę, którą ma kobieta, kiedy spleta swoje palce z palcami mężczyzny, żeby przez to wspólne milczenie zmiękły wszystkie kostropate blizny i żeby w ciągu kilku godzin cichej nocy zniknęły wszystkie rany.

Oczir miał swoją firmę. Zatrudniał kierowcę, czasami jeszcze kogoś, i pokazywał Mongolię dzulczinom z innych krajów. Oprawdzał ich po Mieście, a potem jechał z nimi na touristtour. Objeżdżał Erdeni Dzu, zamek Cogt Tajdza, parę innych miejsc, i tłukł wcale nieźle pieniądze. Czasami, jeśli dzulczinowie mieli takie życzenie, zabierał ich aż do jezior Uws Nur i Chubsuguł, a oni łowili tam wielkie ryby, jakich nie mieli u siebie, i z przejęciem sadowili się pomiędzy wielbłądzimi garbami.

Oczir od razu przyjął mnie do pracy, znałam kilka obcych słów ze szkoły i szybko się uczyłam.

Prowadziłam turystów do Gandanu i mówiłam to, co powiedział mi Oczir, a jak czegoś nie wiedziałam, marszczyłam czoło, że to niby tajemnica albo że każdy o tym wie swoje, i po problemie. O wszystkim decydował Oczir, załatwiał również sprawy, które mnie dotyczyły, więc praca za te pieniądze wcale nie była trudna. Zostawało mi też dużo czasu dla siebie, więc chodziłam

po sklepach, sprzątałam i gotowałam Oczirowi różne dobre rzeczy, jakich nauczyła mnie mama. Wszystko było cacy. O nic nie musiałam się martwić.

Dni płynęły jak powolny prąd ułanbatorskiej Toły, czarna noc i biały dzień skakały jak moje oczy po szachownicy, którą czasami wieczorem rozkładaliśmy z Oczirem, a mnie wydawało się oczywiste, że zostaniemy ze sobą do końca świata.

Ale koniec przyszedł tak samo szybko jak początek. Kiedy któregoś wieczoru wróciłam do domu, w kuchni była jakaś obca stara baba, a na tobołach w przedpokoju siedziało dwoje dzieci. Oczir stał w kuchni odwrócony do mnie plecami jakby nigdy nic, chociaż musiał usłyszeć, jak trzasnęły drzwi. Obejrzał się, dopiero kiedy ta kobieta zrobiła w jego kierunku pełen odrazy gest i prześlizgnęła się koło mnie do dzieci.

Każda dorosła kobieta zrozumiałaby wszystko w mig, ale ja jeszcze po półgodzinie jego przerywanej przemowy ciągle stałam z otwartą buzią, a zamknęłam ją dopiero wtedy, kiedy skończył, i postawiłam wreszcie na podłodze torbę z zakupami. Oczir powiedział, że te zakupy też mogę sobie zabrać, a ja kątem oka dostrzegłam w rogu pokoju dwa wypchane, baniaste stwory - moje spakowane torby.

W pięć minut już mnie tam nie było, na dworze zwałam się na ławkę i nic tylko ryczałam jak wół, płakałam niczym głupi dzieciak, który dostał lanie i którym tak naprawdę byłam. Jak siedziałam, tak się położyłam, ściągnęłam tylko buty i coś na siebie narzuciłam. Nie mogłam po tak długim czasie tak po prostu wrócić do mamy, na szczęście noć była ciepła i bezwietrzna. Ale ciągle się budziłam i za każdym razem podnosiłam się i odwracałam głowę. Gwiazdy już zaczęły błędnąć, a u nich ciągle się świeciło.

Część czwarta

Gdyby ktoś mnie zapytał, kiedy się czułam najszczęśliwsza, to powiedziałabym, że wtedy, kiedy dzieci były małe, a Mergen zniknął z mojego życia. Mimo to wiele razy żałowałam swojej decyzji. Mieszkać z mężczyzną, wiedzieć, co oznacza każdy jego najmniejszy gest, na skinienie przynosić czarki z jedzeniem, a na inne znowu biec uspokoić dzieci, łątać mu kapcie, czuwać przy jego łóżku do bladego świtu, kiedy zachoruje, znać wszystkie jego zmarszczki i patrzeć, jak dzień po dniu rozrastają się w wachlarzyki, i przez cały ten czas czuć, że moje nogi rwą się buntowniczo do ucieczki, moje powieki drgają w zakazanych snach, a dotknięcia mojego męża są dla mnie już tylko jak przybywające lata - cierpiętnicze i nie do uniknięcia, i właśnie temu mężczyźnie rodzić dzieci, to było w moim życiu najsmutniejsze. Chociaż, kto wie, może właśnie to było moim największym szczęściem.

Mergen czekał na mnie w Mieście u Szarceceg całe dni i noc. O mało nie rozsadziło mi od tego głowy. Siodłałam konia, szykowałam trochę jedzenia na drogę, ale potem, kiedy zwierzę grzebnęło kopytem, ręce traciły wszelką siłę. Nogi pode mną miękły i wszystko z powrotem wracało na miejsce. Siodło na półkę, chuszury z torby. I tak cztery razy.

Kiedy zaczynało robić się szaro, a koń już był narowisty od tych ciągłych przygotowań, powiedziałam sobie: Alto, ranek jest mądrzejszy od wieczora.

Moje postanowienie było niezłomne.

Zasypiałam i przyciskałam usta do małego obrazka w ramkach. To zdjęcie dał mi już dawno, kiedy z palcami wbitymi między jego palce nie chciałam pozwolić mu odjechać. Mergen stał tam ze strzelbą, pierś miał wypiętą jak dowódca chańskich wojsk. Mówił, że zanim błysnął flesz, dosłownie tuż przedtem, ubił cztery wilki. Wilków na zdjęciu nie widać. Przez całą noc drewniana ramka nie dawała mi spokoju, przewracałam się z boku na bok, a ona wyciskała mi na plecach czerwone kwadraty. Do rana straciłam pewność.

Obudziłam się, a moje ciało było jak z drewna. Nie mogłam poruszyć rękoma ani palcami u stóp. Nie udało mi się wstać, co dopiero mówić o siodłaniu konia. Przeleżałam cały dzień w gerze jak porzucony, bezkształtny kawał mięsa, a nazajutrz rano obudziłam się z gorączką. Nie mogłam nigdzie jechać, nawet gdybym chciała. Poczułam ulgę.

Po kilku dniach wrócił Tuleg. Nie musiałam już spuszczać oczu, znowu byłam czysta. Czułam wielkie szczęście. Później nigdy więcej niczego takiego Tulegowi nie zrobiłam. Ale też jego dłonie już nigdy nie przypominały mi rzeźbionych świątynnych mis, a jego pocałunki były dla mnie jak dziobanie

ptaka, który bierze, co do niego należy Tym bardziej starałam się być przykładną żoną.

W naszym gerze wszystko było w największym porządku, na podłogę nie mogło spaść jedno ziarenku ryżu ani okrawek z owczych kopytek, jak to czasem bywa. Kiedy na świat przyszła Ojuna, Tuleg znowu przez kilka tygodni odchodził od zmysłów, jak kiedyś.

Przedtem szalał tak z powodu Magi.

Kiedy posadził sobie Ojunę na ramionach i pozwalał się jej ciągnąć za włosy, chwycił ją zębami za palce, żeby pischczała, za Mergena nie dałabym połamanej rakiety śnieżnej.

Mergen z mojego życia odszedł cicho, a mnie po tym wszystkim został na zawsze wstyd.

Raz na jakiś czas uproszę Szarceceg, żeby coś mi o nim opowiedziała, ale Szarceceg już rzadko daje znak życia. A i tak jestem pewna, że Mergen ciągle siedzi w tym oknie. Chciałabym tylko, żeby czasem ktoś przy mnie wypowiedział jego imię. Usłyszeć imię tego, kto w bezgłosych wspomnieniach trzyma mnie mocno w ramionach, a sam powoli się wytraca, niknie, tak jak wszystko, co stało się dawno.

Moi rodzice rozmyli się wiele lat temu. Trudno utrzymać w głowie kolor czyichś oczu, kształt ust i vibracje głosu. Więc zniknęli. Ich obrazy przepadły.

Czasem słyszę głos mamy, z taty już nic mi nie zostało. Ludzie mówili, że mam jego odwagę, ale ci, którzy tak twierdzili, też już odeszli.

Gdyby mnie tak strasznie nie kłuło w brzuchu, to nie przypomnieliby mi się rodzice.

Z Dolgorma było zupełnie inaczej. Dolgorma była kimś. Nie przepadałam za nią, ciągle się do wszystkiego wtrącała, więc bywało, że całe dni robiłyśmy wszystko w gerze odwrócone do siebie plecami, ale jej słowo miało swoją wagę, a potrafiła odezwać się tak, że człowiek chciałby paść na kolana przed tą mądrością i całować rąbek jej delu. Zdarzyło mi się to kilka razy. A poza tym było to babsko kłótniwe i nieżyczliwe. Kiedy każda z nas pilnowała swojej roboty, jeszcze jakoś dało się wytrzymać, była w swoim żywiole, kiedy pracowała bez spoczynku cały dzień, ale jak przyszło coś postanowić, miała dziesięć słów na moje jedno, bo zawsze wiedziała wszystko najlepiej.

Gdyby Dolgorma była moją matką, szybko dostałaby za swoje. U nas nikt się nie bawił w wielkie słowa, ale za to, kiedy tato był rozgniewany, a jeszcze do tego trochę sobie łyknął, zaczynało się bicie. W gerze zawsze była butelka. Wszystkiego innego mogło zabraknąć. My, dzieci, chodziliśmy jak oberwańcy - Gerle, ja, Szarceceg i Onon.

Ogoj i Mira, nasi rodzice, nie powinni byli nas mieć. Tacy ludzie jak oni powinni siedzieć w gerze w pojedynkę, zamknięci na cztery spusty, żeby nie mogli włożyć jeden drugiemu pod koc i robić dzieci.

Rodzice mieli kilka wychudzonych kóz, konia o zapadniętych bokach i wielbłądy, którym puste garby kiwały się na boki jak piersi starych kobiet. No i potem jeszcze my, dzieci. Kolejni członkowie tej zbieraniny. Wieczorem mama liczyła, czy kogoś nie brakuje, a jak brakowało taty, to cieszyłyśmy się wszystkie, razem z Gerle i Szarceceg. Tato miewał i dobre chwile, ale było ich tyle, co czarnych jagniąt. Na żadną z nich nie udało mi się trafić.

Stado rosło, my też rośliśmy, mama gotowała i robiła awantury, tato też się awanturował, czasami mamę bił, i pił.

Gerle odeszła, ledwie jej urosły piersi i mogła wyjść za męża.

Odeszła z Mongołem, którego imię wyleciało mi z pamięci. Czekałam, żeby po mnie przyszła, ale nigdy już jej nie zobaczyłam. Zrobiła, co mogła zrobić najlepszego. Pamiętam, jak mnie huśtała na kolanach i jak kiedyś uderzyła tatę, kiedy źle się odnosił do mamy. My, pozostałe dzieci, szeptaliśmy ze sobą i bawiliśmy się pod kocem. Kiedy mama z tatą zaczynali się bić, zawsze się tam zaszywaliśmy. Byliśmy złani potem pod tą wielbłądzą wełną i Onon po chwili zaczynał marudzić, że chce wyjść. Puszczalam go, dopiero kiedy już nic nie było słychać, ale do tej pory trzymałam go mocno między kolanami i żadne płacze nic mu nie pomogły.

Dolgorma mi zarzucała, że wyszłam za Tulega tylko dlatego, że lepiej było wyjść za niego, niż zostać w domu. Nigdy nie wyszłabym za niego tylko dla pieniędzy. Co prawda, miał duże stado, ale przede wszystkim już mi głowa pękała od tych wiecznych wrzasków w domu.

Jak mogliśmy się wzbogacić, kiedy mama dwa razy w miesiącu musiała kupować nowe czarki, a Onon ciągle do mnie przyłaził, żebym mu wyjmowała ze stóp okruchy skorup. Nie chciałam ciągle zajmować się bratem, ale mama traktowała go tak samo jak jagnięta - jak jeszcze jedno młode zwierzę, którego trzeba doglądać. Ononowi to nie wystarczało. Był Mongołem, nie młodym wielbłądem.

Miałam dosyć tego, że cały czas za mną łązi, ale przecież nie można ciągle opędzać się od własnego brata.

Tato powiedział, że będzie mamie robił dzieci do tej pory, aż da mu chłopca. Na szczęście nie trwało to zbyt długo, ale oprócz tego, że po porodzie tato bardzo się cieszył i stworzył sobie trzy butelki zamiast jednej, to niespecjalnie zajmował się Ononem. Bardzo szybko musiałam spać z nim w jednym łóżku. Parę razy niewiele brakowało, żebym go przydusiła. Ale kiedy chciałam

wepchnąć Onona mamie do łóżka, zakrywał sobie oczy dłońmi i wieszał mi się na szyi. Końmi nie dałoby się go odciągnąć.

Onon mieszkał ze mną i Tulegiem przez parę pierwszych miesięcy. Mój mąż jakoś go znosił, ale Onon nie zostawiał nas ani na chwilę samych, więc w końcu Tuleg go przegonił. Na jednej stacji benzynowej w sąsiednim somonie potrzebowali pracownika, Tuleg znał tam kogoś i załatwił mojemu bratu tę pracę. Po trzech tygodniach Onon przyszedł się pożegnać, mówił, że jedzie z Rosjanami gdzieś pod Krasnojarsk, i przywiózł nam całe mnóstwo pełnych kanistrów.

Potem przysłał Szarceceg kilka widokówek z różnych rosyjskich miast, a mnie dwa listy. W jednym pisał, że ma się dobrze, a w drugim było o jakimś wielkim mieście na brzegu zimnego morza i że wraca za rok, z kobietą. Chciałabym rkdys zobaczyć tę jego kobietę.

Porozłaziliśmy się z naszego geru jak karaluchy. Każdy poszedł swoją drogą i została mi tylko Szarceceg. Była z nas wszystkich najbystrzejsza. Kiedy razem z Gerle łapałyśmy owady i za nic nie mogłyśmy ich zamknąć w dłoni, przybiegała Szarceceg z miską, buch, i już któryś był nakryty. Kiedy zgubiła się nam wielbłądzica, a my przeszliśmy całą okolicę i nic, ona wzięła sznur i zaczęła nim dusić małego wielbłąda, dziecko tej starej, i dusiła go dotąd, aż jego wrzaski przywołały starą z powrotem.

W końcu nawet Mergena jej wybaczyłam. Ułanbatorski adres mojej siostry mogę z pamięci wyrecytować od tyłu. Wyśpiewam go nawet na łożu śmierci. Wiem, gdzie mogę znaleźć Szarceceg, a razem z nią i Mergena przesiadującego w jej kuchni. To mi wystarczy i za to jestem jej wdzięczna. Tylko nie zniosłabym, gdyby mieli dzieci. Ale w jej wieku już nic z tego.

Sprawa z Dzają to coś o wiele gorszego. Niech mi się step rozstąpi pod nogami i na wieki pochłonie w swoim wnętrzu moje bluźniercze myśli, ale tak właśnie jest. Jeśli już w ogóle ktokolwiek miał wtedy jechać na tym koniu, to właśnie Dzaja, a nie Magi.

Nie powiedziałam jej ani słowa, i chociaż minęło już tyle lat, nigdy nie będę mogła wybaczyć jej tak do końca. Niechby Uregma porwała Mergena w swoje ohydne szpony, ale Dzaja ma przecież swój rozum, a do tego jest moją córką. Gdybym wiedziała, że po to dźwigam swój ciężki brzuch, żeby potem taka podstępna dziewucha uwiodła mężczyznę własnej matce, wytłukłabym ją z łona kamieniami. Obraz matki i ojca mógł zblaknąć, ale to coś zawsze będę miała przed oczyma. Kiedy się znowu urodzę, te złe sny urodzą się w mojej głowie razem ze mną, wedrą się tam, nieważne, kim będę. Własnego dziecka nie można zapomnieć. I bólu z powodu jego zdrady.

Z dziećmi nigdy nie wiadomo, co z nich wyrośnie. Im jest ich więcej, tym mniejsze ryzyko. Mnie zostało jedno jedyne dziecko, ale za to takie, że mało kto może mówić o takim szczęściu. Tylko Ojuna mnie nie opuściła, i jeśli jutro zamknę oczy, to zostanie tutaj dobry kawałek mnie. Błogosławieństwo mojej starości. Moi bliscy. Ojuna i Tuleg.

Dla Tułega nie odeszłabym od żadnego mężczyzny. Ale wyciągnął mnie z geru, w którym garnki latały pomiędzy rozwrzeszczanymi dzieciakami jak kamulce, i nie spisał mnie na straty nawet wtedy, kiedy mało brakowało, a trzasnęłabym za sobą drzwiami. Teraz oboje jesteśmy starzy i potrzebujemy siebie nawzajem. Kto pobiegłby do Ojuny po pomoc, jeśli w gerze nie byłoby tego drugiego? Rozmawiamy o chorobach, a ja zbieram zioła według starych przepisów Dolgormy. Nasze stada oddaliśmy Najmie, a Tuleg z nudów na stare lata zajął się gotowaniem.

Razem siadamy do posiłków, potem myję czarki i w ciszy siedzimy przy piecu. Żadne z nas już nie sypia dobrze, w łóżku tylko grzejemy się bok przy boku i patrzymy w ciemność. Tuleg zaczął strasznie chrapać, i nawet jak usnę pierwsza, to budzi mnie ten jego chrapliwy oddech. Poklepię go wtedy po twarzy, on coś zamruczy, i jest spokój. Czasami zaglądają do nas wnuki. Mam dla nich przyszykowane cukierki w pudełku i zawsze od razu trochę ich wysypuję. Rozłamuję też arul na kostki i stawiam przed nimi w misce. Najwięcej mówi Cecegma. Zula tylko przytakuje, a Batdżar pogryza arul i prawie się nie odzywa.

Starzy ludzie to kłopot. Jak najszybciej pozbyć się tego ciężaru. Co do tego wszyscy się zgodzą. Kiedy byłam mała i jeszcze żyła moja babcia, musieliśmy do niej chodzić. Mieszkała niedaleko, więc chodziliśmy tam często. Przed gerem obie z Gerle zawsze porządnie nabrałyśmy powietrza i starałyśmy się jak najdłużej wytrzymać w środku z tym świeżym powietrzem w płucach. Do mnie Batdżar, Zula ani Cecegma nie muszą przychodzić. Dlatego widuję ich tak rzadko. Mają do mnie kawałeczek drogi, a jakbym mieszkała na końcu świata. Kiedy spytałam Ojunę, czy śmierdę, zaniemówiła. Dostają ode mnie tyle dobrych rad. Widocznie to za mało.

Wiem sporo i nie chcę tego wszystkiego zabrać ze sobą. Woreczek żółciowy ciągle daje mi się we znaki, a Ojuna narzeka na brak czasu. Komu mam to opowiadać?

Z Szarceceg można było rozmawiać o wszystkim. Kiedy byłam młoda i wszystkie dzieci miałam jeszcze przy sobie, przyjeżdżała do nas trochę pomóc. Teraz taka długa droga chyba wytrzęsłaby z niej duszę, Szarceceg nie była u nas ładnych parę lat i pewnie już jej nigdy nie zobaczę, ale jej słowa zalegają

mi w głowie jak czerwcowy śnieg na wierzchołkach Czerwonych Gór. Namawiała mnie wtedy, żebym z nią pojechała. To nie jest życie, mówiła. Kiedy przywiozła zdjęcia z Miasta i zobaczyłam mnóstwo ludzi ubranych inaczej niż my i wyniosłe betonowe ściany, podzielone oknami, w których jak w rzece odbijało się niebo, trochę się zastanawiałam. Ale wtedy była już w drodze Magi, a Tuleg nie chciał słyszeć o żadnej przeprowadzce.

Szarceceg coś w życiu osiągnęła. Była kierowniczką zmiany w kombinacie mięsnym i z jednej miesięcznej pensji mogła kupić sobie telewizor albo łóżko i radio, gdyby chciała. Mówiła, że konie Tulega są pięknie zbudowane i że w życiu nie jadła bardziej soczystego mięsa niż to z naszych krów. Daliśmy jej parę kawałków, żeby je pokazała w kombinacie, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Podobno mają swoich dostawców i innych nie potrzebują.

Kiedy rozmowa zeszła na Mergena, Szarceceg zawsze wzdychała i wbijała oczy w ziemię. Musi mieć z nim ciężko. Sama pamiętam, że zawsze rozglądał się za butelką, a żeby do domu przynieść jakiś pieniądz, to pies zdechł. Szarceceg oczy ma jak igły. Kiedy tak westchnie, zawsze jej wilgotnieją, i potem mówi, że to nie jest życie. Tak samo jak wtedy, kiedy mnie namawiała.

Powiedziałam jej, że nie musi trzymać u siebie Mergena tylko z mojego powodu, ale ona nie chciała słuchać.

Gdybym na nią nie naciskała, to nigdy nie dowiedziałabym się o Dzai i Mergenie. Nie chcę ci zepsuć takiego udanego churagu, powiedziała kiedyś przy kolacji, ledwie przyjechała. Dopiero następnego dnia rano poznałam całą historię. Zanim skończyła, niebo zdążyło pociemnieć i znowu zblednąć. Słowa ślizgały się tak samo jak jej dłonie. Jeździły po moich ramionach tam i z powrotem; tak samo później Chiroko uspokajała Narę.

Kiedy Chiroko pochyliła się nad kimś i rysowała mu rękoma na plecach swoje uzdrawiające wzory, to choroba była pokonana co najmniej w połowie. Naprawdę. Miała wielkie dłonie i ramiona owłosione jak mężczyzna. Przerastała wszystkich o głowę, a kiedy się odezwała, to jakby krowa ryczała z łbem w garnku. Piersi miała małe, ale klatki piersiowej starczyłoby na dwoje ludzi. Kiedy widziałam ją po raz pierwszy, miałam jakieś dwanaście lat. Do geru wpadła olbrzymia kobieta, a mama zbladła jak ściana.

Onon kopnął mnie pod stołem i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Gdyby powiedziała, że jest siostrą naszej mamy, moglibyśmy to wziąć za dobrą monetę, ale że to jest nasza siostra, w to nie mogliśmy uwierzyć. Chiroko podeszła do stołu, umoczyła palec w zupie, oblizwała go, a potem ponad stołem spojrzała na mamę. A mama, jakby wszystkie jej członki były uwiązane na

sznurkach trzymanyh przez tamtą w dłoni, podniosła się bez słowa i wyszła za Chiroko, która wycofała się z geru zwrócona twarzą w naszą stronę.

Jak dziewczyna, którą ktoś na czymś przyłapał. Szarceceg tak pomyślała, a potem pochyliła się w moją stronę nad czarką i powiedziała mi to szeptem.

Tatę mało co wyprowadzało z równowagi, więc i tym się nie przejął. Odepchnął pustą miskę, złapał butelkę i pomiędzy jednym łykiem a drugim dorzucał do pieca. Kończyła się jesień, mama stała na dworze tylko w cienkim domowym delu, a przez wojłokową ścianę naszego geru ciągnęło chłodem.

Już zasypiałam, kiedy zaskrzypiały drzwi, mama weszła na palcach i położyła się do łóżka. Onon dał mi kuksańca w bok i wydukał, że się boi. Odwróciłam się na drugi bok i od razu usnęłam.

Kiedy Chiroko przyszła do nas po raz drugi, akurat obierałam z mamą przed gerem ziemniaki. Gerle już parę miesięcy nie było, a Szarceceg biegała gdzieś z Ononem. Ziemniaki na obiad mieliśmy wtedy całkiem rozgotowane.

Czas się skurczył w skąpe zdania mamy, a ja czułam się nieswojo, że tak ni stąd, ni zowąd jakaś obca kobieta może stać się moją siostrą. Mama wypchnęła mnie przed siebie i powiedziała, że mam się przedstawić. Potem długo rozmawiała z Chiroko o pieniądzach, ja pobiegłam odstawić ziemniaki, a jak wróciłam, mama znowu siedziała w kucki, Chiroko zaś utykała pod delem jakieś zawiniątko. Jej czerwonym delem owinęłabym się co najmniej ze trzy razy. Miała gołą głowę, a buty podarte i pokryte kurzem tak jak mnisi. Kiedy przyszła Szarceceg, też musiała się z nią przywitać. Onona przy tym nie było, a mama powiedziała, że jest jeszcze za mały na nową siostrę i że na razie mamy mu nic nie mówić.

Po raz trzeci widziałam Chiroko w klasztorze. Mama wzięła mnie ze sobą, a potem zostawiła nas same.

Za czwartym razem Chiroko opowiedziała mi to, na co mamie zabrakło odwagi. Albo może tak się umówiły, ale o to już mamy nie zapytam, a jeśli nadal będzie mnie tak bolał woreczek żółciowy, to Chiroko też nie.

Do naszej mamy Chiroko zawsze mówiła Mira.

Kiedy Mira była młodą dziewczyną, długonogą i jeszcze z warkoczami, pewnego dnia Chajra, jej mama, zauważyła, że Mira jakby przytyła. Ponieważ nie jadła więcej niż inni, cały czas ją to nurtowało. Mira, najstarsza córka swoich rodziców, była w ciąży z chłopcem z somonowej szkoły i nie wiedziała o tym do tej pory, aż o jej brzuchu zaczęli rozmawiać wszyscy w gerze, a Chajra wzięła ją na bok i wszystko jej wytłumaczyła. Już nic nie można było zrobić, więc pewnego upalnego dnia ósmego miesiąca urodziła się Chiroko. Mira została wysłana do krewnych, a Chiroko wychowywała Chajra razem z

resztą swoich dzieci. Mirze nie wolno było do niej jeździć, więc całe lata nie widziała nikogo ze swojego geru. Potem znowu chodziła z brzuchem, ale krewni przycisnęli mojego tatę do muru, więc się pobrali i urodziła im się Gerle, potem ja i reszta rodzeństwa, w gerze, którzy sami sobie postavili.

Któregoś dnia Chiroko dowiedziała się, że kobieta, która ją co wieczór wysyłała po argal i uczyła wiązać węzły na gerze, nie jest jej mamą. Podeszła do niej, podrapała jej twarz pazurami i wybrała się na poszukiwania prawdziwej matki.

Chiroko mówiła, że po raz pierwszy przyszła jeszcze wcześniej niż wtedy, kiedy mama zbiegała jak ściana, a Onon tak się przestraszył. Jeszcze wówczas raczkował i płakał, kiedy mama zaczęła rozmawiać z Chiroko. W gerze nie było nikogo innego, więc wtedy została najdłużej. Mama podobno jej powiedziała, żeby brała nogi za pas, zanim tato wróci od stada, a potem po długich perswazjach przytuliła ją na chwilę do siebie.

Resztę historii znałam. W czasie kolejnych wizyt Chiroko nie chciała już się ukrywać, więc ją poznałam. Tato przez wódczaną mgłę nie widział własnych palców, ale że i tak prawie nigdy nie było go w domu, nie miało to znaczenia. Tylko jednego nie mogłam zrozumieć. Jak Chiroko udało się znaleźć mamę.

Kiedy widziałyśmy się po raz czwarty i opowiadała mi tę historię, zaraz ją o to zagadnęłam. Przecież nawet nie wiedziała, jak mama wygląda. I nikt z krewnych nie miał pojęcia, gdzie mama z tatą wypasają swoje stado.

Chiroko tylko się uśmiechnęła, podniosła brwi i chwyciła mnie za ramiona tymi swoimi wielkimi rękoma.

W jej uścisku czułam się jak ziarenko ryżu, które jednym ruchem mogłaby bez wysiłku podnieść aż pod chmury, a kiedy pomyślałam, jak błyskawicznie bym stamtąd spadała, zakręciło mi się w głowie. Nie bój się, powiedziała, a ja zaczęłam się wyrывać, żeby mnie puściła. Jej owłosione, silne ręce nie były przyjemne, ale to, co powiedziała, owszem. Nie jest źle, jak taka wielka siostra nagle spadnie człowiekowi z nieba.

Od tamtej pory odwiedzałam ją kilka razy w roku, dopóki była w klasztorze, a i potem, kiedy przeniosła się do Miasta, też. Zanim spotkałam Tulega, nie znałam żadnych innych tak mocnych objęć, którym można się oddać. Do tej pory nie rozumiem, jak znalazła mamę. Kiedy jej się wywinełam i jeszcze raz ją o to zapytałam, oparła ręce na biodrach jak bochczin, nadamowy zapaśnik, jakby miała zamiar powiedzieć: Chciałabyś wiedzieć, co? W kącikach ust drgał jej cichy uśmiech, ale w środku, jak mi się wydawało, rechotała na cały regulator. Głupia jesteś, głupia i jeszcze za mała.

W końcu Chiroko przyjeżdżała do mamy częściej niż my wszyscy. Każdy z nas się cieszył, że wyrwał się z domu. Nikomu nie należy się szacunek tylko dlatego, że jest stary, tak z upodobaniem mawiała Szarceceg. Mnie się takie gadanie nie podobało, ale i tak wychodziło na jedno. Moje dzieci prawie nie znały swojej babci Miry.

Przed Tulegiem wstydziłam się za nią i za tatę. Mamie szybko wypadły wszystkie zęby, więc obcy nie mogli zrozumieć, co mówi, a kiedy Tuleg pochylał się nad nią, żeby cokolwiek z tego uchwycić, bałam się, że opryska go śliną i najem się wstydu.

Tato, jak za młodu, tak samo i na stare lata, żłopał wódkę na potęgę, ale potem już był tak słaby, że mama musiała mu przytrzymywać butelkę. Przynajmniej przestał się awanturować. Ona zaczęła chodzić bez siniaków, a ja wtedy mogłam po raz pierwszy w życiu porozmawiać z tatą. Parę razy pogadaliśmy o tym, jak to było, kiedy był młody, a wszyscy na wsi bali się aut i patrzyli na nie, jak na żelazne niedźwiedzie, i jaka piękność była z mamy, kiedy jeszcze miała włosy i zęby. Potem tato umarł, a mama niedługo po nim.

Kiedy Chiroko skończyła z klasztorem, przeprowadziła się do ułanbatorskiego jurtowiska, którego białe wojłokowe kopuły rozbryzgują się wokół centrum miasta na wszystkie strony niby krople mleka.

Prawdziwego Miasta, gdzie domy stoją jeden koło drugiego, niemal tak ciasno, jak wyprostowane palce u ręki, a ludzi jest tam więcej na jednej ulicy, niż gdyby się wysypali ze wszystkich gerów, w których kiedykolwiek byłam, tego Miasta w środku nigdy nie widziałam.

Chiroko miała przytulny ger prawie na samym jego skraju. W zagrodzie wokół geru trzymała dziesięć kóz, żadnych owiec ani krów, tylko dwa chude konie. Moja najstarsza siostra była szanowana między ludźmi. Co prawda, kiedy odeszła z klasztoru, musiała zrzucić mnisi del, ale tajemne siły jej nie opuściły. Nie była nawet w połowie tak dumna jak Dolgorma, więc ludzie jej się nie bali, a szerokie ramiona Chiroko służyły do tego, żeby różni okoliczni nieszczęśnicy mogli się w nich wypłakać i znaleźć pocieszenie. Kiedy któraś z tych kobiet, które mieszkały same z dziećmi, potrzebowała pomocy przy jakiejś męskiej pracy, też przychodziła do Chiroko.

Chiroko na plecach przenosiła byki, umiała sama bez niczyjej pomocy postawić ger, jej gojące ręce i uzdrawiające zaklęcia służyły każdemu, kto był w potrzebie. Ludzie przynosili jej za to wódkę, słodczyce, najlepsze kawałki młodej baraniny, wilcze skóry, kaszmir i inne rzeczy. A ona nie musiała robić nic innego i żyła sobie dobrze w swoim małym sześciobocznym gerze.

Ale najbardziej lubiła małe dzieci i zwierzęta. Kiedy jakaś kobieta wciskała jej do pilnowania maluchy, rzadko odmawiała. Potrafiła nosić na plecach czwórkę albo i piątkę małych dzieci naraz, rżała jak prawdziwa kobyła, a od płotu jej chaszy dobiegało walenie dziesiątków dziecięcych piąstek, które chciały też. Chiroko miała dla nich pełne kieszenie cukierków, a jak któreś przyszło z domu zaryczane, to gotowała mu herbatkę na uspokojenie i pozwalała u siebie spać.

Oprócz maluchów najbliższy Chiroko był Saral, srebrzystoszary koń, którego wyrwała jednemu nudelczinowi spod noża, zanim zdążył go załatwić. Saral urodził się z kiepskimi nogami. Były koślawe, i na grzbiecie ledwo mógł unieść dziecko. Pod ciężarem dorosłego cały się ugiął i padał, a gdyby spróbowała go dosiąść wielka Chiroko, byłby z nim koniec. Sarala pamiętam od czasu, kiedy Chiroko zamieszkała w Mieście. Aż do swoich ostatnich dni wyglądał jak żrebak. Mały, chudy, bojaźliwy koń. Chiroko też miała w sobie coś z wiecznego dziecka.

Nigdy nie stała się kobietą. Miała długie, kościste nogi, jakie miewają podlotki, i nigdy nie interesowali jej mężczyźni. Jako jedna z nielicznych obcinała sobie włosy na krótko i stercząco, tak że od tyłu nikt by jej nie wziął za kobietę.

Przez jej ger przewinęło się mnóstwo bezdomnych, którzy zostawali na dwie, trzy noce, a potem ogrzani i nakarmieni odchodzili swoją drogą. Niektórzy z nich wracali, inni nie, a sława Chiroko rosła. Po paru latach była znana w całym jurtowisku ze swoich zdolności leczniczych, a razem z rozgłosem szerzyły się i oszczerstwa. Nikt jej nigdy nie widział z mężczyzną, to zaś wystarcza, żeby było o czym mówić. Nigdy nie zapomnę niektórych osób, które się u niej pojawiały. Chłopaka z gumowymi rękoma, który umiał jednocześnie jedną nogą pisać, a drugą drapać się po plecach. Podobno uciekł z ruskiego cyrku, był erlicem, pewnie bękartem jakiejś baletnicy. Przychodził każdego roku pod koniec zimy, żeby dojść do siebie po długich mroźnych miesiącach, które przeżył o wodzie i chrząstkach podkradanych psom. Albo innego - zielonookiego dragala, który chodził po jurtowisku i za byle ochłap pomagał każdemu, kto tego potrzebował. Nikt lepiej od niego nie schodził ułanbatorskiego jurtowiska. Znał wszystkich i zawsze znosił Chiroko nowe plotki, które ludzie przez ten rok o niej powymyślali. Zostawał przez pięć, sześć dni i zawsze naściagał Chiroko tyle argalu, że znowu na długo miała spokój. Siostra go lubiła, bo świetnie umiał wyczuć, że już na niego czas, pakował się po cichu i nie napraszał się, żeby pozwoliła mu zostać.

Przez to właśnie z Narą od razu się ścięły. Kiedy stało się to nieszczęście z Dżargalem i nikt nie wiedział, co z Narą zrobić, stwierdziłam, że parę miesięcy u Chiroko mogłoby ją z tego wyciągnąć. Chiroko nic nie miała przeciwko temu, zjawiała się u nas i wszystkie trzy pojechałyśmy do niej.

Po drodze Nara się opierała, trzymałyśmy ją pomiędzy sobą, bo w każdej chwili mogła zawrócić konia i pognać do swojego ukochanego. Parę razy spróbowała, ale Chiroko wzięła ją na słowo, a potem Nara jechała już w milczeniu tam, gdzie ją prowadziłyśmy. Wydawało mi się, że one dwie mogłyby się jakoś dogadać, ale było tak tylko do czasu, kiedy Nara zrozumiała, jak to jest u Chiroko.

Na parę dni zostawiłyśmy ją w spokoju, tylko pilnowałyśmy, żeby nie dała nogi, a Chiroko wylaziła ze skóry, żeby być dla niej miła, uśmiechała się i zносиła jej różne smakołyki. Klótnie jednak nie dały na siebie długo czekać. Nara bardzo szybko zaczęła sobie za dużo pozwalać, a jak się odezwała, to zawsze wyskoczyła z czymś nieprzyjemnym. Dla mnie Chiroko była człowiekiem życzliwym ludziom, gotowym oddać im ostatnią koszulę, dla niej była samolubną i bezwzględną wiedźmą. Ja widziałam, jak przejmują się tymi wszystkimi maluchami, które z każdym głupstwem przybiegały do niej, a nie do swoich w gerze, Nara natomiast nie mogła znieść, że Chiroko cieszyła się, kiedy kolejny nieborak wreszcie się wyniósł i trzasnęły za nim drzwi. Nie jestem przytułkiem dla biednych uciekinierów, mówiła, a Nara o mało nie pękła ze złości.

Trzeba przyznać, że na swojego Sarala chuchała i dmuchała, a ten, kto by o nim powiedział złe słowo albo go klepnął po karku, tak jak to się robi z rozbrykanymi końmi, dostałby za swoje.

Taki pechowiec od razu popadał w niełaskę i sama widziałam, jak kiedyś Chiroko przegnała na cztery wiatry jednego biedaka, ledwie zanurzył łyżkę w ciepłej zupie, bo kopnął Sarala, który mu grzebał w tobołku. Ale też prawda, że kto zasiedział się dłużej, niż się widziało Chiroko, mógł usłyszeć rzeczy, które nigdy nie spadłyby na koński łeb Sarala. Chiroko potrafiła też krzyknąć, chociaż zazwyczaj wystarczało kilka chmurnych spojrzeń, żeby biedak zrozumiał, że ma się natychmiast wynieść, jeśli kiedykolwiek chciałby przyjść tu znowu.

Chiroko miała swoje humory, i wtedy lepiej było zejść jej z drogi. Całymi dniami mogła skakać koło innych, aż nagle jakby coś się w niej zmroczyło, nie chciała nikogo widzieć, a jak ktoś zapukał do chaszy, krzyczała z geru, że nie ma jej w domu. Kiedy widziała to Nara, zaraz szła otworzyć i od razu była awantura.

Nara powinna być wdzięczna, że Chiroko wzięła ją do siebie, ale zamiast tego ciągle ją pouczała i pozwalala zostawać w gerze dzieciakom, które już po paru dniach działały siostrze na nerwy. Tak się użerały ze sobą przez cały czas, a potem ja wyjechałam, bo w Czerwonych Górach czekał na mnie nie tylko Tuleg z Ojuną i Dzają, ale też zwierzęta i zaniedbany ger.

Jak w domu nie ma kobiety, to chłop w ogóle o sobie nie dba, a od tego spustoszenia w gerze jeżyły mi się ze zgrozy włosy na głowie.

Musiałam zostawić Narę jej losowi, więc resztę znam tylko z opowiadań Chiroko. Nawet nie miałam okazji, żeby porządnie z Narą porozmawiać. Właściwie widziałam się z nią tylko raz. Na weselu Ojuna. Ojuna się uparła, że mam po nią pojechać, bo bez siostry nie wyjdzie za męża, więc przywiozłam ją na kilka szybkich, wypełnionych radością i jedzeniem dni. Od tej pory nic o niej nie wiem. Już nie mieszka u Chiroko, a jedyną inną osobą, którą znam w Mieście, jest Szarceceg, która też nic nie wie. Kiedy przed laty zapytałam ją przypadkiem o Narę, zaśmiała się i powiedziała, że jeśli wydaje mi się, że Miasto jest takie małe, to nie chciałabym usłyszeć, co sobie o mnie myśli. Ja wiem, co myśli: wieśniaczka z dziury zabitej dechami, ale wcale mi to nie przeszkadza, kiedy tak mówi ona. Sama też się śmiałam. Nie każdy potrafi śmiać się z siebie.

Żeby tylko ten bolący brzuch trochę się uspokoił. Wtedy Chiroko rzuciła na niego okiem, ostukała mnie palcami koło pępka i po bokach, słuchała, jak mi w nim burczy, i mówiła, że jest twardy i ma dziwny dźwięk. Potem ugniatała mi łydki i musiałam przez trzy dni nosić na szyi chusteczkę namoczoną w ziołowej zupie.

Ale nie wygląda na to, żeby to coś pomogło.

Stara Dolgorma, kiedy już było z kimś źle, mówiła mu to od razu i nie zawracała sobie ani choremu głowy leczeniem, które i tak nie miało sensu. Ale Chiroko każdemu coś daje. Mnóstwo tych, którzy do niej przychodzą, i tak umrze, ale niektórzy wyzdrowieją, i o tych siostra mówi innym.

Chiroko opowiadała, że jak wyjechałam, z Narą coraz trudniej było wytrzymać. Ona sobie wyobrażała, że będzie pocieszać nieszczęśliwą, zalewającą się łzami siostrzenicę, przygotowała wszystkie zioła i samą siebie też, a Nara była jak smoczyca. Siostra wyrzuciła psa, który ciągle szczekał, kozom zrobiła zagródkę, żeby nie meczały po całej chaszy, wysprzątała ger i kupiła worki z mąką i bielutkim ryżem, byleby tylko Nara nie musiała się o nic martwić i nie miała żadnych problemów. A ona, zamiast być wdzięczna, zaczęła się wtrącać do jej życia, i rzeczy, które nie należały do niej, traktowała jak własne. Dla kobiety, która od najmłodszych lat stała na własnych nogach i

do wszystkiego doszła bez żadnej pomocy, coś takiego jest obelgą. Nara ledwie skończyła dwadzieścia lat, i do tej pory zawsze staliśmy za nią my z Tulegiem.

To jest normalne i tak powinna być traktowana każda córka, ja wiem, że nie mam żadnych specjalnych zasług, i przyszło mi do głowy, że może w tym wszystkim, co stało się z Dżargalem, tkwił gdzieś i mój błąd, bo przecież dobrze wychowana dziewczyna nie będzie mężczyzny całować po rękach, ale mimo wszystko powinna była sobie uświadomić, że u Chiroko ma dobrze i że starszych i bardziej doświadczonych nie wypada pouczać. Gdyby Nara nie była jej siostrzenicą, Chiroko nie robiłaby z nią takich ceregieli, wytrzymała jednak kilka miesięcy, a i tak w końcu to Nara trzasnęła drzwiami i odeszła.

Chiroko mówiła, że Nara nas wszystkich wodziła za nos. I że nigdy przedtem jej się nie zdarzyło, żeby takiej gry tak długo nie przejrzeć. Kiedy zobaczyła Narę po raz pierwszy w Czerwonych Górach, w jej oczach pojawiło się takie samo przerażenie, w jakim żyliśmy my.

Ale dlaczego to robiła? Dlaczego nas tak zwodziła?

Szczęście, które z niej promieniowało, kiedy Dżargal skinął głową, że się z nią ożeni, było prawdziwe, ja znam swoją córkę, wiem, jak wygląda, kiedy jest w siódmym niebie, a i jej smutki nie są udawane.

Ale Chiroko obstaje przy swoim. Zirytowałam się, kiedy powiedziała, że Nara tylko chciała się dostać do Miasta. Przecież nie mogła wiedzieć, że wyląduje u Chiroko. Nara miała wszystko zaplanowane, powiedziała mi Chiroko, kiedy moja córka zapadła się pod ziemię. Przyjechałam do niej w odwiedziny, a w chaszy u Chiroko był akurat ten chłopak z gumowymi rękami i razem z tym, który znał wszystkich, napychał się wielkimi kawałami gotowanego mięsa, które im przyszykowała Chiroko. Ona w tym czasie głaskała w kącik Sarala, a jak mnie zobaczyła, zmarszczyła czoło.

Nie ma jej tutaj, rzuciła po chwili i uśmiechnęła się porozumiewawczo, jakby Narze wyszedł świetny żart i wszystko to było zaledwie śmieszne i nic więcej. Ja przecież jechałam setki kilometrów, żeby zobaczyć, czy mojej córce w końcu rozkwitła buzia, a tu po Narze ani śladu, za to Chiroko siedzi sobie przy koniu jakby nigdy nic.

Tego dnia po raz pierwszy rozstałyśmy się w gniewie, rozeźlone, i każda przekonana o własnej niewinności. Myślałam, że Chiroko za Narę odpowiada. Ona z kolei nic nie mogła poradzić na to, że ja tak źle wychowałam własną córkę. Wysypałam prezenty na stół, wlałam w siebie dwie filiżanki zimnej herbaty i poszłam na poszukiwania kogoś, kto jechałby w kierunku naszego somonu.

Nigdy bym nie uwierzyła, że o mojej córce będzie mi opowiadać wnuczka. Dopiero musiała się urodzić Dolgorma, żebym dowiedziała się czegoś o Narze. Kiedy Dolgorma przyjechała do nas na wakacje, odzywała się tylko wtedy, kiedy rozmowę zaczął ktoś z nas. O Miasto nikt jej nie wypytywał, a o tym, co robi jej mama, nie miała pojęcia, tak samo jak my, to wyszło na jaw już w pierwszych dniach.

Rzecz jasna, u nas Dolgorma musiała siedzieć cicho, więc przeważnie słuchała, i tylko czasem udało jej się coś nieśmiało wtrącić, kiedy mowa była o Mieście, a ona chciała przed nami zabłysnąć.

Któregoś wieczoru, kiedy wszystko już było obgadane i tylko siedzieliśmy w ciszy koło pieca, twarze nam błyszczały od tłuszczu i gorąca, ktoś z nas zaczął o Narze. Zdaje się, że to była Ojuna. Dolgorma od razu wystrzeżiła. Nie miała jeszcze dziesięciu lat, a mówiła o delikatnych włosach koloru sosnowego drewna, długich rzęsach, które robią wiatr, aromatycznej mgiełce po jej papierosach i o takiej bluzce, że jak nią potrzeć twarz, to włosy sterczą na wszystkie strony jak jakiejś cudaczce.

Niektórzy z nas zapomnieli zamknąć usta ze zdziwienia, a innym opadła szczęka, jak starcom.

Długo przedtem ani potem nie było takiego napięcia w gerze, jakby drapieżnik czał się do skoku, jakby tarbagan spręzał się do ucieczki. Dolgorma mówiła o Narze długo i z pełnym podziwu uznaniem, ale ja w tej pachnącej mieszkance Miasta nie poznawałam swojej córki. Z im większym przejęciem moja wnuczka opowiadała, tym bardziej powietrze w gerze robiło się ciężkie i przygniatało mnie słowami ze wszystkich stron.

Dla tej eleganckiej damulki przez długie lata nie byliśmy warci jednego słowa, jednego znaku życia, a w oczach tego dzieciaka była Bóg wie czym. Odetchnęłam z ulgą, że w końcu ma się dobrze, ale jako córka przestała dla mnie istnieć.

Mama opowiadała mi o swoim bracie, którego rodzina wydziedziczyła. Zaparł się taty. Przed żołnierzami. Dzięki temu przeżył. Mojej babci do śmierci nie mógł pokazać się na oczy. Nara nie zrobiła nic złego, tylko wyrzuciła nas ze swojej głowy, a ja życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie chcę jej już widzieć.

Kiedy potem przyjechała Dzaja, poczekałam, aż wszyscy wyjdą, i wtedy ją zapytałam. Jako matka, a także jako matka jej siostry. Dzieci mają bujną fantazję, ucięła, ledwie zdążyłam zacząć. Rozmawiałyśmy, dopóki nie przyszedł Najmą z wiązką tarbaganów. Przybiegła Ojuna, żeby zabrać się do ściągania z nich skóry, więc musiałyśmy przerwać.

Nara pracuje w jakiejś porządnej firmie, zarabia przyzwoite pieniądze, często o mnie mówi, ale boi się przyjechać przez tę swoją ucieczkę. To wszystko, co o niej wiem. Nie ma męża ani dzieci, a z Dzają czasem spotykają się na pogaduszki. Dobre i to, przynajmniej one dwie się sobie nie zgubiły, odkąd pamiętam, zawsze trzymały się razem.

Dzaja przyjeżdża z Miasta raz na jakiś czas, a Dolgormę mamy tu co roku w wakacje. Mnie się wydaje, że każde lato będzie już moim ostatnim, więc zawsze bardzo się cieszę, jak przyjedzie, bo nie wiadomo, czy wytrzymam do następnego roku. Woreczek odzywa się coraz częściej. Tuleg nie pozwala mi jeść tłustych rzeczy. Ale jeżeli z moich dni nie miałabym mieć żadnej pociechy, to już wolałabym od razu wyzionąć ducha. Bez żalu. Tylko tak się męczyć przez doktorów, co to, to nie. Jerrj to, na co mam ochotę. Nikt nie będzie mi niczego narzucał.

W te wakacje Dolgorma mieszkała w naszym gerze. Sama jej zaproponowałam, że nie musi się gnieść u Ojuny. Ani Cecegma, ani Zula, ani Batdżar jak na razie nie zamierzają pójść na swoje, więc u nich w gerze nie ma gdzie palca wcisnąć. U nas było Dolgormie dobrze. Miała mnie tylko dla siebie. W tym czasie Tuleg potrzebował już tylko spokoju, tytoniu i dużo herbaty z mlekiem, a przy mnie miał tego wszystkiego pod dostatkiem. Wtedy już nie dało się z nim normalnie rozmawiać, a ja sobie myślę, że młody ludzki głos jest bezcenny. W dodatku jeszcze słabuję na nogi. Przed kilku laty mi spuchły. Zamiast stóp mam teraz grube poduchy. Przez to chodzę niepewnie i chwiejnie, a Dolgorma tego ostatniego lata, kiedy tu była, dużo mi pomogła. Wystarczyło powiedzieć co i jak, i nie musiałam się ruszać. Nogi wyżej i jakieś proste szycie do ręki, do tego się nadaję. Trochę sprzątać i gotować jeszcze mogę, ale jak kto ma sprawne nogi, to uwinie się z tym dwa razy szybciej, więc co się da, staram się zostawić młodym. Kiedy już się przyzwyczaiłam do tych jej dwóch lewych miejskich rączek i przestałam ją poganiać, a ona dała sobie spokój z głupimi uwagami, zanosilo się na to, że będzie dobrze. Nawet pogodziła się z tym, że nie życzę sobie w gerze żadnych nowinek.

Dzaja z miasta przywiozła latarkę, i to mi starczyło. Żeby z ciemności zrobił się dzień, kiedy czasem o północy poczuję się słabo i muszę wyjść na dwór łyknąć świeżego powietrza - czemu nie. Ale żeby przez to ktoś się ze mnie śmiał, to już wolę po ciemku zaczepić o próg i zwalić się w trawę. Człowiek musi mieć szacunek, a te nowe zabawki mi go odbierają. Dolgormie od razu to powiedziałam. Rzuciłam jej na łóżko stary del i buty ze sznurowadłami ze skóry jaka, żeby mi tu nie łąziła po miejsku, a jej osłupiały wzrok zgromiłam

swoim. Najważniejsze, żeby zawsze wynaleźć dziewczynie jakąś robotę, to nie będzie miała czasu na głupoty. Ja jej dam lekceważyć siwą starość.

Chciałam, żeby było nam razem dobrze, więc jeszcze zanim przyjechała, nagotowałam gar koziej zupy i ogrzałam nad parą tyle budzów, ile takie młode ciało może potrzebować. Ubrałam Tulega w coś lepszego i kupiłam od Dordża woreczek tytoniu, żeby się czymś zajął i nie męczył Dolgormy swoim marudzeniem. I za to wszystko czarna niewdzięczność. Naprawdę bardzo się starałam. I jeszcze ten ciężar więzów rodzinnych, po to są przecież stare kobiety. Nie mam znowu tak wiele wnucząt. Ale ona przez całe te dwa miesiące miała zaciętą minę i pełne gorczy spojrzenie rozzłoszczonego dziecka.

Mówiłam o tym, że młode, głupie dziewczyny łatwo się obrażają, mówiłam o Dzai, która stroiła ją jak małą chatankę, ale nie potrafiła zdobyć sobie porządnego mężczyzny, mówiłam o krótkich spódnicach, przez które nabawi się kataru, mówiłam, jak ma wyglądać życie przyzwoitej dziewczyny i że tylko ono daje owoce soczyste i pełne pestek - dzieci, które znają swojego tatę. Mówiłam o szczęściu, a Dolgorma nie chciała tego słuchać. Jakby zatkała sobie uszy sosnowymi kołkami. Wszystko jak groch o ścianę. Dziewczyna, która nie ma wychowania. Ale ja się nie zrażałam. Wyciągnęłam z pudełka opaskę na czoło mojej mamy i mówiłam o kobietach, które nie umiały zadbać o to, żeby na starość nie zostały same, opowiadałam o zimowych wieczorach, które zachęcają, żeby wskoczyć komuś pod koc, tak samo jak młodzi chłopcy-pędziwiatry, i o tym, że kobieta zawsze musi stać mocno na nogach, i opowiadałam jeszcze, że jak ma przyjść na świat dziecko, to trzeba przytulić się pod kocem do mężczyzny i dotykać go między udami. O tym też mówiłam, nie jestem wstydliva baba i wiem, co mówię. Chciałam być jej dziuplą w dobrym drzewie, której może ze wszystkiego się zwierzyć, chciałam, żeby wszystkie moje rady ktoś usłyszał. I nic. Dolgorma wodziła oczyma w górę i w dół po ścianach geru, a Tuleg kręcił papierosy i układał je w rzędki. Jeden obok drugiego, żeby miał gotowe na jutro. Rząd jasnych rurek wydłużał się jak biegnące w dal bielone podkłady Bajkalsko-Amurskiej Magistrali Kolejowej, a z nim moja gorliwość. Niewiele brakowało, a powiedziałabym jej wszystko. Nawet to, że Bajkalsko-Amurską Magistralę Kolejową znam tylko ze zdjęć i że wcale tego nie żałuję. Ale kiedy spojrzałam na Dolgormę, już spała.

Nie tak łatwo mnie zrazić. Przez moje słowa przemawiają lata przeżyte z kozami, zimowe wieczory bez argalu, dziesiątki cerowanych delów i tysiące przyzwoitych łożowych zup. A ona co?

Następnego lata powtórzę jej to wszystko jeszcze raz.

Cecegma i Zula też nie są za bardzo udane. Batdżar może sobie wybrzydzać, jest mężczyzną, ale dziewczęta nie powinny kręcić nosem. A przecież z Ojuną nie było żadnych kłopotów. Córki, widać, piją mleko z innych garnków niż ich matki. Kiedy były małe, ciągnęło je do mnie jak mrówki do cukru. Przychodziły na cukierki. Miałam ich zawsze pełne kieszenie. Teraz, kiedy przyjdą, a nie zdarza się to często, wysypuję cukierki do miski. Bębnią jak grad o blachę, ale dziewczynki ich nie chcą. Nie wiem, czym je skusić. Martwię się, że ciągle tu tkwią, że jeszcze ich nie zabrali ze sobą jacyś mężczyźni. Ja w ich wieku już kołysałam Magi, a one wciąż siedzą Ojunie na głowie. Żebyśmy nie mieli z tego wstydu.

Ojuna i Najmą są czystej krwi. Żadni erlice. Ariuna nigdy nie wyrwała się od męża, Cowo dobrze jej pilnował, a Ojuna jest na pewno Tulega. Niesplamiony rodowód.

Małe Zula i Cecegma były pulchniutkie, słodkie, nic tylko jeść je łyżkami, jak wszystkie inne dzieci. Ale jak rosły, leciały z pieca na łeb. Żadne z nich piękności. Zula jest o dwa lata starsza i ma nos jak czerwony mandżin. Budź zamiast nosa, mówi Tuleg, a ucho jak plaster suszonego jabłka. Kiedy się urodziła, Ojuna mówiła, że będzie jej tam zaczesywać włoski, ale takiego skręconego ucha nie da się zakryć włosami. Cerę ma porowatą niczym zleżale ciasto, a drugie ucho podługowate jak u Burchana. Ale biodra ma wielkie i piersi też. Właściwie to dziwne, że jeszcze żaden jej nie wypatrzył.

Mężczyźni są wymagający.

Cecegma jest do niej podobna jak dwie krople wody. Uszy ma jak trzeba, ale ręce i nogi cienkie niby jałowa koza. I głos ma meczący, a serce niepokorne. Choń! Choń! tak na nią wołały maluchy w chuchdijn cecerlegu, kiedy przyjeżdżałam, żeby ją odebrać.

Musiałam im to powiedzieć. Gdyby nie były takie narwane, wystarczyło tylko sięgnąć i wziąć, co swoje, i już by ich nie było w domu. Ci mężczyźni nie byli źli, ani jeden z nich. Czojlin był, co prawda, trochę fajtłapowaty, ale dla Cecegmy zrobiłby wszystko. Jego rodzina miała dom w somonowym centrum, a tatę Czojlina znałam, jeszcze jak był mały. Dziewczyny zabijały się za nim. Dawanjam pracował w fabryce kaszmiru. Na kaszmir zawsze jest popyt, więc dziewczyna miałaby pewność, że nigdy nie będzie im się żyło źle. Wszyscy razem chodzili do jednej klasy w mieście, a potem czasem do nas przyjeżdżali. Całkiem do rzeczy mężczyźni. To było parę lat temu.

Przyjechali obaj, wystrojeni jak nojonowie na kurułtaj, a dziewczyny nawet im nie zrobiły herbaty. Uciekły jak małe dzieci. Siedzieliśmy wszyscy w gerze Ojuny i czekali aż do wieczora. Ojuna skakała koło gości całe popołudnie,

potem wysłała Batdżara, żeby się rozejrzał za Zulą i Cecegma. Gościom powiedziała, że poszły na borówki, i plotła coś piąte przez dziesiąte. Kiedy słoneczny krąg zaszedł za góry, Dawanjam i Czojlin wiedzieli już o naszej rodzinie wszystko aż do piątego pokolenia.

Spotkali je po drodze do domu. Mam kiepskie oczy, ale te cztery młode sylwetki widać było i stąd. Małe jak patyczki. Czojlin wyciągnął ręce do Cecegmy. Wstrzymałam oddech. Cecegma złapała Zulę za rękę i obie rzuciły się do ucieczki. Zatrzymały się zdyszane przed gerem i zaczęły głośno chichotać. Dwaj wystrojeni mężczyźni spięli konie, i tyle ich było widać.

Żeby wam wyrosły końskie zęby, powiedziałam im potem. I jeszcze, że własnymi rękoma kopią dla siebie dół, z którego nikt ich nie będzie wyciągał. Stare panny, krzyczałam za nimi, kiedy wychodziły.

Słowo Ojuna w jej gerze niewiele znaczy. Najmy tak samo. Byłam przy tym, kiedy Batdżar nie odezwał się słowem, chociaż Najmą go o coś pytał. Dalej sobie zapinał del, jakby tato był parszywym psem. Ale jeśli chodzi o Ojunę, to mogę mieć pewność przynajmniej co do jednej rzeczy. Nie puści dziewcząt do Miasta. Choćby nawet stawaly na głowie. Złoszczą się, że niby jak mamy kogoś poznać, kiedy jedyni mężczyźni, na których możemy się natknąć, to tato i Batdżar, jak już wieczorem wrócą od stada.

Same odeгнаłyście szczęście, które wam spadło do nóg, mówię. Módlcie się i łapcie za del pierwszego, który się tutaj pokaże. W końcu mężczyźni tak bardzo się od siebie nie różnią.

Parę dni temu Ojuna mi powiedziała, że w somonowym sklepie spotkała Czojlina. Stała nrzed nim kobieta, a na rękę trzymała zawiniątko z niemowlęciem. Cecegma w porównaniu z nią to istna carajtan, piękność w chatańskiej koronie. Jak ich kiedyś zobaczy, zwilgotnieją jej oczy.

Batdżar już ma jakie takie doświadczenia. Ojuna znalazła w jego delu pukiel granatowoczarnych włosów, przewiązanych wstążką. Bardzo ją to poruszyło, ale nie chciała pytać. Więc ja do niego poszłam. Kiedy mówiłam, uśmiechał się, a potem pogłaskał mnie po ramionach. Ze zrobił sobie z włosów jaka talizman na szczęście.

Niekiedy tak samo myślę o Dzai - czy czasem czegoś nie ukrywa. O Mieście nie chce mówić, a kiedy już zacznie, jej słowa brzmią jakoś fałszywie, chrzęszczą niczym korale w drewnianej skrzynce. Jakby chciała jak najszybciej odtrajkotać śpiewkę, która dotyczy życia kogoś zupełnie innego.

Najważniejsze, że jest zadowolona. Nigdy się nie skarży, w końcu to dorosła kobieta, więc niech milczy, jeśli nie ma się czym pochwalić. Nara na pewno

wie wszystko. Mnie też były nie w smak przesłuchania mojej matki i zwierzałam się tylko Szarceceg. Tak to jest.

Chciałabym jeszcze kiedyś zobaczyć Żółty Kwiat. Ona stanowi dowód na to, że nie każdy w Mieście musi źle skończyć. Szarceceg jest cały czas taka sama. Jak długo ją znam, a to już więcej niż sześćdziesiąt zim. Zawsze mi pomagała. Już samo to, że uważnie mnie słuchała, za każdym razem przynosiło mi ulgę. Choćby wtedy, jak dziewczynki były małe. To było, jeszcze zanim stało się to nieszczęście z Magi. Zauważyłam, że Ojuna ma na skórze wokół kostek takie niebieskawe pręgi. Powiedziała, że Dzaja i Nara czasami ją wiążą, tak dla żartów. Sprałam obie dziewczyny jak konie, ale po jakimś czasie znowu zobaczyłam u Ojuny sine pręgi, a ona opowiedziała mi jeszcze inne rzeczy. Dzaja z Narą miały mnóstwo pomysłów.

Swoich dzieci nie kocham wszystkich jednakowo i przez to czuję się winna. Najdroższa mi była Ojuna, a małe zawsze to poznają, tak samo jak zwierzęta potrafią wyczuć ludzki strach. Wiem o tym, ale czy można coś nakazać swojemu sercu? Teraz każda z nich ma własne życie, ale przedtem spędzało mi to sen z powiek. Szarceceg powiedziała, że tak samo jest z innymi kobietami i żebym sobie przypomniła choćby naszą mamę i Chiroko. Tak, pamiętałam, jak mama stała w rozkroku przed gerem i nie pozwalała Chiroko wejść do środka, a my, dzieci, też chciałyśmy, żeby sobie poszła. Jestem dużo lepsza niż mama. Wszystkie moje dzieci zawsze mogą do mnie przyjść i wszystko zawsze dzieliłam między nie po równo. Żadne nie dostawało większych porcji, żadnemu nie było wolno dokuczać innemu, żadnemu nigdy nie powiedziałam: Ciebie kocham, a ciebie nie.

Kiedy Żółty Kwiat zaproponowała Dzai, żeby przyjechała do niej do Miasta, na początku byłam przeciwna. Inaczej to sobie wyobrażałam. Nie chciałam, żeby moje dziewczęta rozproszyły się jak ja, Gerle, Szarceceg i Onon. Żółty Kwiat powiedziała: Będzie przekonana, że jej źle życzysz. Nie było po mojej myśli, żeby ją puścić, ale to do mnie przemówiło. Przede wszystkim niech wie, że chcę dla niej dobra.

Później Ojuna mi to wypominała, ale tego nie mogę jej wytłumaczyć.

Żółty Kwiat najbardziej mi pomogła, kiedy odeszła od nas Magi. Tuleg myślał tylko o wódce, i wszystko było na mojej głowie. Nie dawałam sobie rady, a Żółty Kwiat sama zaproponowała, że mi pomoże. Wszystkie dziewczyny za nią przepadały. Co powiedziała, to święte. Nawet moje wieczorne opowieści przy historiach Żółtego Kwiatu bladły jak skundlony wilk obok banchara i były niby zimowa czapka w gorące lato, a dziewczynki chciały słuchać tylko jej. A najbardziej ze wszystkich Dzaja.

Wtedy wciąż miałam nadzieję, że Szarceceg urodzi choćby jedno dziecko. Już nie była najmłodsza, ale jeszcze dałaby radę. Kiedy patrzyłam, jak dobrze się dogaduje z dziećmiakami, modliłam się za nią. Dla kobiety nie ma większej klęski. Nie ma na świecie okrutniejszej kary. A Szarceceg nie zasłużyła sobie na to.

Narze przydarzyło się to samo.

Kobieta bez dziecka jest jak drzewo bez owoców. Samotna, choćby i sama, ale do niczego. Takich drzew można w stepie znaleźć mnóstwo. Wyrastają z rozpadlin skalnych, uginają się, jak zawieje wiatr, ale jak rok długi, żadna pszczoła do nich nie przyleci. Takie drzewa mnie przerażają, przerażają mnie bezdzietne kobiety.

Znam ich kilka. Anra, koleżanka Nary z czasów, kiedy uczyła w mieście, jest jedną z nich. Ulanceceg, jej mama, którą złośliwi ludzie nazywają Uregmą, co ona się z nią nachodziła po doktorach! Obeszła z córką wszystkich szamanów w naszej okolicy, i nic. Anra ma dobrego męża, ale jeśli nie jest głupi, to prędzej czy później znajdzie sobie inną.

Każdy chce mieć dziecko.

Anrze już dawno stuknęła czterdziestka. Inne kołyszą wnuki, a ona ciągle czeka na swoje dziecko. Kiedy spotkałam ją przed kilku laty w somonowym sklepie, nie mówiła o niczym innym. Teraz jest tak samo. Ojuna była u niej z kumysem, potem mi opowiadała. Jak jej powiedzieć, że dość się naczekała i że nigdy już nie będzie inaczej?

Kobiety z somonowego centrum zaczęły jej unikać.

Kto chciałby ciągle prowadzić bezsensowną rozmowę o dziecku, które nigdy nie przyjdzie na świat? Podobno w szafie ma całą wyprawkę. I ciągle coś szyje. Przerabia stare ubranka i kupuje materiał na nowe. W ten sposób ani dziecka nie sprowadzi na świat, ani nikomu nie pomoże. Tylko ludzie coś sobie o niej pomyślą. Przecież już myślą. Jedna kobieta mówiła mi w sklepie, że Anra jest pomyłona. Sama wlokła za rękę dwa rozwrzeszczane maluchy, trzeci jej siedział na barana. Anra szyje butki i rozmyśla o najpiękniejszym imieniu, a Ulanceceg niknie w oczach i nie odpowiada na pozdrowienia. Dała życie dziewczynie, której żaden maluch nie będzie gaworzyć do ucha, dziewczynie, której równie dobrze w ogóle mogłoby nie być.

A Bordzi podeszła do tego inaczej. Kiedy już wiedziała, że od Burchana nic nie dostanie, wzięła do siebie sierotę. Mały Arinchu miał rodziców, a)ę dla nich jakby nie istniał. Nigdy nie jeździł z internatu do domu. Potem Bordzi wzięła jeszcze dwóch chłopców. Jeden ma rude włosy, kto wie, skąd przybył jego tato,

a drugi jest udany. Mądry i chętny do nauki jak wilcze szczenię. Bordzi jest dobrą mamą i przynajmniej z chłopaków coś wyrośnie.

Anra nie chce cudzych dzieci, więc niech sobie wypłacze oczy.

Z Chiroko też rozmawiałam o dzieciach. Pamiętam, jak mnie obejmowała, kiedy leżałyśmy razem zakopane pod kocem, ja byłam jeszcze dzieckiem i zawsze jej wszystko mówiłam. No i tak zeszłyśmy i na to. Nie za bardzo rozumiałam. Chiroko wcale nie była nieszczęśliwa. Mówiła, że z dzieciakami sobie używa, ile wlezie, i że własne nie są jej potrzebne. Nawet i nie chcę, szepnęła mi do ucha, a ja czułam, jak jej płoną policzki.

Przemknęło mi przez głowę, że moja wielka siostra jest najbardziej niezwykłą ze znanych mi kobiet. Potem pocałowała mnie w czoło.

Czego jej brakuje? To prawda, że z dzieciakami kobieta ma sporo zachodu, i Chiroko nie miałaby czasu pomagać innym, gdyby musiała zajmować się swoimi. Ja bym tak nie umiała, żeby wyżej stawiać cudze dzieci, kiedy Burchan dał mi płodne łono. Może właśnie dlatego, że zwyczajna kobieta tak nie myśli, bardzo szanuję Chiroko.

Gdyby nie Ojuna, nie byłoby ze mną najlepiej. Dałam życie czterem kobietom, a mam jedynego wnuka. Czasami marzę, że kiedyś jakąś przyprowadzi, i koło naszych gerów pojawi się jeszcze jeden. To już by było coś. Z Tulegiem przyszliśmy z pustymi rękoma, ale zawsze tak to sobie wyobrażaliśmy. Wielka rodzina jest mocniejsza niż łyko.

Kiedy Tuleg po raz pierwszy wbił tu uręg i miała się urodzić Magi, powiedział: Aż po horyzont będą się ciągnąć jurty dzieci naszych dzieci.

Czułam wtedy, jak oddech tamuje mi gorąca fala, która wypływała z brzucha i zalewała mnie aż po szyję. Była to jedna z tych chwil, kiedy obiecaliśmy sobie, że na dobre i na złe zawsze będziemy razem.

Na początku Tuleg chciał dużo dzieci, ale odkąd poznałam Mergena, kładłam się z nim już tylko wtedy, kiedy nie mogłam się w żaden sposób wymigać. Wiedziałam, że potem będzie miłszy, a to lepiej dla wszystkich. Robiłam to głównie dla dzieci.

Z Mergeniem było inaczej. Z Mergeniem poznałam, jak to jest, kiedy kobiece ciało jest oszołomione, a każdy następny pocałunek smakuje jeszcze bardziej. Kiedy dłonie mężczyzny parzą, a po plecach przebiega słodko-bolesny dreszcz. Kiedy chcę od mężczyzny dziecka nie dlatego, żeby niańczyć przy piersi malucha, ale dlatego, że chcę go mieć wielkiego na wieki w swoim łonie.

Tego nie zaznałam z Tulegiem. I dlatego Mergen zrobił mi dziecko od razu pierwszej nocy, a z Tulegiem zawsze to trwało.

Chciałabym też doczekać prawnuków. Kobiety w okolicy w moim wieku mają już jednego, dwoje, troje. Nie chcę umrzeć, póki nie usłyszę płacztu nowo narodzonego w moim rodzie. W ten talizman Batdżara, niby to z sierści jaka, to coś nie chce mi się wierzyć. Ale i tak nie wygląda na to, że ta dziewczyna będzie matką jego dzieci. Gdyby myślał o niej poważnie, przyprowadziłby ją i pokazał, zamiast robić ze mnie głupią. Niech się wy szaleje, później już nie będzie mógł. Tylko żeby nie unieszczęśliwił jakiejś łatwowiernej dziewczyny.

W ostatnich tygodniach zaczęłam tracić nadzieję, że dożyję prawnucząt. Ten przeklęty woreczek żółciowy ciągle się odzywa. Może pomogłaby mi Chiroko, ale to okropnie daleko. Żeby chociaż za rok zobaczyć jeszcze Dolgormę. Dziewczyny w tym wieku strasznie się zmieniają. W lecie będzie miała szesnaście lat, a może siedemnaście, sama nie wiem. Krótko mówiąc, całkiem dorosła kobieta, a jeszcze do tego piękna.

Żeby tylko nauczyła się czegoś z tych moich rad. Ale wierzę, że to wszystko nie pójdzie zupełnie na marne.

Może i nie jest ciekawa moich doświadczeń, ale one i tak same zapadną jej do głowy, a później będą jak znalazł. Jeszcze nie raz wspomni swoją babcię. I że wszystko jest tak, jak ona jej mówiła. Bo tak naprawdę jest.

Część piąta

Dzaja i Nara zawsze zadzierały nosa i dlatego skończyły jak skończyły. Wszyscy wiedzą, że najmłodsze dziecko musi sobie samo wszystko wywalczyć od tych starszych, i ze mną też tak było. Nikt nic mi nie dał za darmo. Mało kto o tym wie. Co tu dużo mówić, ja sobie poradzę, a jeszcze mogę dziękować wszystkim górskim tengerom, że mnie nie oszczędzali, że kazali mi stąpać po cierniach, żeby potem nagrodzić mnie mężem i trójką dzieci.

Czego innego można chcieć od życia? Za to wszystko, jak każda porządna kobieta, jestem winna tysiące żarliwych modlitw na klęczkach. Przez całe życie będę chodzić do owa i dziękować, a choćbym starła sobie kolana do krwi i za wszystkie nasze kozy kupiła mnóstwo jedwabnych chadagów, i tego będzie za mało, bo za plecami zawsze miałam szczęście. Ale przesłam twardą szkołę i potrafiłam je capnąć i nie pozwolić, żeby pierzchło, nie to co Dzaja i Nara. Tak właśnie trzeba: chwycić i nie puścić. Powtarzam to Batdżarowi, Cecegmie i Zuli, ile wlezie, w kółko na okrągło. Jestem ich matką i zawsze będzie mi na nich zależało, więc kiedy o nich chodzi, nigdy nie będę trzymała języka za zębami. Mają słuchać kobiety, która czegoś w życiu doświadczyła.

Oni mówią, że ich świat jest inny i od razu wciskają mi w rękę czarękę z herbatą. Wszystkie moje dzieci są dobrze wychowane, jakżeby inaczej, nauczyłam je grzeczności, więc tylko uśmiechają się z politowaniem i myślą, że mama w końcu da spokój i zajmie się swoją herbatką, która wychlapuje się jej z roztrzęsionych rąk. Ale ja łup czaruką o stół, nie dam się uciszyć. Mówię, co myślę. Zawsze. Dla ich własnego dobra. Kiedyś to zrozumieją i tak samo będą postępować z własnymi dziećmi. Starzy muszą radzić młodym, to jest ich święte prawo. Co innego im pozostaje?

Jestem już zharowana, ale jak Zula weźmie mnie pod rękę, to mogę dojść wszędzie, gdzie mi się zachce, a głos mam ciągle jak dzwon. Tyle razy wieczorem zwoływałam mężczyzn i dzieci, że echo w naszych lasach nauczyło się mojego imienia. Gałęzie też szumią po mojej myśli, a jeśli ktoś długo nie wraca, zawsze przywołają Ojunę. Mój głos dotrze do chmur i wybije dziurę w ptasim kluczu, tak jak kamień wybija falujący krąg na wodzie, a błądzący chłopak albo dziewczyna zagubiona we mgle znajdzie drogę do domu. Już w dzieciństwie miałam mocny głos. Mama miała mnóstwo pracy, i gdybym nie krzyczała, Nara i Dzaja spokojnie zostawiałyby mnie zawieszoną w kołysce przez cały dzień. Mama karmiła mnie dobrze, nie mogę powiedzieć, ale to wszystko, czego mogłam od niej oczekiwać. Całą resztę na głowie miały Nara i

Dzaja, które tylko patrzyły, jak się wymigać od swoich siostrzanych obowiązków.

Magi to co innego, Magi była sumienna. Pamiętam, jak mi sprawdzała buty, żebym nie tupała w mokrych, a po jedzeniu zawsze pytała, czy się najadłam. Ale te dwie nigdy.

Złe uczynki nie przepadają bez śladu, nieszczęście chodzi za niegodziwcami, a wszystkie przewinienia wracają do człowieka. W tym życiu albo w innym, ale nie znikają ot, tak ze świata. Dobrze pamiętam swoje dzieciństwo.

Dzaja chyba nie. Kiedy coś wyciągnę ze starych czasów, obrażona przewraca oczyma, milczy i wydyma usta, jakby jej się działo krzywda.

Gdyby widziała te swoje nadęte policzki, kiedy nasza mama wciskała mnie jej na ręce, a ja wcale do niej nie chciałam, ale ktoś musiał się mną zajmować, to nie rzucałaby teraz warkoczem taka urażona, jak to ona potrafi. Ja już wiedziałam na sto procent, że jak tylko wpadnę w jej łapy, zaraz mnie znowu zamknie albo posadzi gdzieś wysoko, a ja nie będę mogła zejść. Już to znałam. Ale Dzaja ma kiepską pamięć.

W tej brzydkiej, przygarbionej kobiecie ciągle widzę tamtą dziewczynę, która ukryta w górach za skałami śmiała się, kiedy ja płakałam. I tyle razy, kiedy Dzaja gdzieś mnie zabierała, myślałam, że już nigdy nie zobaczę mamy.

Mnie mama kochała najbardziej.

Kiedy dziki pies pokiereszował mi policzki, nikt już mi nie mógł odebrać mamy. Była moja i wiedział o tym cały ger.

Na nic się Dzai nie zdało, że była najlepsza w całej szkole. Po śmierci Magi w gerze ja byłam najważniejsza. I dlatego odeszła.

Myślała, że nikt nie wie, jaka jest dobra, za wszelką cenę chciała być doceniona, ale tą małą i słabą zawsze byłam ja, i dlatego mama nie poświęcała jej tyle uwagi. Każda kobieta jednakowo kocha swoje dzieci. Ale przyszedł czas, że Dzaja stała się najstarsza, a przede wszystkim była erlicem, więc co się miała dziwić. Mamy należą do małych, starsi sami muszą o siebie zadbać. Bałam się Dzai i dlatego ciągle coś na nią wymyślałam. Mama zawsze mnie wtedy przytuliła, objęła, a ja oddychałam w jej włosach i słuchałam, jak oburzona Dzaja się usprawiedliwia, a wzrok miałam wbity w maminy del, żeby nie trafić na spojrzenie siostry, ostre jak błyskawica.

Następnego dnia za gerem spuściła mi lanie. Nara pilnowała, żeby nikt nie usłyszał, i moje krzyki umarły w bulgoczących garnkach i różnych nieokreślonych dźwiękach krzątania w gerze. Nara zawsze we wszystkim słuchała Dzai. Kiedy nie było Dzai, uczyła mnie rozpoznawać rośliny i wyszukiwać jadalne korzenie, ale przy niej była jak odmieniona. Wiedziałam,

że się jej boi, i potem jeszcze bardziej obie mnie straszyły, a Nara wymyślała najtrudniejsze zadania, żeby móc przed nią zabłysnąć.

Raz posłały mnie po argal dzikich górskich kóz, a kiedy przyniosłam nasz, od tatowych zwierząt, dały się nabrać. Kłamstwem i wymysłami można sobie ułatwić życie. Niczego innego nie nauczyłam się od siostry.

Moje serce nie było przecież jadowite z natury, jak ten ściągnięty w uśmiešku przeplataniec, pełen wydrażonych przez robaki drózek, serce naszej Dzai, więc z czasem wyrosłam z tych dziecięcych złośliwości.

Kiedy tato nas zwoływał i mówił nam o różnych rzeczach, słuchałam.

Kiedy mama łapała mnie za rękę i pokazywała, jak się doi, albo wciskała mi w dłoń skrobaczkę, żebym ściagała z mięsa błony, nie próbowałam się wymigiwać.

Szybko się nauczyłam, jaki jest porządek rzeczy, szybko też zrozumiałam, że inaczej nie można, a jeśli już się spróbuje, to zawsze bywa z tego jakieś nieszczęście. To wszystko już wiedziałam, kiedy miałam czternaście lat. Byłam najmłodsza i nie mogłam zwracać uwagi starszym. Dlatego muszę to robić teraz, póki jeszcze nikt w gerze nie ośmiela się podnieść na mnie głosu, bo jak Batdżar zrobi mi z dłoni schodek i podsadzi mnie na konia, to nie ustępuję młodemu, a póki ciągle jeszcze podołam pracy, nikt nie może nawet kaszlnąć, kiedy mówię, co dopiero odrzucić moją radę, mimo że to ja byłam najmłodsza.

Tamte dwie przez całe życie były tylko przemądrzałymi dzieciakami, zastrachanymi dziewczynkami, które nie wiedzą, czego się trzymać, niczym innym. I teraz jedna z nich wysiaduje koło geru, z szarymi, zapadniętymi policzkami i ze wzrokiem, który bez słów krzyczy coś w daleki step, i ciągle myśli, że ma tutaj jakieś prawa, że ja szłam przez życie z zamkniętymi oczyma, a te jej głupstwa to jest coś Burchan wie jak wyjątkowego.

Co do mnie, to nikt nigdy nie miał żadnych wątpliwości.

Ja wyrosłam z dwóch czystych, dumnych mongolskich rodów, nigdy nie musiałam spuszczać głowy do ziemi, a krzywe spojrzenia, które kilka razy się o mnie otarły, zawsze były pomyłką. Te oczy szukały moich sióstr, a ja zawsze odbijałam je swoimi żrenicami, jak tarczą na wyprężonym ramieniu, bo kto zajrzał w moje oczy, nie znalazł w nich żadnego skrywanego lęku ani winy.

Każde dziecko jest jak miękki tłumoczek. Złym i nieczystym ludziom rodzą się takie same miękkie, zsiniałe tłumoczki, jak tym porządnym, i każdy tłumoczek trzepocze się w takim samym ptasinym żywiołowym dygocie. Ja nigdy nie powiedziałam, że Dzaja jest brudnym erlicem, chociaż niektórzy tak myślą, a są to ludzie szanowani w somonowym centrum, i w ogóle ich słowo coś znaczy. Nigdy tego nie powiedziałam. Ale prawdą jest, że Dzaja żyła jak

erlic, nie urządziła przyzwoicie swojego życia, a ja dla niej ciągle byłam tylko małą, głupią Ojuną, nawet kiedy już miałam swojego męża, a ona ciągle znikwała za górami i potem wracała do nas z Miasta z prezentami i wilgotnymi oczyma.

Ja nie musiałam się nad niczym zastanawiać, po szkole nie chciałam zostać ani w somonowym centrum, ani tym bardziej nie zamierzałam wyjeżdżać do Miasta. Mama i tato dzisiaj są mi za to wdzięczni. Zawsze myślałam o innych.

Mama przecież nie po to na mnie chuchała i dmuchała od małego, żeby potem, kiedy pójdę na swoje, został po mnie w Czerwonych Górach tylko obłoczek skotłowanego kurzu. Ile siwych włosów im przeze mnie przybyło. Za to przecież należy się jakaś zapłata.

Ja się starałam, a mama przekazała mi wszystko, co sama przejęła od babci Miry, i jeszcze zaklęcia, które cedziła przez zęby babcia Dolgorma. Babcia Dolgorma dobrze pilnowała swoich tajemnic, większość z nich przyduśiła własnym martwym ciałem i zabrała ze sobą, ale co z niej mama wydobyła, to wiem tylko ja, i nikt oprócz mnie. Dzaja swojej małej Dolgormie porządnie namieszała w głowie, jeśli chodzi o babcię. Babcia umiała parę rzeczy, których nie umiał nikt inny, ale nie tak znów wiele, była to zaledwie odrobina tego, czego nauczyła ją matka.

Kiedyś ludzie o takich sprawach wiedzieli więcej, a teraz każdy myśli, że skoro rozumie świat, jak to się mówi, to całą mądrość swoich przodków może porzucić na pastwę dzikich zwierząt razem z ciałami swoich starych rodziców. Nikt już o te rzeczy nie dba. Chcę dobrze, a zawsze wyjdzie mi to bokiem. Ale tylko młody pęd da się naginać.

Cecegma się złości, kiedy jej powtarzam, że powinna znaleźć sobie męża, dopóki jest młoda, bo za parę lat będzie musiała brać, co zostało.

Żeby Batdzara dostał w swoje łapska górski ałmas, kiedy bierze stronę Cecegmy i oboje stają okoniem, że nie będziemy objeżdżać owa autem trzy razy, jak nakazuje obyczaj, bo sklep w somonowym centrum zamykają o piątej, i że spokojnie możemy zajechać tu w drodze powrotnej.

Co ma wspólnego droga powrotna z tym, że naszemu owu winni jesteśmy święty szacunek?

Zacinają się w milczeniu, a ja wychodzę na starą zrzędę.

Za każdym razem, kiedy moje dzieci robią ze mnie wariatkę, otrząsam się i mówię sobie: Dzaja swojego jedyne dziecko nie wychowała nawet w połowie tak dobrze, jak ja swoich troje, a łono Nary nie zakwitło ani razu. Mogę się cieszyć.

Dzaja zawsze przeceniała swoje siły. Kiedy na Nowy Rok mieliśmy budzę, nakładała ich sobie tak kopiato, że wypływały z miski jak tłuste ryby. Gdy któryś spadł na stół, ona natychmiast go łapała i wrzucała do buzi, ale jak rozpaćkał się z plaśnięciem na ziemi, to tato podnosił oczy i dawał jej łupnia w plecy. Dzaja prawie nigdy nie zjadała całej swojej porcji.

Nie wiedziała, ile może.

Nie mam żadnych wątpliwości, że w Mieście Dzaja musiała parę razy zarobić łupnia, jak nic. Tyle że od innych, co mają twardsze pięści, ale przede mną nigdy się do tego nie przyzna.

Wystarczy, że ma dziecko, ale nie ma męża.

Swoją drogą, kto obnosiłby się ze swoimi ranami tam, gdzie nie doczeka się współczucia? Za dobrze się znamy. Staram się być miła. Kiedy Dzaja tak się snuje koło geru, jakby nie widziała, na ilu garnkach obsychają resztki, nic nie mówię. Kiedy rano śpi, jakby to słońce, które mnie przecina powieki jak nożem, było księżycem w najgłębszą zimową noc, tylko jej naciągnę rąbek koca pod brodę i idę do swojej roboty. Nie strofuję jej, a to, co czasem może wyczytać w moich oczach, jest dalekie od pogardy, którą żywi do niej jej Dolgorma. Wysiadywać przez cały dzień koło geru ze szklanym spojrzeniem, wbitym w góry, albo bezgłośnie poruszać ustami, tak nie powinna wyglądać starość przyzwoitej kobiety.

Nigdy jej nie powiedziałam, że jest darmozjadem. Nigdy jej nie powiedziałam, że Dolgorma jest dzalchu, bezwzględna dziewczuchą, której nikt porządnie nie wychował. Nigdy jej nie powiedziałam, jak bardzo widać, że brakuje jej takiego mężczyzny, jak mój Najmą. Dzaja myślała, że z ułanbatorskiego błota gołymi rękoma ulepi posąg Burchana. Że ktoś odłoży swoje worki, otworzy ramiona i weźmie w objęcia dziewczynę, która opuściła rodzinny ger w nadziei, że w Mieście wypatrzy ją szczęście pomiędzy tysiącem takich samych jak ona. Pewnie po tych jej skośnych chińskich oczach, czy jak to sobie wyobrażała.

Ileż to śliskich, spowitych błoną jagniąt przeszło przez moje ręce przez te wszystkie wiosny! W dziesiątki idą te zimy i pierwsze jesienne śniegi, które przewalały się przez Czerwone Góry, zanim zazieleniły się kępki młodej trawy, bladej i wątłej jak pierwsze nieśmiałe wąsy podrostka, a przez ten cały czas jej nie było.

Tak więc kiedy Dzaja miała się różnych byle jakich prac, dobrych dla miejskich wieśniaczek, ja stałam się żoną i kobietą, z którą trzeba się liczyć. Mama trzymała mnie krótko i ani przez chwilę nie dawała mi spokoju.

Kobiece palce od rana do wieczora muszą być w ruchu przy miskach, dotykać dziecięcych policzków, zaczynać ciasto lub być ku pomocy pełnym odcisków dłoniom mężczyzn. Powtarzam to swoim dziewczynom do znudzenia. Tato mówił, że mamine ręce nigdy nie były bezczynne i że pierwsze, co zauważył, to właśnie te nieznające spoczynku, migające skrzydła. Chcę tę kobietę, powiedział wtedy tato, a mama też chciała, żeby tak powiedział o niej porządny mężczyzna.

Za młodu wieczorami bywałam czasem strasznie zmordowana. Miałam opuchnięte nogi, a ręce w palcach tak słabe, że nie mogłabym podnieść szczeniaka za skórę na karku. Mama i tato wtedy jeszcze mieli twardy sen, i ledwie zalegli, natychmiast odpływali. Nikogo innego w gerze nie było, a ja czułam złość. Myślałam o niebie, które podobno nad Miastem jest blade także w nocy i rozpryskują się na nim miejskie kolory, gwiazdy giną w żółtawej poświacie, która bije od domów, a gasną razem z ulicznymi lampami.

Czarna gardziel otworu w dachu geru wydawała mi się przerażająca i wroga, a gwiazdy w porównaniu z latarniami na ulicach jakieś takie drobniutkie, jak złote kropelki.

Bez moich sióstr zbierało mi się na płacz, ale ich twarze w mojej wyobraźni też były zalane łzami.

W Mieście źle skończyć jest bardzo łatwo. Tato dobrze to wiedział. Wtedy mama mówiła, że już niedługo ktoś po mnie przyjdzie i będzie mnie nosił na rękach.

Wiedziałam, że on jest tego wart. Tego całego maminego gadania i snów Dzai i Nary o skrzącym się blaskiem życia, które było gdzieś za górami, ale do nas nie docierało od niego choćby jedno błędne światółko. Nie myślałam o Mieście poważnie. Te sny brały tylko od Miasta kolory. Miejskie domy były porozrzucane po stepie daleko jeden od drugiego tak samo jak jurty, i tak samo małe i miękkie. Przeszło mi.

Pojawił się Najmą, a przy nim stałam się samodzielna i pełna, bo kobieta bez mężczyzny jest jak sierp księżyca, a Najmą rozpuścił tę ciemną część i zrobiłam się okrągła i lśniąca jak księżyc w pełni. Batdżar urodził się, akurat kiedy już zdążyłam przywyknąć do swoich nowych małżeńskich obowiązków, a Najmą stał się dla mojego taty synem, którego mu wszyscy zazdrościli.

Nie wiedziałam, jak to jest, a i teraz właściwie też nie wiem. Znam tylko swojego Najmę. I tak ma być, mówiła mama, porządni mężczyźni szukają właśnie takich kobiet. Kobieta ma czekać. Dla swojego własnego dobra. Kiedyś się doczeka, a potem nie będzie musiała o nic się martwić. Mężczyźni nie wierzą doświadczonej kobietom. Tak właśnie jest.

Dziewczyna, która nie oszczędza się dla ojca swoich dzieci, taka niecierpliwa młoda kobieta, potem gorzko pożałuje. To wiem od mamy, i to samo wbijałam do głowy Cecegmie i Zuli, kiedy jeszcze chodziły do chuchdijn cecerlegu. Kobieta musi wszystko skalkulować, kładła mamie do głowy babcia Mira.

Ja niczego nie kalkulowałam. Tato, kiedy trochę wypił, mówił, że ja taka poukładana już się urodziłam. To było na moim weselu.

Tato pił z Najmą przy jednym stole, a potem powiedział mi dobitnie, że mam pokazać Najmie swoje nogi i zawinąć del po łokcie. Najmą pokiwał z uznaniem głową, a tato dodał, że co mam między nogami, to wiadomo. Nie ma mowy o żadnym zużyciu. Najmą zachichotał, był bardzo zadowolony, a ja pobiegłam roznosić czarki z kumysem razem z innymi kobietami.

Mój mąż zawsze był dla mnie dobry. Mnie czasem wyrwało się parę ostrzejszych słów, ale jak kobieta cały wieczór sterczy przy garach, a mężczyzna tak po prostu przylezie na gotowe i nic, to człowiekowi mogą puścić nerwy. Czasami nawet nie chciałam, ale te słowa wymykały mi się same. Ale Najmą był wielkoduszny, a ja zawsze potem przychodziłam go przeprosić. Rzadko kiedy poszło na noże. Czasami i dzieci się doigrały. Był opanowany, ale jak dziecko odzywa się, kiedy mówi dorosły, kuksaniec w żebra jest jak najbardziej na miejscu. Dolgormie takie rzeczy też nie powinny uchodzić płazem, tyle że ją akurat Najmą sobie upodobał, i ja też nie byłam dla niej taka surowa jak dla własnych dzieci. Chciała Dzaja mieć panienczkę, niech ją sobie ma, co mi do tego. Żeby była moja, ważniaczka jedna, to tak bym jej poustawiała w łepetynie, że przypomniałaby sobie własnego ojca.

Dzaja myślała, że ja mam coś przeciw tej jej córuni. Ale ja każdego przyjmuję z otwartym sercem, inaczej nie potrafię, no i z tym jej imieniem też się szybko oswoiłam. A jeżeli miała mi za złe, że powiedziałam Batdżarowi, jak się przedstawia sprawa z Dolgorma, to może mieć pretensje sama do siebie. Ja biorę wszystko tak, jak jest, nie zamierzam niczego upiększać, i innym też na to nie pozwolę. Niech wie dziewczyna, że ma ukradzione imię, nie ma to tamto, była już wystarczająco duża. Dzaja za długo chowała ją w puchu. A jaka była leniwa, słów brakuje. Cecegmie i Zuli też musiałam wszystko dwa razy powtarzać, ale żeby tak się stawiać, na to by sobie nie pozwoliły. Jeszcze do tego w cudzym gerze. Gdzie się tego ta dziewczucha nauczyła? Chciałabym zobaczyć faceta, który zrobił Dzai to dziecko. Samotna kobieta nie może dać sobie rady z taką żmijką, ja w ogóle nie rozumiem, po co sobie tego dzieciaka zostawiła. Jakże może dać jej wychowanie?

Taki wstyd. Całe życie wszyscy ją będą pytać o ojca i za każdym razem nie będą kryć zdziwienia. Żeby mi coś takiego zrobiła Cecegma, tobym z niej wytłukła ten krwawy kłęb, niech się dzieje, co chce.

W ogóle to i tak byłam wspaniałomyślna, że przez te wszystkie lata przyjmowałam ją do siebie na wakacje.

Kręciła nosem nad jedzeniem, ale w końcu zjadała za trzech, a do pracy nie można jej było napędzić, jeszcze czasami musiałam po niej umyć czarę.

Dzaja zawsze nam ją tu wpychała, jak gdyby nigdy nic. Coś takiego jak siostrzana miłość nie bierze się z powietrza, a ona dla mnie w życiu nie kiwnęła palcem. Aż tu nagle, po latach, zjawia się z dzieckiem i rozpacza, że nikt jej się nie rzuca na szyję i że na Dolgormę nikt nie powie inaczej niż dzalchu.

Niezła dama zrobiła się z naszej Dzai. A we wszystkim była taka lewa, jakby się w tym Mieście urodziła. Co te jej białe ręce cały czas robiły, nawet nie chcę wiedzieć. O tym nie dało się porozmawiać. Wiła się jak piskorz, a jak już coś udało się z niej wycisnąć, to przez te jej rumieńce trudno było w to uwierzyć. Czasem przychodziły mi do głowy najgorsze rzeczy, ale siostra to siostra, i tymi swoimi prezentami zawsze zdołała nam zamknąć usta.

Pewnego razu poszliśmy we dwie rzucić okiem na chorą kobyłę, coś niedobrego wisiało w powietrzu, i przez to kobyły traciły mleko, a sierść im matowiała i zlepiała się w kołtuny, spomiędzy których prześwitywała pokryta strupami skóra. Były chore, i Dzaja powiedziała, żebyśmy poszły do nich i spróbowały coś wymyślić. Wtedy Dolgorma już była większa, przyczepiła się do Najmy i ciągnęła się za nim wszędzie jak ogon, a ja już nie patrzyłam na nią przez palce, tak jak kiedyś.

Dzaja mówiła, że bardzo się cieszy, i że Dolgorma jest grzeczną dziewczynką, i że z czasem wszyscy ją pokochamy, bo przecież inaczej z nią nie można, że mała odpłaci nam w dwójnasób za każde dobre słowo, każdą pochwałę, i jedno spojrzenie starczy, żeby zrozumieć, co to dla niej znaczy, i że to jest niełatwe. Dolgorma nie jest ze wsi, ale na pewno się dostosuje. Zaklinała się na duszę. Na pewno, tylko troszeczkę cierpliwości, jeszcze chwileńkę poczekajmy, mówiła i ciężko łapała powietrze, dyszała jak zgoniony pies, bo szliśmy pod górkę, a ona nie miała wprawy. Ja chciałam rozmawiać o chorych kobyłach, bo Dolgorma latała gdzieś koło geru i była zdrowa jak ryba, a w rękę palił mnie kij, który wzięłam, żeby nie potykać się o skały, i czułam, jak stuka o każdy kamień jak laska starca.

Jak ktoś jest tak przejęty, to nigdy nie wiem, co robić, więc zaczęłam o mleku, a Dzaja kiwała głową, a kiedy powiedziałam, że za dwa tygodnie

kobyłom przejdzie ta choroba, przytaknęła: Tak, tak, Ojuno, za dwa tygodnie będzie po wszystkim.

Nie chciałam widzieć jej zamglonych oczu, bałam się ich jak mangas czarnych gawronów.

Ja jestem matką tylko dla swoich dzieci i nie umiem nikogo innego przytulić do serca, a Dzaja szła coraz bliżej mnie, już słyszałam szelest naszych delów, jak się o siebie ocierały, a potem zatrzymałyśmy się, bo i ja zaczynałam tracić dech, a Dzaja majtnęła głową o moje ramię i tak została. Nie cofnęłam się, wytrzymałam ten ciężar. Wystarczy, że sobie powiem, i mogę znieść wszystko. Stałam tam jak zimna skała, a w plecy paliły mnie potoki szczypiącego potu. Kiedy jedna kobieta tak lgnie do drugiej, to znaczy, że brakuje jej mężczyzny, który by ją trochę popieścił. Od czasu, kiedy przestałam się trzymać maminej spódnicy, nigdy nie kleiłam się do żadnej kobiety, a i mnie przecież bywało ciężko.

Kobieta musi sama dbać o swoje szczęście, omotać je miękką materią i ogrzewać w dłoniach własnym oddechem, a Dzaja dotąd je smagała po stopach, aż jej w końcu uciekło.

Nie powiedziałam, co myślę, wytrzymałam z tą jej głową na ramieniu, a potem poszłyśmy dalej.

Kiedy mnie było ciężko na duszy, nikt nigdy nie usłyszał ode mnie ani jednej skargi. Ani jednej.

Kiedy przyszedł do nas Najmą i zaczęliśmy jeździć razem do somonowego centrum na zakupy i prowadziliśmy aż do zmierzchu długie rozmowy o krowach, leczniczych ziołach i o jego rodzinie, ja już sobie wyobrażałam bogaty, suto marszczony strój panny młodej i obmyślałam hafty, które najlepiej wyglądałyby na rękawach. Najmie tylko przytakiwałam, on mówił dalej, a ja miałam czks myśleć o butach i czepcu, bo strasznie chciałam, żeby był wielki, ale znów nie aż tak jak za maminych czasów, bo takiego gara nie da się utrzymać na głowie. Najmą mówił o swoich braciach i o psie, którego kiedyś znalazł, było to wtedy przeraźliwie skomlaące wilcze szczenię. O weselu nie powiedział ani słowa, ale ja nie dałam się zwieść. Porządny mężczyzna nie opowiada dziewczynie tak długo o swoich sprawach i nie ciąga jej ze sobą na jakieś głupie przejażdżki, skoro wszystko może załatwić sam, a Najmą był porządnym mężczyzną. Zawsze robił, co mu tato kazał, i jeszcze sam się rwał do wszystkich ciężkich prac, chociaż nikt go nie prosił. Już nigdy później Najmą nie naopowiadał mi tyle wszystkiego, co w czasie tych miesięcy przed ślubem. Takich rzeczy po ślubie już nikt nie jest ciekaw, a i czasu nie staje. Poza tym mężczyzna już nie potrzebuje namawiać własnej żony, ona jest jego

na wieczne czasy, więc w gerze rozmawia się o stadzie i wrzeszczą dzieci. Z tych jego opowieści, kiedy się o mnie starał, prawie nic nie pamiętam. Trzeba coś mówić, jeśli coś ma z tego być. Jeśli młodzi mają się pobrać, to muszą wysiadywać po skałach i opowiadać sobie o swoich rodzinach, ale nie to jest najważniejsze. Ja chciałam szybko mieć swój ger i dziecko o oczach ciemnych jak oczy Najmy, chłopca, żeby mnie ludzie poważali. Ale nie było to takie łatwe. Najmą powiedział, że kogoś ma, tam u siebie, Cowo i Ariuna wyswatali mu dziewczynę, która zawsze mu się podobała, i ona teraz na niego czeka, a on dał jej słowo.

Nawet wtedy nie płakałam nikomu w rękaw. Powiedziałam, że czas wracać do geru. Cóż, muszę przyznać, że zaciął mnie jak sztukę bydła.

Kamienie rzucały już długie cienie, a mama czekała z chuszurami.

Tylko troszkę głos mi się załamał. Na słowie ger, które wyskoczyło ze mnie tak jakoś płaczliwie i zaraz zniknęło w tętencie kopyt, kiedy dosiadłam swojej kobyły i popędziłam na złamanie karku, a Najmą bez słowa włókł się za mną na srokaczu. Jakby nic się nie stało.

Przed mamą nie pisnęłam ani słowa i czułam na plecach jej pełne zadowolenia spojrzenie, kiedy pomachałam ręką w jej stronę i poszłam trochę się przejść z Najmą. Znowu mówił o braciach i o młodych zwierzętach, którym pomagał przyjść na świat, a ja usiadłam trochę dalej od niego i bawiłam się kamykami; a kiedy już skończył, to nie dodałam nic od siebie - w tych chwilach milczenia na czole połyskiwały mu niespokojne krople.

Ciągle się uśmiechałam, a kiedy del zaczepił mu się o krzaki, powiedziałam, żeby mi go dał, i zaszyłam rozdarcie, jakbym to robiła i przedtem.

W tych dniach nie patrzył mi w oczy, a kiedy dolewałam mu zupy i przypadkowo nasze spojrzenia się zderzyły, bezradnie rozkładał ręce. Ale on nie był bezsilny. Chociaż wyglądał na strapionego, nie żałowałam go. Tej jego dziewczynie życzyłam wszystkiego, co najgorsze, i jemu też, gdyby mnie zostawił. Moich łez nie osuszył wiatr, nie było żadnych łez.

Umiem zacisnąć zęby.

Kiedy ciągnęło się to tak już jakiś czas i tramo się, że byliśmy sami, Najmą ni stąd, ni zowąd wystrzelił, że jak mi się nie podoba, to żebym go odesłała, skąd przyszedł, a on pójdzie, nawet się nie obejrzy. Wziął mnie za rękę, ale wyrwałam mu ją, i zacięłam konia. Wołał za mną moje imię, rozbrzmiewało pomiędzy skałami. Dogonił mnie, zsiadłam z konia, i wtedy powalił mnie na ziemię. Zamknęłam oczy, a on tylko zaciskał dłonie na moich ramionach jak skorpion, potem mnie puścił i odszedł. Następnego dnia rano zniknął.

Tacie powiedział, że musi coś załatwić w domu. Po pięciu dniach wrócił i ukląkł przed moimi rodzicami.

Raz na jakiś czas zawsze się zdarza, że między dwojgiem ludzi jest coś nie tak.

Czasami myślałam, że tylko ja się martwię.

Wszyscy wiedzą, że potrafiłam znaleźć sobie mężczyznę, za którego szerokimi barkami zawsze mogłam się schować, jeśli było trzeba. Kiedy potrzebowałam wytchnienia, bo mama mi dokuczała, a dzieciaki nie dawały chwili spokoju, zawsze dostałam je od niego. Nigdy nie robił uników. Byłam młoda, później już tak nie tęskniłam za jego dotykiem. Bywało, że przytulił się do mnie, a ja oddychałam w jego włosach, ale z czasem coraz rzadziej. Żyło się nam dobrze, a dzieci rosły jak na drożdżach.

Dzaja myśli, że w naszym gerze złapałam za nogi swoje małe szczęście, że ona chciała więcej. Ale dostała po łapach.

Wiele razy widziałam, jak obserwuje mnie i Najmę, i to, jak wszystko w gerze toczy się swoim rytmem. Kiedy już dzieci przestały hałasować i wszyscy ściskaliśmy między udami czarki z churagiem, kilka razy przechwyciłam to spojrzenie. Zula coś do niej mówiła, Dzaja nie słyszała, a z zawieszanej w bezruchu łyżki skapywał sos. Jak posąg, śmiał się mój mąż. Kiedy na nią huknęłam, otrząsała się jak mokry pies.

Mogła tu zostać, nikt jej nie wyganiał.

Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy wyniosła się z Czerwonych Gór, a zresztą nigdy specjalnie się nie kochałyśmy. Ja nie czułam żalu, ale mama ciężko to przeżyła. Dzaja była wtedy najstarszą córką, a zniknęła, ledwie rzuciła w kąt tornister. I żadnej wdzięczności, żadnych podziękowań, ani słowa o powrocie.

Mama musiała wiedzieć, że wcale nie jedzie po to, żeby się czegoś nauczyć, ale tylko patrzy, jak tu się urwać z łańcucha, odciąć od własnego geru. Jak pomyślę, że ja bym tak musiała, to jakby mi kto wyrywał wnętrzności z żywego ciała. A to właśnie było jej marzenie. Tylko tyle powiedziała. Marzenie.

I tyle ją widzieli.

Ja swoim córkom od najmłodszych lat wbijałam do głowy właściwe marzenia. O czym marzy Batdżar, wiadomo. W końcu za parę lat może stać się najbogatszy w całej okolicy, trzyma się w ryzach, brakuje mu tylko pięknej kobiety, bo jedno z drugim idzie w parze. Ale marzenia młodych dziewcząt są zwodnicze. Jak która jest ładna, od razu zadziera nosa i myśli, że Burchan wie co ją czeka, ale na coś takiego może złapać najwyżej jednego dobrego mężczyznę. Jeśli chce więcej, tylko zepsuje sobie opinię, chłopcy dostaną się

innym dziewczynom, młodość minie, a potem okaże się, że dobry jest i byle opój bez grosza przy duszy.

Albo będzie się wiecznie włościć to z jednym, to z drugim.

Churda była taką kobietą na każde zawołanie, a teraz już ma drugie dziecko z sekretarzem w kombinacie i wygląda na to, że jest im dobrze. Ale nie każdej tak się poszczęści. Dzaja źle zrobiła, że wyjechała.

Mama powinna była wybić Szarceceg ten pomysł z głowy.

Ale jak tato nie stanął za nią murem, a Szarceceg tylko trochę tupnęła nogą, mama ustąpiła. Bo który ojciec będzie się bić za erlica?

Dzaja na pewno tak się nad sobą użala. Gdyby nie była bękartem, wszystko byłoby inaczej, tak sobie myśli. Zawsze, odkąd pamiętam, umiała się nad sobą roztkliwiać. Mnie nikt nigdy nie wtykał psiego mięsa do miski, nikt mnie nie obrzucał obelgami i nie posyłał za Wielki Mur, ale znowu Dzai nikt nie zostawił przed progiem geru na mrozie, kiedy oddech dzwonił, a palce u nóg w jednej chwili robiły się białe nawet w najcieplejszych butach. Gdyby tato z jakiegoś powodu nie wrócił wtedy od stada wcześniej, mogło być już po mnie. Miałam może trzy latka, policzki mi skamieniały od zamarzniętych łez, a mój obśliniony del był cały w zamarzniętych naciekach. Kopałam w próg i waliłam pięściami w drewniane drzwi. Małe pięści w owczych rękawicach bębniły słabo, tylko postukiwały w drewno, byłam u kresu sił, a Dzaja w środku chichotała.

Chciały być z Narą same i mieć spokój, ale już za długo trzymały mnie na dworze. Złośliwe krowy.

Przez całe dzieciństwo bałam się swoich sióstr. Co prawda, Dzaja i Nara musiały w szkole całe lata znosić różne złośliwości, ale też umiały odpłacić pięknym za nadobne. Dla mnie były duże i silne, ja mogłam tylko wołać mamę, ale one były wystarczająco sprytne i zawsze wszystko tak urządziły, żeby mój krzyk przepadł gdzieś w naszym wspólnym stepie.

Nie byłam przy tym, ale Sandży, mojej koleżance z chuchdijn cecerlegu, starsza siostra powiedziała, co widziała na własne oczy. Jeden chłopak pisał do Dzai obraźliwe listy i nie chciał czytać z Narą z jednego podręcznika, kiedy nauczycielka je rozsadziła. To tak dostał za swoje, że jeszcze długo potem budził się w nocy zlany potem. Tak powiedziała. Zaczaiły się na niego, kiedy wracał ze szkoły, wyrwały mu teczkę i wszystkie dewtery, karandasze i surachnomy wysypały mu na ziemię. Za każdym razem, kiedy po coś się schylał, dostawał kopniaka. Uciekł z pokrwawionymi palcami, a Dzaja z Narą prysnęły dopiero kiedy zauważyły, że ktoś nadchodzi. Potem, jak były starsze, nie mogły już się porywać na chłopaków, ale i wtedy nigdy nie były tak

bezsilne jak ja, która nawet nie umiałam dobrze się mamie poskarżyć na ich wszystkie wybryki. yi Cieszyłam się, że Dzaja zniknęła.

Moja rodzina jest wszystkim, co mam. Nigdy też nie marzyłam o niczym innym, i tak samo wychowuję Cecegme i Zule.

O mamie i tacie myślę codziennie. Nawet jak mam jakieś wielkie gotowanie albo muszę chodzić koło zwierząt, zawsze znajdę czas. Po tacie zostało kilka siodeł, buty i końskie oporządzenie. Mama dała mi rady, które ja z kolei przekazuję młodym. Na naszym stoliku stoją dwie pogięte fotografie rodziców. Kiedy przed łąty robiłam porządki i wniosłam stolik na zewnątrz, akurat zaczęło padać.

To było latem. Wtedy po raz ostatni przyjechała Dolgorma. Jeszcze zastała tatę.

Wtedy mama i tato wzięli ją do siebie. Nie mogła za każdym razem mieszkać w moim gerze, było nas w nim za dużo. Powiedziałam sobie: Niech się dziewczyna nauczy, jak to jest ze starymi. Potrzebowałam, żeby ktoś mi pomógł, przede wszystkim przy mamie. Przeczuwałam, że mama długo już z nami nie pobędzie, i jakkolwiek na to patrzeć, Dolgorma była jej wnuczką, więc nad czym się tu zastanawiać.

W ostatnich dniach życia naszych rodziców ani Dzai, ani Nary z nami nie było. Dolgorma wyjechała kilka tygodni wcześniej.

Tato tkwił przed progiem, a mama w ogóle nie wychodziła z geru. Tato nie był taki, żeby robić z igły widły, i tak mu już zostało.

Za to mama nadrobiła to za siebie i za niego.

Wrzeszczała godzinami, aż słyhać było u nas w gerze. Tak szaleć mogła tylko z jednego powodu. Poszłam do nich. W całym gerze wszystko było porozwalane, herbatniki wysypane z pudełka, a przez próg tam i z powrotem łąziły psy. Ze wszystkich pólek jak wywalone jęczory zwisały powyciągane rzeczy, a słup podporowy był przesunięty, bo mama biegała po gerze i na wszystko wpadała. Przyłożyłam jej okład na guza i wcisnęłam krzesło pod siedzenie, żeby wreszcie się uspokoiła i przestała krzyczeć.

Tato leżał wyprostowany i cichy, jakby gorliwie spał, a ja rozumiałam mamę, że nie chciała go tu tak zostawić. Podobno nawet nie westchnął, a przecież zawsze ledwie stęknął przez sen, już była na nogach. Na twarzy miał spokojny uśmiech. Kiedyśmy go wynosili, nadwerężyłam sobie krzyż. Tato zrobił się ciężki jak pełna beka.

Potem Dolgorma już do nas nie przyjeżdżała. Mama umiała syczeć jak żmija. Dla każdego chciała dobrze, ale nie знаła miary i doprowadzała

dziewczynę do łez. Cecegmie i Zuli wypominała, że rzadko do niej przychodzą, bo jest stara, a młodzi nie chcą patrzeć na starych.

To prawda, że po śmierci taty z mamą robiło się coraz gorzej. Tylko jedno jej zostało - cieniutki warkocz, którego koniuszka nie mogła dosięgnąć. Zęby miała dziurawe, nogi odmawiały jej posłuszeństwa i kulila się, jakby jej było wiecznie zimno, nawet kiedy ze wszystkich lał się pot. Ale trochę siły na niektóre rzeczy zawsze jej zostało. Umiała wbić pazur i sponiewierać serce najbliższych. Miała dobre intencje, przynajmniej długo tak właśnie myślałam. Ze zamiast przyłać za karę, tylko strzela z bata z byczej skóry.

Przecież mama jest kobietą i niczym więcej, a złe kobiety też bywają czyimiś matkami.

Alta, imię naszej mamy, nigdy nie będzie tak poważane jak imię Dolgorma. Mimo że Dzaja mocno przesadziła z tą swoją historią, i nikt już jej nie odbierze piętna kłamczuchy.

Kiedy parę miesięcy temu Dzaja wróciła do nas na stałe, nie było z nią Dolgormy. Mówiła, że jej córka jest dorosłą kobietą i że nie będzie ciągnąć za sobą ogonów. Starczyło jej jedno spojrzenie, i natychmiast zamknęły mi się usta.

Takie rzeczy umiem wyczuć. Nie warto pytać. Tak samo było z mamą, też nie miałam odwagi, żeby zasypywać ją pytaniami. Nie pytałam. Zwłaszcza o drażliwe sprawy. A przecież trudno o większą bezczelność, niż kazać swojemu mężowi chodzić koło bękartów. Mama tę tajemnicę zabrała ze sobą do grobu.

Myślałam, że umieranie nie jest takie.

Tato po prostu usnął, bez pożegnania, a mamie wysiadł woreczek żółciowy. Umarła skulona na tylnym siedzeniu dżipa Najmy. Ja jechałam z przodu i nawet nie zdążyłam ścisnąć jej ręki. Życie wyleciało z niej jak strzała z łuku. Szybko i cicho. Gdzie trafiło? W jakim łonie się ułożyło? Koło którego geru biega dziecko, które było babcią moich dzieci?

Dzaja jest dziwna. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać o mamie i że już jej nie ma, tylko odwróciła głowę. Ale po co ukrywała wzrok? Mamę dawno rozszarpały dzikie zwierzęta, a po łzach w oczach Dzai nie było ani śladu. Nawet nie załamała rąk. Erlice wstydzą się swoich mam. Przynajmniej trochę. Jak inaczej to wyjaśnić?

Dzaja natychmiast rzuciła się szukać maminych kolczyków. I gdzie się podział jej czarny srebrny pierścień? Tego pierścienia nie mogłam ściągnąć mamie ze spuchniętego palca, mówię, ale zamiast tego chciałam powiedzieć, że nawet nie przytrzymałam jej dłoni, nawet nie zdążyłam pocałować jej ciepłych stawów.

Przeklęte tylne siedzenie.

Najmą jechał skrót po wertepach i mamą do samego końca rzucało. Nawet kiedy już w jej ciele nie było życia, podskakiwała jak szalona. Wszystkie słowa, które miała przygotowane, zabrała ze sobą. Tego srebrnego pierścienia Dzai nie dałam, kolczyków też nie. Mam dwie córki i niech każdej z nich zostanie coś po mamie. Dzaja i tak wygrzebała niemało z maminych pudełek.

Pokazałam jej miejsce, które może zająć. Rzeczy poukładała na półkach. Coś tam burczała pod nosem. To ona do mnie przyszła, mogłam ją przecież wyrzucić. Jestem o osiem lat młodsza, ale mimo to nikt nie mógłby mi wziąć tego za złe.

Kiedy mama umierała, słyszeć było tylko huk motoru i łoskot skrzynek, które Najmą zapomniiał wyjąć z bagażnika. Inaczej wyobrażałam sobie śmierć rodziców. Myślałam, że to będzie tak jak z babcią Dolgorma. To dostojęństwo, ta żałoba, która nas ogarnęła na parę tygodni. Byłam wtedy mała, pod stołem stukałam łyżką w mamine golenie, ale też to odczuwałam. Tam na dole wiało, a jedna stołowa noga skrzypiała. Mama szybko ocierała rękawem łzy po babci, odświeżne wzruszenie wypełniało cały ger. Po śmierci mamy i taty nic takiego się nie stało. Przywykliśmy szybko, że ich nie ma.

Nigdy nie zapomnę tej pierwszej kolacji, kiedy zjawiała się Dzaja. Głośno wychwalała przypalony churag i szczypała Zulę i Cecegme po rękach. Spoglądały po sobie i przewracały oczyma.

Dzaja mówiła, że z Cecegmy jest wykapany Najmą, i pytała, czy myję sobie twarz gorącym kozim mlekiem, że jest taka promienna.

O Zuli powiedziała, że mężczyźni na pewno muszą się o nią zabijać, tylko Najmę zostawiła w spokoju.

Patrzyliśmy wszyscy w swoje miski i tylko miarowe stukanie łyżek przełamywało tę wrogą ciszę. Zula nie jest żadną piękną, ale na coś takiego nie zasłużyła. Ja i Dzaja nigdy za sobą nie przepadałyśmy.

Kiedy przyjeżdżała tu z Dolgorma, miała oczy naokoło głowy, bo mała co chwila skarżyła się na dziewczyny, a ona wierzyła w każde jej słowo. Jak tylko się zbliżała, Dolgorma rzucała się z wrzaskiem na ziemię. Udawała, że coś jej się stało. Przeważnie było to kłamstwo.

Dzaja odchodziła od zmysłów, wołała Zulę i w końcu kłóciłyśmy się zdrowo, a za chwilę dziewczyny już biegały razem pomiędzy stertami argalu.

Dla Cecegmy i Zuli Dzaja zawsze była ciotką z Miasta, czy jej się to podobało, czy nie. Za każdym razem przywoziła dziewczynkom piękne prezenty, ale rzadko kiedy wzięła je na kolana, a jak przychodziły do niej, żeby

się z nimi pobawiła, to nie chciała, albo nic jej nie wychodziło. Nie użyły sobie z nią. Z Dolgorma też nie.

Między nami też wszystkie nici są pozrywane. A ja z łatwością mogę wypłeść ze wspomnień wszystkie rzemienne słowa i wyrecytować jej te zdarzenia jedno po drugim. To wszystko szczerą prawdą. Jak pogryzł mnie dziki pies, jak przez nią cztery razy omal nie zamarzłam, jak błądziłam we mgle, zanim usłyszałam nawoływania mamy, jak ktoś zjadł moją porcję, a Dzaja wykrzywiła się w cieniu jak diablik. Rzeczy, które mi zrobiła, zalegają w mojej głowie niczym gęste błoto. Nie wracam do nich, stare sprawy tylko robią złą krew. Ona też ma jakieś swoje powody, że całe życie sprzyjała Narze, a mnie zawsze smarkała za kołnierz.

Ale ja mogę opowiadać różne historie, a ona nie.

Co historia, to krzywda, ja Dzai nigdy nic złego nie zrobiłam. Nic nie może na mnie znaleźć. Te kolczyki i pierścień należały się mnie. Ja opiekowałam się mamą, ja z nią mieszkałam przez całe życie, więc te rzeczy są moje. Ona może myśli, że jestem pazerna, ale przecież nie jesteśmy nawet z jednej krwi i przez całe lata byliśmy dla siebie martwe. Żadnych miłosiernych kłamstw. Ona nie ma dokąd pójść, i tyle. Więc tkwi tutaj.

Ta jej skulona postać działa mi na nerwy, a w naszym gerze już zawsze będzie o nią za dużo. Najmą mówi, że Dzaja więcej do Miasta nie wróci.

Najmą zna się na ludziach.

Część szósta

Czasami mam wrażenie, że oprócz mnie na świecie nie ma żadnej żywej istoty. Zwłaszcza kiedy jestem długo zamknięta, a dni są szare i prawie wcale nie różnią się od nocy. Tylko tak pobłyskują jak jasne łuski na długim, ciemnym cieple węża. To zdarza się coraz częściej. Siedzę w mieszkaniu, które zostawiła mi Dzaja, i wszystko mi ją tu przypomina. Linoleum w kuchni, wydeptane wzdłuż szafek do białości, lampka rozbita od czasu, kiedy się pokłóciłyśmy, radio, które miała zanieść do naprawy, tak ciągle mówiła, a teraz już tak chrypi, że nie da się go słuchać. Chodzę od kuchni do sypialni i z powrotem i nie mogę sobie przypomnieć. Co to ja chciałam zrobić?

W kuchni jest wszędzie nakruszzone, aż trzeszczy pod nogami, a głową co chwila zawadzam o lep na muchy z mnóstwem martwych ciał. Muszę go wymienić. Muchy mogę obserwować godzinami. Machają skrzydełkami i pocierają łapką o łapkę, dopóki nie zdechną. Na kuchni już dwa dni kisi mi się wołowy churag. Kupiłam majonez i nugatowe rożki na deser, a jak podniosę pokrywkę, żeby nałożyć sobie na talerz parę łyżek, robi mi się niedobrze. Powinnam coś zjeść, ale od trzech dni nie mogę nic przełknąć. Miałam coś zrobić, ale co?

To mieszkanie jest za głośnie. Już to Dzai mówiłam. Od czasu, kiedy Baldanowie z mieszkania obok doszli do wniosku, że czterech smarkaczy to dla nich za mało, i sprawili sobie bliźniaki, a jeszcze do tego psa, nie można tu wytrzymać. Ściany są cienkie jak papier na prezenty, a w sypialni mają nawet taki wzorek. Nienawidzę tych ścian, które rozkwitają olbrzymimi pomarańczowymi kwiatami. Wywalają swoje nabrzmiałe czerwienią płatki jak bezwstydne dziwki i włożą mi do snów. Nad łóżkiem powiesiłam plakat z końmi wyścigowymi, żebym przed zaśnięciem mogła patrzeć na zieleń. Ale i tak nie mogę zasnąć.

Ile razy jeszcze przejdę przez drzwi do kuchni, żeby potem znowu wrócić do tej pomarańczowej katowni? Tysiące razy?

Za chwilę niebo robi się różowe aż po horyzont, już teraz blednie w jednym rogu, a zaraz potem ulice rozszumią się autami. Znowu nie będzie spokoju. Na pewno lada chwila rozryczy się któryś z dzieciaków Baldanów, a jak nie, to pies zacznie szczekać.

To mieszkanie jest przeklęte. Tyle wspomnień, przed którymi nie ma gdzie się schować.

O tej posrebrzanej tacy opowiadała mi Dzaja. Jej pierwsza praca, którą dostała od Żółtego Kwiatu, kiedy przyjechała z Czerwonych Gór. Wypucować ten tawag na błysk.

Tamte okulary miał Mergen do czytania. Kiedy darł gazety na papierosy, wrywał artykuły, które zamierzał przeczytać później. Te odłożone kawałki gazet z poszarpanymi brzegami potem latami piętrzyły się na półce. Jedyny zadrukowany papier, który można było znaleźć, kiedy mieszkała tu Dzaja.

Zawijam w nie obierki i wymoczone herbaciane fusy. Zostało już tylko kilka kawałków.

Kiedy mieszkała tu siostra, w jakimś przypływie entuzjazmu kupiła mnóstwo doniczek z kwiatkami.

Płaskolistne, gruboskórne, z przegubowymi łodyżkami i z kłującymi igłami. Kiedy wyjeżdżała, to było najważniejsze, sto razy mi powtarzała. Podlewać.

Ale każdy kwiatek lubi co innego, i przez to przynajmniej połowa z nich ma się kiepsko. Kiedy podlewam mało, te kłujące są zadowolone, ale płaskolistne więdną i rozpadają im się łodyżki. Kiedy podlewam więcej, w swoim żywiole są tylko płaskolistne, a reszta ciemnieje, i woda w ich doniczkach śmierdzi jak kanał.

Od ostatniego razu, kiedy je przesadzałam, na parapecie ciągle jest pełno ziemi. Zmiotkę pożyczyła Baldanowa, ten ich pies nigdy nie nauczy się wychodzić na dwór. Mówiłam jej, że nie nadaje się do bloku, ale z nią jak z małym dzieckiem. Wieśniaczka, która nigdy się nie zmieni. Okna zakleja gazetami, zamiast kupić kawałek jakiegoś materiału, a ich dzieci na klatce schodowej łażą po rurach, podciągają się na rękach z jednego końca w drugi i pluą łuskami z orzeszków cedrowych.

Moje mieszkanie też nie jest znowu takie ekstra. Kiedy Żółty Kwiat przyjechała do Miasta, w tej klitce mieszkała jakaś samotna kobieta. Synowie już pożenieni, córki powydawane, okna zaświnione, że świata zza nich nie widać, a w całym mieszkaniu smród stęchlizny i ciała starej kobiety. Żółty Kwiat zatykała sobie nos, a kąciki ust drżały jej od śmiechu. Łatwo jej poszło. Musiała tylko trochę koło tego pochodzić - i tamta była załatwiona, a do wysprzątania starczyło parę kubłów gorącej wody i mydło. To jasne, że stara długo nie pociągnie, szczyrzyła się Szarceceg. Miała nosa do takich rzeczy.

W pół roku baba się zawinęła, a Żółty Kwiat miała gdzie mieszkać. Na takie mieszkanie wieśniacy czekają latami, rozdają wódkę po urzędach, z rękawów delu wyciągają, gdzie się da, bombonierki, a przy tym i tak nie mogą być pewni, że im się uda.

Kiedy przyszedł ja, to mieszkanie już zdążyło na nowo zarosnąć brudem, a jeśli przedtem zajeżdżało starością, to teraz już całe lata zakonserwowany jest w nim Mergen. Jak ogórek w słoiku, w zakisłej woni starego alkoholu, który wżarł się w dywany, w pluszową narzutę na tapczanie, w te wszystkie serwetki na szafkach i w gąbkowe siedzenia krzeseł, obciążone pokrowcami ze stilonu, które miały wnieść tu trochę przytulności. Mergen w to wszystko wrósł.

W zakurzonej szafce za szkłem stało kilka ozdobnych moskiewskich stakanów. Kiedy Mergen odszedł, było tak samo jak z tymi szklankami. Zostało po nim puste miejsce. Kiedyś Dzaja puściła te szklanki za wódkę. Mergen wcisnął je Dzai do ręki, a za parę minut była z powrotem z Kubilajem pierwsza klasa.

W ten sposób zniknęło więcej rzeczy, Mergen nigdy nie chodził do pracy. Ale te stakany należały do niego. Z przodu miały takie jajowate kółeczko, a w nim malutki plac Czerwony. Stało ich tam sześć. Zostało po nich sześć ciemnych kręgów, wykrojonych w kurzu.

Dzaja mi o tym opowiadała. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak się sprawy mają w tej norze.

Mergena widziałam tylko raz, ale mnóstwo razy go słyszałam.

W Diwadzinie obok mnie pokój miała jedna dziwka, do której czasem wpadał. Była Chinką i nazywała się Liuli albo podobnie, i była to jedyna kurewka w okularach, jaką znałam. Kiedy czasem gdzieś je wciągnęła, była załatwiona. Zdarzało się, że jak je zdjęła, żeby opłukać w misce twarz, to nagle gdzieś przepadały. Jej skośne chinolskie oczy wyglądały bez nich, jakby się gdzieś zapadły, zatopiły w głębokich cieniach.

Wyciągała przed siebie ręce i ostrożnym krokiem ślepca człapała do swojego pokoju. Wiedziała, że w końcu je oddamy. Nie awanturowała się. Pokładałyśmy się ze śmiechu. Wyglądała tak milutko.

Z Mergenem rozmawiali po chińsku. Liuli mówiła, że odgrywają taką historyjkę. Jedna kobieta. Mergen. Zła kobieta. Dobry Mergen. Potem zły. Ukarze kobietę. Uśmiechnęła się i pokazała mi sine pręgi. Jej mongolski był wystarczający tak akurat dla dziwki.

Wiedziała, że Szarceceg ma jakiegoś faceta, i od razu się domyśliłam, że to ten sam Mergen, którego załatwia Liuli, ale że jeszcze jest w to jakoś zamieszana moja mama i moja siostra, i nie mogłam z tym dojść do ładu.

Kiedy Dzaja powiedziała mi, jak to jest z nią i z Mergenem, nie mogłam znaleźć jednego słowa, które mogłoby się jej na coś przydać. Te trzy losy są w siebie wgryzione. Mogłam powiedzieć tylko tyle, że mój tato też przyszedł z

daleka, a jeśli chodzi o to, że Mergen zdradził mamę, to zawsze w tych rzeczach decyduje o wszystkim mężczyzna.

Kobieta nie ma nic do gadania.

Przecież to nie był jej pomysł, więc o co chodzi. Tyle mogłam Dzai powiedzieć.

Ale zamiast tego oświadczyłam, że to przecież nie ma znaczenia, że z tym wszystkim żyjemy tylko raz, i zaciągnęłam ją do baru na setę.

Przesiedziałyśmy tam całą noc. Te, które pracowały w Diwadzinie, picie miały za pół ceny. Już dawno się tak nie ululałam. Jedną ręką trzymałam Dzaję za dłoń, a drugą na zmianę podnosiłam stakany i drapałam się po udach pogryzionych przez pchły.

Od początku chciałam, żeby była ze mną w Diwadzinie. Kiedy się pojawiła, myślałam, że sam Burchan mi ją zesłał. A jak przyszła po raz drugi, wtedy już wiedziałam, że nie odejdzie. Moje serce rozjarzyło się jak ułanbackie niebo od fajerwerków z okazji święta. Robiłam wszystko, żeby została. Odsyłałam do niej swoich stałych klientów, że niby sama jestem zajęta, żeby już na początku miała porządne pieniądze, a jak chciała odpocząć, bo nie była przyzwyczajona, znowu ich brałam do siebie. Z czasem każda z nas miała swoich stałych facetów, a Dzaja z nich żyła, nawet jak już mieszkała z Dolgorma.

Dolgormę nam czarny mangas nadał. Wrzód na dupie.

Zaraz polecałam do Szarceceg, żeby powiedziała Dzai o Chiroko. Ja nie mogłam namawiać siostry, żeby nasz skromny ród pozbawiała kolejnego pokolenia. Nie chciałam, żeby z moich ust padły słowa o nożu, nie chciałam wyjść na morderczynię, więc posłużyłam się Żółtym Kwiatem.

Szarceceg i tak sama musiała się zorientować, bez mojej pomocy. Dzaja jadła jak najęta, a która burdelmama chciałaby stracić jedną ze swoich najlepszych przodownic pracy?

U japońskiej czarownicy byłam dwa razy. Dwa razy poszłam do Chiroko po prośbie i z kieszeniami pełnymi pieniędzy. Za pierwszym razem niedługo po tym, jak zaczęłam pracować w Diwadzinie. Byłam jeszcze zielona i kompletnie przerażona przez ten brzuch. Wymiotowałam. Żołądek mi się skręcał, jakbym miała w nim pełno rybich płetw, a jak pomyślałam, że będę miała na karku jakiegoś małego bękarta, którego muszę kochać, to podchodził mi aż do gardła. Życie powstałe z tej białej śluzowiny, którą wstrzeliwali we mnie mężczyźni bez twarzy, co to, to nie. Takie dziecko bym zabiła. Więc już lepiej zrobić to od razu. Takie były moje myśli.

Ale nie poszłam od razu, i to był fatalny błąd.

Kiedy w końcu powiedziałam Szarceceg, gdzie idę i po co, wykrzyknęła, że wszystko będzie dobrze i żebym się nic nie bała. Chciałam sobie z tym jakoś poradzić sama, ale się bałam, więc w końcu wylądowałam w znanym miejscu, gdzie jurty mieszają się ze stepem jak palce splecionych dłoni. Biały, zielony, biały, zielony. Chasza Chiroko.

Wołała do mnie już od drzwi, ledwie mnie zauważyła. Jej ironiczne gratulacje nie zrobiły na mnie wrażenia. Chciałam jak najszybciej załatwić tę sprawę, niech sobie czarownica zrzędzi, ile wlezie. Przede wszystkim pozbyć się tego.

Z powodu dziecka byłam u Chiroko jeszcze raz, później. Wtedy wszystko poszło raz-dwa. Nawet nie musiałam u niej nocować.

Ale za pierwszym razem brzuch miałam wypuczony jak wzdęta krowa. Dziecko trzymało się w środku zębami i pazurami. Skakałam, piłam jakieś mikstury, waliłam się kamieniami po brzuchu i szturchałam się łyżką między nogami. I nic. Temu dziecku było sądzone poczuć na sobie wielkie, owłosione łapska Chiroko.

Chłopczyk był słaby, ale przeżył. Nie chciałam z nim jechać do szpitala.

Ogrzewaliśmy go w pudełku. Nikogo więcej przy tym nie było, a mnie przeszła chęć, żeby mu odebrać życie. I tak ledwie zipsał, a parę razy zrobił się taki siny i zimny, że już zwątpiłam. Bardzo chciałam, żeby wytrzymał, ale nie czułam się jego matką. Zmieniałyśmy się przy nim dzień i noc, żeby ani przez chwilę nie był sam. Mówiłyśmy na niego różnie. Kiedy Chiroko nazywała go jakimś imieniem dłużej, zaraz wymyślałam dla niego następne. Nie wolno mu było przyrosnąć do żadnego z nich. Był niczyj.

To jasnowłose niemowlę w końcu wylądowało w naszym somonie. Czerwone Góry tak łatwo nie dają sobie odebrać swoich synów. Ale to nie do mnie ten chłopiec mówi mamó. Ona nazywa się Bordzi, nie mogła mieć własnych dzieci, i wszystko odbyło się po cichu.

Te tygodnie z małym gdzieś we mnie są, w środku. Jak mu dałam palec, to go łąpał. Jak mu podsunęłam pierś, to ssał. Kiedy płakał, robiłam wszystko, żeby przestał. Potem wyszłam, bo z somonu miała przyjechać tamta kobieta, jego nowa mama. Wieczorem pudełko było puste, a następnego dnia wróciłam do Diwadzinu. Wszystko stało się tak szybko, teraz myślę, że już bym tego dziecka nie poznała. Został mi tylko w uszach jego płacz. A kiedy wróciłam od Chiroko, budziłam się w nocy i sprawdzałam, czy ktoś czuwa przy pudełku. I oddychałam z ulgą, że nie ma żadnego pudełka.

Nie jestem żadną wiedźmą, Uregmą nienarodzonych dzieci, ale potrafię patrzeć na życie jak pilot Aerofłotu na naszą stolicę. Mama by powiedziała: jak

orzeł na step pełen myszy, jak dziewczyna na swoje wyszywane rękawice, tak mówią wieśniacy. Tylko w ten sposób można odróżnić to, co dobre, od tego, co złe. Nie jestem przewrażliwiona, ale nie mam też serca z kamienia.

Wiem tylko tyle, że rzeczy są właściwe albo niewłaściwe, a kobiece łzy nie mają z tym nic wspólnego.

Ja wiem, że u Dzai nie obyło się bez łez, kiedy rósł jej brzuch i nie miała gdzie się podziać. I gdyby zdecydowała się to dziecko wykrobać ze swojego łona, też nie obyłoby się bez łez, jestem pewna. Ale przynajmniej stałoby się to, co powinno było się stać.

Taka Ojuna nigdy nie mogłaby tego zrozumieć. Ta dziewczyna wyszła za pierwszego fajtlapę, który na niej zawiesił oko, i gdyby jej macica zawczasu nie próchniała i lata nie wysuszyły miesięcznej krwi, rodziłaby jedno dziecko za drugim. Najgrzeczniejsza córeczka mamuni. Porządna jak wysprzątany ger, jak argal poukładany w stosiki. Nasza mała Ojuna. Ich Ojuna. Alty i Tulega. Mężczyzny, który zasiał dwie, chodził koło czterech, a z pola zwiózł jedną. Faceta, którego wszyscy obmawiali.

Kiedy przyjeżdżał z mamą po mnie i po Dzaję do szkoły, widziałam spojrzenia innych mężczyzn, innych tatusiów z rodzin, które Tulega uważały za błazna.

Jedna dziewczucha z rodu mandarynów, a druga wykapana ruska, o skórze, która na słońcu spala się na czerwono.

Mama potrafiła dla swoich erliców znaleźć ojczyzna, to jej trzeba przyznać. Taki ciężar nie każdy chciałby nieść.

Tato był cichy jak brzeg rzeki, jak główna aleja, zanim rano przebudzi się miasto. Ale też twardy, kiedy trzeba. Imienia Dolgorma nie dałby żadnemu z dzieci swoich erlickich córek. Dzaja mówiła, że, według niej, tato zawsze najbardziej kochał Magi i Ojunę. No dobrze Magi. Ale Ojunę? Który facet wierzyłby jeszcze swojej żonie po tym, jak już dwa razy mu się puściła? Do końca swoich dni patrzył w oczy swojej najmłodszej i nigdy nie był pewny. Moja. Bękart. Moja. Bękart.

Tak mu się to na pewno przewalało w głowie.

Dzaja najbardziej przejmowała się tym, że nie ma gdzie mieszkać. Że niby nie będzie wychowywać dziecka w burdelu i że jak ma doskakiwać do niego w przerwach między facetami. I żeby nie załapało jakichś wątpliwych nawyków, gdyby to była dziewczynka, i jeszcze że w Diwadżinie nie ma jednego łóżka, które by nie było zapchlone, i dziecko będzie miało pogryzioną buzię. Takimi rzeczami się martwiła. Od czegoś takiego zależało, czy da początek nowemu

życiu, czy też pozbędzie się tego kłębaka nie wiadomo czego. Ale zapomniała o tym najważniejszym. Kim jest ona sama.

Tak jakby nie wiedziała, jakie pochodzenie mamy my dwie, jakby słowo erlic zostawiła w Czerwonych Górach. Ale ono będzie z nami zawsze, krew ojców nigdy z nas nie wycieknie, tak samo jak z moich dłoni nikt nie zmyje krwi mojego zabitego dziecka.

Bękarcia krew. Wycisnęłabym ją sobie z żył jak sok z cytryny. Jest tak samo cierpka.

W moim ciele zawsze będzie krążyć krew ruskiego najmaczina, co handlował rybkami, a choćbym sobie przewierciła mózg na wylot, zawsze będę o tym wiedziała. Więc jak ona mogła zapomnieć? Jak mogła dalej kręcić się na tej karuzeli? Tak beztrosko. Nie wspomniała o tym nigdy choćby jednym słowem. W ogóle nie przyszło jej to do głowy.

Przed laty Dzaja mi się zwierzyła, że w Czerwonych Górach Dolgormy nie lubią.

Jeszcze się dziwi?

Ja tego swojej siostrze nie powiem.

Nie powiem Dzai, że Dolgorma nie ma taty, nigdy go mieć nie będzie i przez całe życie będzie dźwigać głaz erlica. Jestem młodsza i nie będę siostry pouczać. Ten gruzełek powinien był iść do piachu. I nie powiem tego nie przez wzgląd na Dzaję, tylko z powodu jej córki, którą rzuciłam jak kawał chudego mięsa na deskę. A płyn sobie, dziewuniu.

Ja to przecięłam. Żeby w Ułan Bator było o jednego diwadzińskiego dzieciaka więcej - co to, to nie, to postanowiłam sobie już dawno. Kiedy moje łono było jeszcze krwawe i każde nasienie chciało w nim kiełkować.

Mało której z nas to nie spotkało. Ja poszłam do Chiroko, Liuli do swojej ciotecznej babki, Inche zostawiła sobie dziecko i odeszła, Tuła też. Nigdy nie zapomnę, jak odchodziła Dzaja. Miałam akurat w pakamerze faceta, więc tylko wychyliłam się z okna. Stała przed Diwadżinem, rozpuszczone włosy rozwiewał jej wiatr, a w twarzy miała niezłomne zdecydowanie kobiety, która czuje w sobie życie i ze wszystkich sił będzie go bronić. Może mówiła sobie: moja biedna siostra, zamurowana za życia w tej zapoconej budzie. Machała do mnie, ja do niej też.

Obie się śmiałyśmy i każdej z nas było żal tej drugiej. Wtedy tak czułam.

Kiedy Mergen prysnął, urodziła się Dolgorma, a u Dzai akurat nie straszył Najramdal, większość wolnego czasu spędzałam z siostrą. Gadałyśmy o wszystkim. Robiłyśmy przegląd wszelkich możliwych diwadzińskich plotek. Śmiałyśmy się z kobiet, które były nowe i Szarceceg za wszystko je

sztorcowała, a milczeniem pomijałyśmy te z nas, które spakowały walizki i zniknęły. Tych, które odeszły z własnej woli, nie było wiele, zazwyczaj jakoś podpadły Żółtemu Kwiatu. Ale w końcu znalazło się i kilka takich. Nikt o nich nie mówił, wszystkie je podziwialiśmy.

Kiedyśmy raz tak siedziały w gościnnym pokoju u Dzai, piły kawę i chrupały słone paluszki, powiedziałam jej, że według mnie, na Dolgormie się przejechała. Dzaja potrafiła docenić, że od samego początku dałam sobie z tym spokój, do niczego się nie wtrącałam, i że wyskakuję z tym dopiero teraz. Obiecałam jej, że gdyby Dzai coś się stało, wezmę dziewczynę do siebie. Myślałam, że moje słowa ją dotkną, ale nie wyglądało na to. I na tę okoliczność się napiłyśmy.

Kobiety, które odeszły z Diwadżinu, często wracały. Jak tylko która trochę odchowala dzieciaka albo jak ją facet wyrzucił i doszła do wniosku, że lepiej płatnej pracy dla kobiety po prostu nie ma, zaraz była u nas z powrotem. My pokładałyśmy w nich wszystkie nadzieje, a tu taka zdrada. Kobietom, które wróciły, nikt nie chciał patrzeć w oczy. Były płocze jak łanie. Z drugiej strony, cieszyłyśmy się z tych ich powrotów z podkulonym ogonem. Był to dla nas kolejny powód, żeby nie ruszać się z Diwadżinu na krok.

No więc wtedy, a od tej pory minęło już więcej niż dwadzieścia ułanbackich smogowych zim, kiedy mama wyjechała, a ja zostałam sama z Chiroko, wydarzyły się takie rzeczy, że jeszcze mi się śnią po nocach, migają w pomarańczowych tapetach mojej sypialni, a te noce zamieniłabym na najgorsze momenty z facetami z Diwadżinu. Faceci przychodzili i odchodzili, ale Chiroko miałam za plecami nieustannie przez ładnych parę lat. W porównaniu ze zbitą z chropowatych desek chaszą tej czarownicy więzienie o najostrzejszym rygorze wydawało mi się luksusowym domem wczasowym.

Już nigdy nikomu nie będę opowiadać, jak to było z Dżargalem, i tak nikt tego nie zrozumie. Zrobiłam to raz, i starczy mi na całe życie.

Wszystko się zaczęło, kiedy mama wróciła w Czerwone Góry i zostawiła mnie u Chiroko. Póki z nami była mama, Chiroko robiła tylko takie czarymary, które mogły podziałać na woreczek żółciowy mamy albo na bolące zęby, z którymi ludzie do niej przychodzili, ale na pewno nie na mojego Dżargala.

Jak już mamy nie było, Chiroko wzięła mnie w obroty.

Musiałam rękami i nogami wykonywać skomplikowane ćwiczenia, które mi pokazała, a ona w tym czasie okadzała cały ger pachnącymi mieszankami, mamrotała ooom i takie inne. Dwa dni dusiłam się w tym dymie, a potem musiałam się umyć, przebrać w czyste ubranie i całą tę historię z Dżargalem opowiedzieć jej dzień po dniu, minuta po minucie, wdech po wydechu.

Powiedziałam jej wszystko.

Nigdy więcej tego nie zrobię.

A potem musiałam się rozebrać. Jeździła mi dłońmi po całym ciele. Moja prawa połowa była Dżargalem, a lewa połowa to byłam ja.

Mówiła do nich jak do ludzi. Prawą wy chłostała różgą, lewą namaściła jakimiś mazidłami, a potem na odwrót. Tego już było dla mnie za wiele. Trwało to kilka tygodni. Mówiła do mnie, jakbym była nim, a kiedy się buntowałam, jeszcze bardziej mnie w gerze okadzała. Płakałam. W powietrzu ciągle fruwało imię Dżargala i musiałam robić, co mi każe.

Mama mi przykazała, żebym Chiroko we wszystkim słuchała. Była ze mnie wtedy głupia wiejska ciemniaczka i kobiecie starszej od siebie nie umiałam powiedzieć nie. Mimo to długo wierzyłam, że to wszystko czemuś służy. Na koniec okazało się, że faktycznie służyło. Ale zupełnie czemu innemu, niż wyobrażaliśmy sobie my wszyscy, z wyjątkiem Chiroko.

Od samego początku, jak tylko przyjechałyśmy z mamą do ciotki, nie podobało mi się u niej.

Chiroko umiała być niezwykle wspaniałomyślna, ale też tak samo zimna i nieustępliwa.

Biedaka, koło którego najpierw skakała, potrafiła ni stąd, ni zowąd wyrzucić, zanim się obejrzał. Była bogata i dlatego wszyscy do niej ciągnęli, ale nikt jej nie kochał. I dzieci do niej lgnęły bardziej z powodu cukierków niż tego jej koziego śmiechu, buchającego z potwornie wielkich ust.

Jeżeli o kogoś dbam, to porządnie. Dlatego kiedy byłam nauczycielką, brałam do siebie na wakacje dzieciaki, które nie miały własnego geru, dlatego oddałam swoje jasnowłose dziecko Bordzi. Dbać o kogoś tylko tak trochę, kochać nie całkiem to już lepiej wcale.

I dlatego z Dżargalem skończyło się tak źle. On tego nie zrozumiał, ale oddałam mu się cała bez reszty.

Tego Chiroko nigdy nie umiała.

Tu przenocować jakiegoś zabłąkanego oberwańca, tam popilnować cudzych dzieci, to tak. Ale przede wszystkim wykopsać z geru każdego, kto zatrzymał się w nim dłużej, niż to kochanej czarownicy było w smak. O to się kłóciłyśmy. Myślałam, że może coś do niej dotrze. Tak mało brakowało, a byłaby najbardziej uwielbianą osobą w całej okolicy. Ale moje słowa tylko ją irytowały.

Po kilku miesiącach jej dziwnego uzdrawiania bunt mi przeszedł. A niech tam, niech sobie pomiata biedakami, ile wlezie, byleby tylko zostawiła mnie w spokoju. Ja nie byłam młodą obłąkanicą, która straciła swojego pierwszego

kochanka i myśli, że świat się zawalił. Nad głową Dżargala Burchan trzyma swoje dłonie, te złociste palce migają mu za uszami. Sama to widziałam. On jest wyjątkowy. Ale dosyć tego, bo powiedziałam sobie, że o nim już ani słowa.

Krótko mówiąc, od tego uzdrawiania Chiroko tylko mi się pogarszało. Całkiem wychudłam, jeszcze bardziej niż w czasach Dżargala, i byłam bardzo zmęczona.

Mnóstwo czasu spędzałam zamknięta z Chiroko w gerze. Przez coraz większą część dnia Chiroko zajmowała się dotykaniami. Cieszyłam się, że już nie muszę zaplatać sobie rąk i nóg na głowie jak przedtem, ale i to wcale nie było przyjemne.

Kiedy w końcu Chiroko rozchyliła del i zobaczyłam, jak zbliżają się do mnie jej obwisłe piersi z brązowymi, rozlanymi brodawkami, powiedziałam: dosyć.

Wiem od Dzai, że mama jej opowiadała, jak do mnie przyjechała, a w chaszy znalazła tylko Chiroko z Saralem i dwoma zahukanymi facetami. Podobno zrobiło jej się smutno i przez to pokłóciły się z czarownicą. Że nie powinna była spuszczać mnie z oka, i mama, gdyby się tego spodziewała, to zostawiłaby ger swojemu losowi, zostałyby ze mną i przez całe miesiące pilnowałyby mnie jak darga swojego przypisańca.

Jeszcze jedna z tych, co nigdy niczego nie podejrzewają. Zawsze myślałam, że mama i Chiroko wszystko o sobie wiedzą. Ale czegoś takiego mama nigdy się nie domyśli. Musiałyby jej inaczej wyrosnąć oczy, żeby zauważyła, że nie tylko chłopów ciągnie do obłych ud i krągłych piersi, w sam raz pasujących do dłoni.

Chiroko pewnie myślała, że tymi swoimi zabiegami jakoś mnie zmęczy, czy co. Ze jak przestanie, to zgodzę się na wszystko. O mały włos tak by się skończyło, ale jeszcze zostało mi trochę siły, żeby nie zapomnieć o honorze.

Moje łono może należeć do każdego, kto zapłaci, ale żadne takie dotykanie. Myślała, że mnie tego nauczy, ale ja nie jestem babą z wielkimi dłońmi i rękoma kosmatymi jak narzuta na tapczan. Ja bym nigdy nie obcięła swoich jedwabistych, długich włosów, ani też nie patrzę kobietom na łydki, więc któregoś ranka złapałam torbę z moimi rzeczami, z worków Chiroko odsypałam ryżu, wzięłam z półki trochę suszonego mięsa i furtką od zagrody skrzypnęłam tak cichutko, jak się tylko dało.

To było przed wieloma laty. Teraz już minęło parę zim, jak Chiroko nie żyje, więc pewnie nigdy się nie dowiem, jak to właściwie było między nią a Szarceceg.

Robiło mi się błogo na duszy, kiedy pomyślałam, że tak łatwo udało mi się uciec od tej czarownicy. Przeszłam kilka kroków, parę razy łyknęłam wolnego

powietrza, a już mnie trzymała za kołnierz. Złapała mnie pod szyją, jak policjant bandytę, który w Ułan Bator rozbija wystawy sklepowe. Nie mogłam nawet pisnąć. Ręce i nogi miałam bezwładne. Właściwie mnie niosła. A więc to są te czarodziejskie sztuczki, przemknęło mi przez głowę, zanim w gerze zwałam się na łóżko i powieki mi opadły, jakby ważyły po sto kilo.

Nie wiem, jak długo spałam. Godziny, a może tygodnie.

Wtedy zobaczyłam ją po raz pierwszy od czasu, kiedy byliśmy małe. Wylazłam z geru na ślepaka, a tu w ostrym świetle stała czarna, jakby wyrżnięta postać. Chiroko nie musiała mi jej przedstawiać. Zmarszczki, które przedtem tylko się zapowiadały, teraz zgrubiały w bruzdy, twarz wychudła, a usta ściągnęły się w dwie blade kreski, ale poza tym wciąż była to ona, Żółty Kwiat. Zawołała mnie po imieniu, a potem mówiła już Chiroko.

Że nikt mnie tu siłą nie trzyma i jeżeli mi się nie podoba, to droga wolna. Uśmiechała się, i Szarceceg też. I że jest taka jedna okazja, szkoda byłoby ją odrzucić. Puściła oko do Żółtego Kwiatu, a ta zaczęła się rozwodzić o plusach pracy w kombinacie mięsnym.

Przybiłyśmy piątkę, a Chiroko na pożegnanie dała mi buziaka.

To miało ręce i nogi - żeby wrócić w Czerwone Góry, jak zarobię jakieś pieniądze. I wcale tak bardzo mi się tam nie śpieszyło.

Dzai już wtedy nie było, a jak zobaczyłam Ojunę na jej ślubie, to miałam dosyć na parę lat do przodu. Mama na pewno cały dzień stała przy garach, bo co mogła robić innego, i jak zawsze wszystko w gerze i koło niego miała w małym palcu. Tak naprawdę najbardziej chciałam zobaczyć tatę. Ale nie byłam jego, więc wątpię, żeby i on też tego chciał.

Dzaja nie wierzyła, kiedy jej mówiłam, że Chiroko i Szarceceg się znają. Czy raczej że były w zмовie. To jej się nie mieściło w głowie. Być może Chiroko naprawdę myślała, że wysyła mnie tam, gdzie będę urzynać baranom łby. Każdy, kto się zetknął z Szarceceg, był przekonany, że pracuje w kombinacie mięsnym.

Żółty Kwiat bez wątplenia miała jakieś dobre cechy. Jak na kobietę nieźle sobie radziła, a przez to, że była twarda, cały burdel chodził jak zegarek. Mieszkania też przecież nie musiała zostawić Dzai.

To mieszkanie, co prawda, siostrze spuścił Mergen, ale która baba będzie słuchać faceta, co przez całe lata nie przyniósł do domu złamanego grosza.

Kiedy któraś dziwka z Diwadżinu wpakowała się w jakiś pasztet, Szarceceg starała się jej pomóc. I jeszcze umiała trzymać język za zębami. Dziewczyny o tym wiedziały. Kiedy Liuli spodziewała się dziecka, poszła z tym do niej. Ja dowiedziałam się o tym, dopiero kiedy Liuli wróciła po paru dniach od swojej

ciotecznej babki i puściła farbę przy butelce. Jeżeli powiedziałyby to któreś z nas, a nie Szarceceg, za parę godzin wszystkie by ją wytykały palcami. A tak miała spokój, i jeszcze do tego parę słów pociechy.

Na samym początku pracowałam w guandzu u Erki. Szarceceg ją знаła, a Dzaja wyrobiła naszej rodzinie w kuchni dobrą opinię. Szarceceg znała każdego. Jej szpony przenikają całe Miasto. Ja nie wierzę w takie przypadki.

Żółty Kwiat mówiła, że muszę się pozbyć naszego somonowego dialektu, i pchnęła mnie w pulchne objęcia tłustej Erki. Kiedy pokazała się znowu po paru tygodniach, błagałam ją na kolanach, żeby mnie stamtąd zabrała. Gdziekolwiek. Ja nie miałam zamiaru wypocić z siebie duszy nad garami. I tak nie nauczyłam się żadnego porządnego dialektu. Mój język był i jest czysty. Znowu jakieś sztuczki Szarceceg.

Jeżeli chciała, żebym jej padła do nóg, to swój cel osiągnęła. Chciałam się wyrwać z guandzu jak jeszcze nigdy przedtem znikąd. W Diwadzinie przynajmniej kobieta ma pieniądze.

Jakieś opryskliwe babsko pokazało mi, jak wycierać stoły i zmiatać mokre skorupy, żeby nikt tego nie zauważył. Po trzech tygodniach mogłam roznosić napoje, a po kolejnych dwóch miesiącach już miałam swoją kanciapę na górze. Nawet nie wiem, czy Szarceceg to wszystko tak zaplanowała. Kiedy zobaczyła, jak faceci wciskają mi za dekolt pieniądze, zapytała, czy nie chciałabym mieć swojego pokoju, tak jak inne.

Czerwone Góry bardzo szybko uleciały mi z głowy. Ta praca odciska się na twarzy. Widziałam to, dzień po dniu. Mówiłam sobie, odejdę. Z przekonaniem obiecywałam to sobie w każdy Nowy Rok. Tak to jest. Tak właśnie kobiety, które nie mają silnej woli, obiecują sobie gruszki na wierzbie.

Przecież nikt mnie tam siłą nie trzymał. Ale miałam takie pieniądze, jakich moje koleżanki w somonowym centrum nie widziały na oczy przez całe życie. Spodobały mi się krótkie koronkowe spódniczki, delikatne niemieckie parówki w puszkach i koreańskie szminki, które nie schodzą przy całowaniu. Miałam ich całe p udełko. Kochałam pieniądze. A bardziej od nich tylko jedną rzecz na świecie. Przez wszystkie te lata, a było ich więcej niż dwa razy tyle co palców obu rąk, na mojej drodze świeciła żółtym światłem, jak wieża telewizyjna w Ułan Bator, twarz mojego ukochanego. Mój najpiękniejszy sen był i jest o tym, że zjawia się Dżargal.

Kiedy parę lat temu Anra rozpo wie działa, że będzie mieć dziecko, nikt jej nie wierzył. Czekala na to ponad dwadzieścia lat. Dzaja mi o tym mówiła. Uregma Ulanceceg zaprosiła wszystkich bliskich do siebie na budzową ucztę.

Była tam też Ojuna, a Anra naprawdę obnosiła się dumnie z brzuchem. Teraz dzieciak miałby jakieś pięć lat.

Rzeczy, w które nikt nie wierzy, czasem się zdarzają, a ja jestem cierpliwa.

Jeśli o to chodzi, to trzeba oddać Chiroko sprawiedliwość. Kiedy okradli ją z mamy, którą wysłali gdzieś do krewnych, a babcia Mira w ten sposób straciła swoje pierworodne dziecko, to nikt by nie uwierzył, że Chiroko odnajdzie naszą babcię. Dzieliły ją od Miry setki kilometrów piaszczystych wydm i trawiastych przestrzeni bez jednej ścieżki. A i tak się znalazły. Chiroko wyruszyła w drogę i po tygodniach tułaczki stanęła przed cudzym gerem: no to jestem. Według Chiroko, żeby dziewczyna znalazła swoją mamę, która łomocze garnkami gdzieś na drugim końcu Mongolii, nie potrzeba ani zaczarowanego lusterka, ani skrzydlatego konia. Chiroko trzymała w domu mnóstwo jakichś wróżydeł i czarodziejskich fidrygałek. Zwierzęce kości powiązane w kanciaste wiązki, kolorowe zęby, gałęzie, które wyglądały jak pokrzywione ludzkie ramiona. Ale machała na to ręką.

To tylko po to, żeby to wszystko jakoś wyglądało. Wzięła dwie krowie kości udowe i walnęła jedną o drugą, a potem jeszcze raz. Śmiechu warte.

Nie na tym cała rzecz polega.

Kiedy Chiroko umarła, Szarceceg o tym wiedziała. Przyszła do mnie i powiedziała: już po czarownicy. Dała mi kartkę ze sprawami, które mam załatwić, i na cztery dni zapadła się pod ziemię.

To było mniej więcej wtedy, kiedy Dzaja odchodziła przez ten brzuch. Po miesiącu przyszła pokazać małą, a ja zaczęłam ją odwiedzać. Płukałyśmy pieluchy i przerzucały jedna drugiej niemowlaka, który nie mógł wytrzymać przez chwilę sam. Kiedy Dolgorma miała jakieś pół roku, akurat zapadał wieczór i zbierałam się do wyjścia, Dzaja powiedziała, że idzie ze mną. Odląła trochę z butelki, namoczyła kawałek szmatki odciętej z koszulki i dała to małej do ssania. Dolgorma przez chwilę kwiliła, ale zanim zdążyłyśmy włożyć kurtki, już spała.

Kiedy za ścianą drą się bliźniaki Baldanów, zawsze mam ochotę przejechać się po Baldanowej. Ma gdzieś innych ludzi.

Ale ja już się do tego przyzwyczaiłam. Znam to najlepiej z Diwadżinu. Kiedy przychodziły nowe dziewczyny i nagle okazywało się, że jestem stara. Na początku im pomagałam, a potem widzę, jak moi stali klienci walą do innych drzwi. W kilka lat podebrały mi większość chłopów, a przy tym same były skóra i kości. Tamci woleli twarde żrebiące półdupki niż mój tyłeczek, miękki jak poduszka. Faceci nie mają gustu.

Dzaja niemal do końca miała kilku swoich stałych gości, a jak trochę spuściła z ceny, całe lata trzymało się jej paru oszczędnych facetów, takich na dłuższą metę. Rzuciła to wszystko w cholerę dopiero wtedy, kiedy uciekła Dolgorma.

Zresztą i tak nikt już by na nią nie spojrzał. Postarzała się, twarz jej się zapadła, a ciało nabrało kluchowatych, nieforemnych kształtów, jak to u starej baby. Dawniej niektórzy mówili, że jest ładniejsza ode mnie. Pogrzebała się za życia. Nie powiedziałam jej tego, ale było to widać coraz bardziej z każdym tygodniem. Wiedła jak te płaskolistne, kiedy je za mało podleję. Robiła się ociężała od wiecznego siedzenia, a oczy miała czerwone z niewyspania. Ja od razu wiedziałam, że dziewczyna wróci i że Dzaja może sobie darować tę całą mękę. No i tak było. Trwało to, co prawda, ponad rok, ale do mamy w końcu każdy kiedyś zatęskni. Nawet ja. Ale po mnie w Czerwonych Górach pies z kulawą nogą nie westchnie. Za to Dolgorma bardzo dobrze wiedziała, że Dzaja żyje tylko nią i że jej każda minuta jest pełna napięcia, czekania na szcęk kluczy, na ten krok przez próg, który miał ją jej przywrócić. Nawet nie chciała ze mną wychodzić. Codziennie szykowała Dolgormie łóżko, a co tydzień zmieniała pościel, żeby panienka, jak wróci, miała wszystko przygotowane.

Dzaja wtedy nie powiedziała mi prawdy. Mówiła, że się z Dolgorma pokłóciły. Nie wspomniała, że w końcu po tych wszystkich latach pełnych kręcenia mała dowiedziała się prawdy. Nie powiedziała, że dziwka już nie było dla niej nieznanym słowem. Ja Dzai od początku mówiłam, że źle robi. Przecież to nie mogło się skończyć inaczej. Wstyd i kłamstwa chodzą ręką w rękę. No i dostała za swoje. Dzaja nigdy nie umiała używać dobrego, ale nie zapominać przy tym o rzeczach nieprzyjemnych. A wszystko ma dwie strony.

Porządna ułanbacka kobieta zawsze jest bez pieniędzy.

Przecież mogła odejść. Nie chciała.

No to po co tyle płaczu i oskarżeń?

Ale niech będzie, jak chce, i tak na całym świecie nie ma nikogo takiego jak Dzaja. Kogoś, przed kim nie muszę mieć tajemnic.

Teraz już od jakiegoś roku wysługują się nią w gerze u Ojuny, więc nie za bardzo wiem, jak jej się wiedzie. A co by tam się mogło dziać? Szczyty Czerwonych Gór zatrzymują czas.

No więc tak tylko dotykam rzeczy, które zostały tu w mieszkaniu po Dzai, i myślę o jej policzkach, co kiedyś były pucołowate jak bużki maluchów z Kantonu, a zostało z nich tylko trochę luźnej, miękkiej skóry. Chodzę od kuchni do sypialni i z powrotem, bo na powykrzywiane uśmiechy pomarańczowych kwiatów na tapetach właśnie zaczęło padać ostre poranne

światło, i cały pokój jest ich pełen. Ściągnęłam lep na muchy i powiesiłam nowy pasek żółtego, kleistego papieru. Ma kolor kartek z zeszytów moich dzieci w szkole. Narana, Churaj, Batamdżaw, Dawdan, Nogonceceg.

Te imiona należą do mężczyzn i kobiet, których już nie znam. Niektórzy moi byli uczniowie mają dzieci większe, niż wtedy byli sami. Nie chciałabym patrzeć w obce twarze, którym przypisane są imiona moich dzieci.

Nie chciałabym wrócić. Nikt już tego nie oczekuje, i to przynosi ulgę.

Chiroko załatwiła rzecz całkiem zręcznie. Jakby wiedziała, że to, co stało się u niej w chaszy, u Szarceceg będzie bezpieczne. Zamknięte jak w sejfie. A klucz kołysał się Żółtemu Kwiatu na szyi, ale biada temu, kto spróbowałby po niego sięgnąć.

Z drugiej strony - trzeba chronić swoich bliskich przed złymi rzeczami.

Mama mieszkała za górami, w życiu nie mogłaby się niczego domyślić, to, co miała, to było jej własne Miasto. Te wszystkie olbrzymie wieże chłodnicze przy elektrociepłowni, bloki z płyty, trąbiące trolejbusy i uliczne handlarki - to wszystko było w nim małe. Mieściło się w dłoni jak kuleczki pieprzu. W tym mieście żadna z jej córek nie wystawiała się na sprzedaż, żadna z jej siostr nie knuła intryg. Nie było tam nawet tego cholernego mieszkania, przez które przewinęliśmy się wszyscy. I właśnie tak ma być z rodzicami. Tylko to, co dobre.

Tyle rzeczy wiem o młodych i o starych, a wszystko to jest tak jakby. Mnie już przy tym nie było, kiedy mama i tato zaczęli się starzeć, a sama dziecka nie mam. Właściwie mam i nie mam. To już dorosła kobieta, ale słowo to słowo. A ja to słowo dałam Dzai. Gdyby coś się jej stało i Dolgorma zostałaby sama, że się nią zajmę. To właśnie sobie powiedziałyśmy i oblałyśmy to mnóstwem staków, i tyle razy się objęłyśmy, że musiałabym obciąć sobie głowę, żeby o tym nie pamiętać. Ale i tak wiecznie jej nie ma.

Ja Dolgormie nigdy nie łągałam w żywe oczy, i dlatego mnie nie unika, a Dzai odpłacała pięknym za nadobne. Nie wiadomo, co robi po całych dniach, ale czynsz i inne opłaty dzielimy pół na pół, więc nie może się tylko szlajać po ulicach. Trudno mi się pozbyć przekonania, że Dolgorma nie powinna się była urodzić. Dzaja chciała mieć dziecko, i tyle. A teraz dziewczyna została sama. Ja jestem tylko jej ciotką, jeszcze do tego erlicką, nie chcę i nie mogę być niczym więcej. A bardzo wątpię, żeby Dolgorma znalazła swojego tatę, jak kiedyś Chiroko Mirę.

Ale go szuka. Każde małe dziecko potrzebuje taty. I nie da się przekonać. Oczir jest żonaty, ma na karku dwoje dzieci, a ta ciągle za nim łązi. Pokazała mi zdjęcie. No, facet jak facet, powiedziałam. Zachmurzyła się i wcisnęła je z

powrotem do kieszeni. Nawet nie jest przystojny, do tego zajęty i za stary dla niej. Kopnie ją. Jakby nie wiedziała, jak się rzeczy mają.

Anrze, córce Uregmy-Ulanceceg, to wymodlone, wyświętowane dziecko urodziło się martwe. Była za stara. Jeszcze starsza niż Soldo, która dała krótkie życie niedorozwiniętej Małej, zanim po kilku latach Bur chan wziął ją z powrotem do siebie. Cuda nie zdarzają się znowu tak często, a w naszej rodzinie wszystkie zgarnęła babcia Dolgorma i japońska czarownica. Dla mnie i dla Dzai nic już nie zostało.

Dzaja jest za służącą u naszej małej Ojuny, a ja się boję, że się tam zakopie. Ale wytłumaczyć jej, że nie powinna była jechać, na to mam za mało giętki język.

Z drugiej strony, kiedy do mnie przyjechała ostatnim razem, wyglądała na zadowoloną.

Miała na sobie znoszony del niczym jakaś wieśniaczka, która nie wyściubiła nosa ze swojego ajmaku, i siwy warkoczyk zapleciony w żytni kłos, zupełnie tak samo jak kiedyś mama. W tłoku pomiędzy autobusami na głównym wazale w ogóle bym jej nie zauważyła. Podobno zajęła się dzierganiem i ubrała już wszystkich w gerze Ojuny. Wzięła i ze mnie miarę, ma mi zrobić jakiś beżowy kaszmirowy łach i przywieźć następnym razem. Na pewno przytarga dwa i jeden będzie wciskać Dolgormie. Ze też sobie nie odpuści. Między nimi jest koniec raz na zawsze, więc ja muszę relacjonować Dzai, co tam u Dolgormy. Mówię, że ma się dobrze. Nie mam zielonego pojęcia, jak się ma, i chcę wierzyć, że całkiem nie kłamię. My się sobie nie zwierzamy.

Przecież Dolgorma też nie wie, że ciągle czekam.

Chodzę po mieszkaniu z jednego końca w drugi jak konduktorka, co przedziera bilety w trolejbusie, i dotykam rzeczy. Czuję, że jest już gdzieś całkiem blisko. Cierpną mi ręce, a to zawsze coś znaczy.

Już wiem. Miałam się przebrać w coś lepszego. Na powitanie.

Skąd mogę wiedzieć, kiedy to będzie. Mam tyle cierpliwości, że mogłabym ją rozdawać.

Czasami chodzę trochę pomóc w sklepie naprzeciwko. Kiedy za ladą pakuje mięso, za każdym razem wchodzę na skrzynkę, żeby lepiej widzieć ponad głowami kupujących kobiet.

Kiedy jestem w domu, nie może mi uciec. Ciągle spoglądam przez okno, a jego kroki rozpoznam przecież pośród tysięcy innych. Nastawiam uszu.

Prędzej czy później Dżargal się pojawi.

Część siódma

Nie było się nad czym zastanawiać. Wszystkie moje rzeczy zmieściły się w jednej wielkiej torbie. Pieniądze powciskałam sobie do butów i wypchałam nimi wszystkie wewnętrzne kieszenie delu. Moje oszczędności nie były wielkie. Przez cały ten rok, kiedy nie widziałam Dolgormy nie pracowałam, a poobstawiać sobie kuchnię butelkami po wódce to w końcu też coś kosztuje.

W miarę tego, jak czas mijał, docierało do mnie, że to czekanie może trwać bez końca. Całe miesiące chodziłam z modlitwami, a moje dni nabrały rytmu.

Kiedy było ciepło, z przedpokoju wynosiłam na balkon składane krzeselko i patrzyłam, jak promienie przesuwają się po sztachetach z jednej strony ogrodu na drugie. Kiedy zrobiło się chłodniej, siedziałam w kuchni na miejscu Mergena i z czajnika nalewałam sobie herbatę, kubek za kubkiem. W ciągu jednego popołudnia mogłam wypić trzy albo cztery czajniki.

Co drugi dzień chodziłam po zakupy, codziennie nosiłam do Gandanu modlitwy.

Czasem wpadła Nara, ale już nie tak często jak kiedyś. Zajmowała się Diwadzinem, bo Szarceceg się zestarzała, siedziała tylko w swojej kanciapie pod schodami i coraz więcej spraw przekazywała Narze. Nara i tak już nie miała mężczyzn, więc musiała pilnować, żeby na dole w barze nie zabrakło picia, żeby dziewczyny miały zawsze czystą pościel i żeby każda była tam, gdzie ma być. Została burdelmama, po Szarceceg, więc często nie miała kiedy do mnie zajrzeć.

Zresztą ze mną nie dało się rozmawiać.

Mnie nie interesowało, ile nowych dziewczyn przewinęło się przez Diwadzin, a z kolei ona nie miała nerwów w nieskończoność wałkować ze mną temat Dolgormy. Najramdał też się poddał. Parę miesięcy jakoś wytrzymał, ale potem przychodził tylko, kiedy czegoś potrzebowałam. Przyszedł, pomógł i wyszedł.

Kiedy Dolgorma wróciła, akurat nie było mnie w domu.

Przekręcam klucz, a tu w środku stoją jej rozdeptane buty. Dostałam mdłości. W mieszkaniu panowała cisza. Już w przedpokoju chciałam krzyknąć: Dolgormo! ale mój głos zmyły łzy, które po szyi spływały mi w dół. Bałam się ruszyć z miejsca, żeby nie spłoszyć tej chwili, żeby buty Dolgormy znowu nie zniknęły, żebym się nie przebudziła. Z kuchni wyjrzała jej głowa i zaraz się schowała.

Dolgorma nie odzywała się do mnie. Nawet po kilku dniach.

Jakże szczęśliwe były w porównaniu z tym całe te długie miesiące. Czekałam, żeby wróciło do mnie słońce, i wszystkie moje myśli biegły prosto w jej objęcia. Kiedy się obejmiemy, już nic w moim życiu nie może boleć. Byłam gotowa wszystko jej wybaczyć, nawet przyganić sobie samej, ale coś takiego ścięło mnie z nóg. Ani słowa. Unikała mojego wzroku. Siedziała w kuchni i słuchała radia, prała, czesała się, wychodziła rano i wracała wieczorem. Rozbierała się, ubranie rzucała na krzesło i trzaskała za sobą drzwiami od pokoju. Nawet usta jej nie drgnęły, nic. Patrzyła na mnie jak przez szkło wystawy sklepowej, mogłam stawać na głowie albo udawać obrażoną, wszystko na nic.

W Czerwonych Górach o tym nie mówiłam. Ojuna, jaka jest, taka jest, ale wie, jak z ludźmi postępować, więc nikt ze mnie nie wyciągał powodów mojej decyzji. Przyjęli mnie z powrotem jak zbłąkaną owcę, którą znowu otoczyło jej dawne stado. Żadnego wypytywania.

Ostatnią deską ratunku, której chciałam się chwycić, była Nara. Zaprosiłam ją do nas i wyszłam z domu na cały wieczór. Żeby pogadała z Dolgorma i potem powiedziała mi, co i jak.

Kiedy szłyśmy z Narą na dworzec, po drodze kupiłam jakieś prezenty na Czerwone Góry. Nie powinno się przyjeżdżać bez prezentów. Latarki, świece, różne miski, klamerki do włosów i osełka do noży. Nara powiedziała, żeby nikogo od niej nie pozdrawiać i żebym po drodze uważała na swoje rzeczy.

Ich rozmowa nie przywróciła mi Dolgormy. Kiedy w nocy przyszłam do domu, leżała na dywanie przed telewizorem. Najbardziej beznadziejny program był lepszy niż ja.

Siedziałam w kuchni i obracałam w dłoni nóż. Przesiedziałam tak nie wiem ile czasu.

Nóż nabrał ciepła i obracał się w mojej dłoni jak żywy. Jeździłam palcem po ostrzu i obracałam rękojeść na wszystkie strony. Drewno szczyrwieciało i było wyświechtane na czarno od tych wszystkich rąk, które tym nożem cięły baranie ścięgna. Nóż należał jeszcze do tej kobiety, którą wykurzyła Szarceceg. Najpierw namówiła starą, żeby przepisała na nią mieszkanie, a potem zabrała jej klucze i wysłała ją do krewnych. Tamta dała się prowadzić za rączkę jak dziecko. A w oczach Szarceceg migwały przy tym wszystkie złe mangasy. Ze nikomu ani słowa. Była sprytna, zawsze była sprytniejsza od innych.

Ten nóż trzymał w dłoni i Mergen. Szarceceg służył do robienia baranich churagów, a on walił nim w stół, jak miał swoje napady wściekłości. Jego miejsce było pobrużdżone niczym wysłużona twarz wieśniaka, jak jego twarz, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Kiedy weszła Dolgorma, ustawiłam nóż pod

słońce. Musiała widzieć ten odblask. Zniknęła w pokoju obok, potem zaskrzypiało łóżko, a później znowu miazdząca cisza. Położyłam nóż na stole, ale moje ręce dalej się nim bawiły.

Kiedy podniosłam głowę z blatu, Dolgorma właśnie wychodziła. Było rano. Zawołałam za nią. Trzasnęły drzwi.

Nie ma co się przejmować, nie zasłużyłam na żadne wyrzuty. Gdyby Dolgorma miała dobrej woli choćby tyle co brudu za paznokciem, mogłabym dla niej przenosić góry. Powybijałabym wszystkie okna w kombinacie mięsny, pomalowałabym siedzenia w trolejbusach na czerwono, jej ulubiony kolor, ze szczytu wieży radiowej ściągnęłabym dla niej czerwoną chorągiewkę. A to byłby dopiero początek.

Ale to był koniec, więc pojechałam z powrotem tam, gdzie kamienie i rośliny dawno już mnie zapomniały, a dzieci przekręcały moje imię. Gdzie horyzont nie miał końca, a latem skały były ciepłe długo po zmroku i pachniały jaszczurkami.

W przedpokoju na szafce zostawiłam Dolgormie zaklejoną kopertę z pieniędzmi i pozdrowieniami. Wszystko jej powiedziałam, ale spojrzenie mojej córki zamarło zmijowato zwinięte w kącie, a ja nie miałam pewności, czy czasem uszu nie ma tak samo zamkniętych jak serce, które biło tylko wtedy, kiedy mnie nie było w pobliżu.

Nara poszła ze mną na dworzec. Każda z nas trzymała jedno ucho torby. Zwinięte pieniądze uwierały mnie w butach, a w delu czułam się niespecjalnie. Nara obiecała, że zajmie się Dolgorma, a jakby znowu przyszedł Najramdal, to mu powie, że wyjechałam, i jeśli ma ochotę dalej naprawiać ubikację i kapiące krany, to od tej chwili może to robić dla Nary, bo teraz to mieszkanie należy do niej.

Dwa dni przed odjazdem w mojej przegródce na poczcie pojawiła się cienka, pognieciona koperta. Mergen nie żył. Powiadało o tym koślawe pismo. Podpis, który nic mi nie mówił, a na wierzchu wielki, czerwony kitajski znaczek. Mogłabym pójść na nasze miejsce, gdzie w Czerwonych Górach zostawiamy zmarłych, i wyszeptać kamieniom te obce, dziwne słowa. Ale mama dawno przeszła przez nie wiadomo ile żołądków dzikich zwierząt, a rodzinie Ojuny nic do tego. Powiedziałam o tym Narze. Śmiała się, że takie zawiadomienie nigdy nie przyjdzie, jeśli chodzi o najmaczina od rybek.

Nara mówiła, że zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, gdyby miała zrobić coś takiego.

Myślała, że nie mówię serio. Wracać po tylu dziesiątkach lat. Bez mężczyzny i bez dobrego powodu, żeby zająć łóżko w gerze Ojuny. Przyjechać

tak, jak się stoi, z jedną torbą, niby młoda dziewczyna, chociaż siwe włosy zdradzają kobietę, która nie ma gdzie się podziać. To by mnie zabiło, mówiła.

Gdybym miała w Mieście jeszcze jedno mieszkanie, też bym w nim nie została. Zaczął mi przeszkadzać ten hałas i szybkie auta. Właściwie mówiłam to sobie już wcześniej, zanim Dolgorma wróciła. Jak auta jechały jedno za drugim, to w kuchni dźwięczały szklanki. Zanim Dolgorma odeszła, ciągle ze sobą rozmawiałyśmy. Od rana do wieczora. Bez przerwy, i dlatego tego nie słyszałam. Kiedy mieszkanie jest ciche, nagle słyszać mnóstwo hałasów. Co sekundę tykał kuchenny zegar, w słoikach z płatkami owsianymi szeleściły mączniaki, a kran w łazience co chwila kapał. Cisza z Dolgorma była strasznie głośna, a ja już tak dalej nie mogłam. Poza tym ja nie myślę tylko o sobie.

Nara w Diwadżinie miała jeden mały pokój. Ja miałam mieszkanie, które nie było mi miłe. Nie będę się przecież rozwalać na pokojach, kiedy moja siostra w swojej klitce może pomieścić tylko skotłowany dupodajski barłóg. To było najważniejsze. I dlatego wyjeżdżałam bez bólu serca. Co tam ja.

Mojej siostrze należy się własny kąt po tych wszystkich latach. Tak sobie mówiłam. I jeszcze, że jak na jakiś czas się usunę, to Dolgormie przejdzie ta głupia złość i wszystko będzie po staremu.

Pamiętam, jak kiedyś Dolgorma złapała żółtaczkę. Zawsze jej powtarzałam, żeby darowała sobie chuszury z małych guandzów w przejściach między blokami. Powiedziała, że zmusiła ją Inche. Że jak nie zje, to nie będzie się zadawać z taką ważniaczką. Były jeszcze małe.

Potem Dolgorma przeleżała ładnych parę tygodni najpierw w szpitalu, a potem jeszcze w domu. Przynosiłam wszystko, czego się jej zachciało. Kupowałam jej rosyjskie pisemka dla dzieci z obrazkami, dużo lodów i pluszowych zabawek. Pod poduszką miała co najmniej pięć kudłatych psów i całą kupę drogich lalek. Jedna umiała chodzić i mówić. Kiedy ją sobie przypomni, to się pogodzimy. Albo telewizor. Takiego wielkiego, i jeszcze do tego z Japonii, w jej klasie nie miało żadne dziecko. To ona mnie namówiła, kiedy poszłyśmy do domu towarowego po buty.

Albo Nowy Rok. Za każdym razem Nowy Rok obchodziłyśmy z Dolgorma dwa razy - mongolski i rosyjski. Żeby było więcej przyjemności i dobrego jedzenia. Mogę policzyć na palcach, ilu ludzi w Mieście tak robi. Ilu ludzi w Mieście chciałoby dla swojego dziecka tyle radości. Kiedy jeszcze byłam do rzeczy, a to właśnie przez tę rozpieszczoną dziewczynę te czasy dawno minęły bywało, że nie chodziłam wieczorem do Diwadżinu. Tak po prostu. Nie tak znowu często i Szarceceg przymykała na to oczy, ale mimo wszystko. Która kobieta robi to dla dziecka? Dzieciaki, które latają po ulicy, mogłyby coś o

tym powiedzieć. Tato z pasem albo non stop pochylony z kumplami nad bilardem, a mama albo zalana, albo ani śladu po niej. Że takie dzieciaki zwieją z domu, jasna sprawa. To bym mogła zrozumieć.

Może mama i miała rację, kiedy mówiła, że za mało gonię Dolgormę do pracy. Ta dziewczyna nigdy nic nie musiała. Gotowane jagniątko same jej wskakiwały prosto do brzucha.

W somonowym centrum przypadkiem spotkałam Najmę. Ojuna go wysłała, żeby kupić jakieś rzeczy do szycia, więc się z nim zabrałam. Dżip był zakurzony i unosił się w nim kurz, a na szybie można było pisać palcem. Narysowałam ger i pokazałam Najmie. Tylko uniósł brwi. Było to głupie. Droga się wlokła, milczeliśmy.

Przypomniało mi się, jak pierwszy raz jechałam samochodem. Albo raczej byłam już wystarczająco duża, żeby to zapamiętać. Pewnie przez to, że wiozł mnie Churem, tato mojego kolegi z klasy, też Churema, który mi się podobał. Ten duży, nie ten mały. Stary Churem nosił filcowy kapelusz, a pod delem miał rozłożyste brzuszysko. Wydawało mi się jakieś takie sympatyczne, a kiedy się śmiał, trzęsło mu się, jakby kto wytrząsał z obrusa okrucy. Bardzo chciałam zobaczyć ten brzuch goły.

Powiedziałam o tym Najmie. Zapytał, ile miałam lat. Jakieś osiem czy dziewięć.

Najmą znowu uniósł brwi. A właściwie tylko jedną. Zauważyłam, że ma już od tego na czole dwie głębokie, nieregularne bruzdy. Pomyślałam, że powiem o tym Ojunie.

Najmą wziął moją torbę i szybkim krokiem ruszył w stronę geru. Nie czekał na mnie, a ja za nim nie nadążałam. Musiał myśleć, że wpadłam tu tylko na chwilę. Już było lato.

W gerze od razu zauważyłam parę rzeczy.

Niektóre z podpór świeżo pomalowano, przy wejściu wisiały siodła, których nie znałam, a fotografie rodziców, które zawsze stały koło Burchana na stoliku na wprost drzwi, były sfalowane jak blacha z ogrodzeń w Ułan Bator. Ojuna powiedziała, że wpadły Anrze do miednicy z wodą, jak ostatnim razem była tu w odwiedzinach. Kiedy Anra mówi o dzieciach, to zawsze trzęsą jej się ręce. Ojuna o tym wie, więc nie rozumiem, dlaczego pozwoliła jej stać z tymi zdjęciami nad miednicą. Tato i mama nie zasłużyli sobie na taki brak szacunku. Ich twarze są teraz pokurczone, oboje wyglądają na tęgich, a nigdy tacy grubi nie byli. Powiedziałam jej, co o tym myślę. W końcu jestem starsza. Najmą znowu uniósł brew.

Przyszło mi do głowy, że jeżeli dalej będzie się tak zachowywał, to chyba nie udało mi się uciec od głośnej ciszy w moim sansarskim mieszkaniu.

Ciągle jeszcze nic im nie powiedziałam. Że zostaję na zawsze. Gem mamy nie rozebrali, stoi. Tylko go trochę przysunęli do swojego i oddali go mnie. Że jest dla gości. Nie podejrzewali, że już się stąd nie ruszę.

Kiedy obudziłam się pierwszego ranka, od ziemi ciągnęło, jakby była z żelaza. Zanim stara kobieta się przyzwyczai, musi upłynąć trochę czasu.

Kiedy przyjechałam do Miasta, dawały mi się we znaki nocne światła. Budziłam się, kiedy nocą po ulicy jechało auto. Dolgormę warczenie samochodów zawsze uspokajało. Ranki w Mieście nigdy nie są tak ostro niebieskie jak w stepie. To migotanie kłuje w oczy. W Mieście dzień jest stłumiony. Słońce jest wiecznie za domami, a resztki promieni w dymie z aut i kominów rozlewają się miękkim, obłym światłem. W stepie słońca nic nie zatrzyma. Nawet ten gwiazdny, ciemnoniebieski chłód. Tak było tego pierwszego stepowego ranka po długich latach w Mieście. W ten odświeżony ranek trochę dłużej sobie poleżałam.

W gerze zostało jeszcze trochę rzeczy taty i mamy. Blaszone pudełko na herbatniki, które kiedyś wydawało mi się takie duże, kilka złożonych, wytłuszczonych koców, na półce parę niebieskich czarek, o których mama mówiła, że są od święta, i jakieś papiery tak samo poharmonijkowane jak fotografie rodziców. Nigdy nie był to dobry ger. Trudno się go stawiało i ważył tony, kiedy wołoki nasiąkły wodą. Tato go kupił, bo był dość tani jak na ośmioboczny, a potem kłął przy każdych przenosinach. Mroczny krąg pośrodku stepu. Nocą od środka ciemny jak przepołowiony czarny balon, a w ciągu dnia szary i pachnący skórą. Zostawili w nim już tylko dwa łóżka. Trzecie wziął Batdżar, a czwarte skończyło w ogniu.

Najmą mówił, że z tego geru chce zrobić guandz dla podróżnych. Ale jeśli na stołku taty rozwali swój tyłek jakiś przybłęda i zapaćka kluskami stół mojej mamy, to go wykopię na cztery wiatry. To nie jest jakaś garkuchnia.

Kiedy tato zgasł, podobno podniósł się taki wiatr, że ściany falowały jak beżowe, nienasycone jezioro. Gdyby nie było tych znaków, mama nie narobiłaby tyle krzyku. I jeszcze czarka spadła z półki. Jedna z tych niebieskich, świątecznych.

Ale tego pierwszego ranka był spokój. Tylko pomarańczowe wzorki na drzwiach zmieniały kolor i zlewały się w różne kształty. Kwiatki na tapetach w sansarskim mieszkaniu tak nie robiły. Próbowалам w tych kształtach znaleźć ciało komara z historyjki dla Dolgormy na dobranoc, ale zamiast tego ciągle widziałam silne łapska Mergena i czerwone wydęte wargi Nary.

Dotknęłam swojej twarzy. Były na niej góry i doły.

Poklepałam się po brzuchu i namacałam górkę miękką niczym galareta. Kiedy machnęłam ręką, żeby odgonić muchę, poczułam, jak zatrzęsała mi się luźna skóra na ręce.

Tarłam zdrętwiałymi rękoma o koc i myślałam o zapachach i kolorach, które utkwiły mi w pamięci. Najpierw zapach włosów wszystkich moich trzech siostr. Magi też. Później zapach taty, kiedy siostra umarła, a on nic nie robił, tylko pił. Zapach mojej krwi, kiedy po raz pierwszy pociekła mi po udach. Zapach benzyny i orzeszków cedrowych, zawsze jak mężczyzna skończył, a ja potem wpuszczałam przez okno świeże powietrze.

Kolory zostawiłam sobie na później, bo Ojuna na zewnątrz trajkotała jak najęta, a ja wiedziałam, że dotąd będzie się tak drzeć, aż mnie wykurzy z łóżka.

Zaraz jej powiedziałam o tych dwóch bruzdach nad prawym okiem Najmy. Wyglądała na zaskoczoną. Do czarki nabrałam sobie porannej zupy, a wszystkie żółtawe kawałki łoju, które w niej pływały, starannie poukładałam na stole. Gbyby ktoś przed południem zgłodniał.

Potem Ojuna powiedziała, że już mam nic nie robić, i znowu nadszedł wieczór.

Zanim położyłam się spać, jeszcze porozmawiałam z Najmą o tym guandzu. Jak to sobie wyobraża. Powiedział, żebym się nie martwiła. Wiem, że chodził z Dolgorma do tych malunków na skałach. Może myślał, że już o tym zapomniałam, ale jak brał sobie Ojunę, to brał z nią całą naszą rodzinę. Tak jest zawsze. A on jakby się wczoraj urodził.

Rano słońce piekło od samego świtu. Nie dało się nawet zwrócić oczu w stronę nieba. Wzięłam ze sobą trochę jedzenia i poszłam odwiedzić parę miejsc w okolicy. A jeżeli znowu roją się węże? Cecegma zawsze lata na bosaka, jakby nie miała rozumu. Jest dorosła, a jeszcze się nie nauczyła, że starym należy się szacunek. Jak przemknęła obok mnie, to mało nie podcięła mi stołka.

I znowu był wieczór.

Rano przypomniałam sobie o tych kolorach. Cały czas miałam wrażenie, że coś jest ciągle niedomyślane, ale dopiero trzeciego dnia uświadomiłam sobie co. Chadag, oczy Kulana, tapczan Mergena w kuchni, moje łóżko w internacie, del Erki. To wszystko było niebieskie. Jak niebo, które opadło na dół. Czerwień była kolorem gniewnych dni Szarceceg oraz policzków Dolgormy, kiedy dostała gorączki. Czoło miała rozhajcowane jak piec na Nowy Rok, a i tak lekarz odesłał nas do domu. Jeszcze mu wcisnęłam pieniądze i butelkę. Począł, aż to wszystko wpadnie mu do kieszeni w białym fartuchu, a potem powiedział, że ma komplet. Dolgorma leciała mi przez ręce niby ustrzelona

kozica górską. Wiotka i bezwładna, tak samo jak wtedy mama na tylnym siedzeniu.

Ojuna nigdy nie potrafiła przyznać się do błędu. Gdyby wtedy nie wieźli mamy do szpitala, mogła pożyć jeszcze parę zim.

Wytrzęśli z niej duszę.

Temu, kto już jest jedną nogą na tamtym świecie, niepotrzebne żadne telepanie się w aucie. Kiedy ostatnie słowa umrą w warkocie silnika, co będą sobie powtarzać następne pokolenia? Kto będzie wymyślał dzieciom Cecegmy i Zuli historyjkę o komarze? Kto nie jest dumny ze swoich przodków, do niczego nie dojdzie. Miała oczy jak z mlecznego szkła - takie są oczy umarłych. Szare jak płyty bloków na Sansarze, jak moje włosy, jak ulubiony koń Chiroko, o którym opowiadała mi Nara. W Mieście szare też były stragany z gazetami Unen.

Trzeciego dnia skaleczyłam się w rękę. Głowa myślała o czym innym, a ręce pracowały zbyt gorliwie. Żeby tak Ojuna nie ostrzyła noży co tydzień. Kto to widział. Poczułam ciepłą strużkę i spojrzałam na nią. Ręka wyglądała, jakby zrobiła coś złego, a ja ją na tym przyłapałam. Nie bolała. Jakby nie była moja. Kiedyś przecięłam sobie rękę zimą. Krew ciekła ciurkiem i zamarzała w różowy stalaktyt. Wyglądało to jak jakiś cenny klejnot albo długi szpon czarownicy.

Ojuna zaraz do mnie przyskoczyła. Była wystraszona. Krew polana wódką śmierdzi jak pięści pijaków. W Diwadzinie tak kończyli ci, którzy nie chcieli płacić. Tak samo szarzy. Bez twarzy i pełni nasienia.

Na trzeci dzień mnie zapytali, jak długo zostanę. Powiedziałam, że nie wiem, ściągnęłam buty i oddałam Ojunie wszystkie zwitki pieniędzy. Później wieczorem odkryłam w lewym bucie jeszcze dziesięć tysięcy tugrów. Zakradłam się do geru Ojuna, gdzie już wszyscy spali, i pod każdą miskę do herbaty wsunęłam jeden banknot, jak małą kolorową podkładkę.

Rano obudziły mnie krzyki Ojuna.

Psy dobrały się do wora z wnętrznościami, którego Najmą zapomniał wstawić na noc do środka. W trawie leżały porozwlekane jelita, a kawałek dalej skomlały zbite psy. Za takie przebudzenie wsadziłabym Ojunę wielbładowi na garb i popędziłabym zwierzę, żeby poszło w step i nigdy nie wróciło. Błogie czasy, kiedy mogłam ręką zatkać jej buzię.

Usiadłam na łóżku i splotłam włosy w dwa eleganckie młodzieńcze warkocze, które przewiązałam niebieskimi wstążkami. Kto powiedział, że stara baba musi być zaniedbana? Przełknęłam zupę i poszłam posiedzieć na kamieniu.

Ten kamień znano w całej okolicy. Był jak okiem sięgnąć największy i wyslizgany przez wszystkich. Na dole paluszkami maluchów, które rwały się na górę, ale nie dawały rady, jeśli ich ktoś nie podsadził, przez mężczyzn, którzy opierali się o niego, kiedy znaleźli chwilę czasu na popołudniowego papierosa, przez kobiety, które na ciepłym kamieniu gadały o swoich dzieciach i mężach. Miał kształt misy. Z trudem dało się do niej wejść, ale w środku człowiek był osłonięty od wiatru i wszechobecnego piasku. A jeśli wrzucić na dno coś miękkiego, to można było się tam kochać, i nawet jak ktoś znajdował się tylko o pięć krowich ogonów od kamienia, to niczego by się nie domyślił, jeśli kochankowie nie narobiliby hałasu.

Objęłam ramionami kolana, i było mi jak w dzieży na masło, jak w nieprzystępnym gerze, z którego rozciąga się widok na wszystkie strony. Ja już na sobie mężczyzny nie poczuję. Jego siły pomiędzy nogami ani jego głodnych warg na policzkach. Gdyby mnie kto pytał, to chciałabym to przeżyć jeszcze raz. Tylko tak, dla przypomnienia. Choćby z Bjamchu. Teraz musi być jeszcze starszy niż ja, więc moja spękana skóra ani zwaliste biodra nie powinny mu tak przeszkadzać jak młodym. Kiedy przebierałam się wczoraj wieczorem, nagle wpadł do mojego geru Batdżar. Wszystko mi było widać, piersi, łono. To była tylko chwila, ale kiedy siedzieliśmy przy kolacji, dostrzegłam spojrzenie, które na mnie rzucił. Ściągał wargi i odsłaniał zęby jak pies nad zepsutym żarciem. Nie przeprosił.

Ojuna ciągle mnie goni do jakiejś roboty. Zawsze radziła sobie ze wszystkim sama, więc dobrze wiem, że nie potrzebuje pomocy. Powiedziałam jej to. Moje pieniądze masz na stole. Zrolowane wałeczki banknotów, dzięki którym mogę zachować swój honor także i tutaj. Stłukłam cztery czarki. Trzy niechący, a jedną specjalnie. Ojuna może całe popołudnie siedzieć i liczyć, co i gdzie najbardziej się opłaca. Bierze pod uwagę pieniądze za benzynę i to, że tanie czarki nie wytrzymają długo.

Ja niczego więcej nie potrzebuję, tylko siedzieć i wygrzewać się, dopóki trwa lato. Jestem jak lód. Chciałabym kiedyś pogadać z Najmą. Ale on mnie unika. Trzy razy machałam do niego, żeby poszedł ze mną na stronę, i trzy razy mi odmachnął, że nie. Kiedy coś robię albo mówię, często mnie mierzy wzrokiem spod tej swojej uniesionej brwi. Na przykład kiedy włożyłam fotografię rodziców pomiędzy dwa nagrzane kamienie, żeby się wyprostowała, i cały dzień pilnowałam, żeby nikt tych kamieni nie rozkopał. I jeszcze się chmurzył, kiedy wyjadłam do końca resztki arulu, który stał na półce. Od niepamiętnych czasów. Nie miał już żadnego smaku, więc musiałam się zmuszać. Było to z mojej strony poświęcenie.

Teraz już z Najmą dałam sobie spokój. Wszystko zepsułam. Niechący. Zabrałam się do dziergania i zrobiłam na drutach narzutkę na ich Burchana.

Coś w rodzaju swetra. Kiedy Najmą przyszedł do geru, poczerwieniał jak zachód słońca. Rzucił mi to na głowę, słyszałam, jak na dworze mówi o tym Ojunie. Zdrajca.

Gdy ogarnia mnie wściekłość, mówię sobie: erlic, erlic, erlic. Wszystko zawsze było tym skażone. Idę między skały Czerwonych Gór i wracam z naręczem ziół. Rzucę je Ojunie pod gerem i będę mieć nadzieję, że coś to poprawi.

Czerwone Góry są straszliwie stare. Najstarsze w całej zachodniej Mongolii. Kiedyś świat był taki wysoki jak ich szczyty. Przedtem na świecie nie było żadnych gór. Potem przyszedł kataklizm i ziemię zalały olbrzymy. Zwały się ich tabuny. Zadeptały wszystko. Ludzie trzaskali im pod nogami jak wszy, a gery i stada na zawsze przepadły pod ich podszwami. Niebo zniknęło na parę tysięcy lat, a horyzont zaciągnął się wielką wilczą skórą. Olbrzymy miały wilcze imiona, a kiedy kroczyły przez świat, wszędzie było słychać echo ich przeraźliwego wycia. Ten głos rozrywał ludziom uszy. Kto usłyszał ich z bliska, uszy zalewały mu się krwią. Kiedy olbrzymy chciały mieć dzieci, wystarczyło, żeby wyrwały sobie włos, gruby jak drzewo, i wbiły go w ziemię. Na drugi dzień już było o jednego olbrzyma więcej. Czerwone Góry są jedynym miejscem, gdzie noga olbrzymów nigdy nie powstała. Cała reszta została wdeptana w ziemię. Tam gdzie teraz są szczyty Czerwonych Gór, ponoć wcześniej rosły parzące rośliny-zabójcy. Nawet olbrzym nie mógł przeżyć ich palącego dotknięcia. I dlatego góry ocalały. Tylko one z całego starego świata.

To jest najlepsza z opowieści taty o naszym ajmaku. Znał ich pięć. Odwiedzającym zawsze przedstawiał nasz kraj jako miejsce niezwykle ciekawe. Tak samo jak babcia Dolgorma. Ja wiedziałam, że Czerwone Góry nie są przecież jedynymi górami na świecie, i nie dawało mi to spokoju. Tato kiedyś usłyszał, jak rozmawiamy o tym z Narą, i powiedział, słuchajcie, te wszystkie inne góry wyrosły dopiero potem. Jak tulipany stepowe po pierwszym deszczu, który przyszedł, kiedy wszystkie olbrzymy zadusił ognisty pies.

Myślę, że Najmą nie zna tej historii. Mogłaby go zainteresować, przecież wszyscy wiedzą, że chodzi w góry do tych malunków i przechwala się, że zna tam każdy kamień. Czasami Ojuna woła go i woła.

Kiedy Najmą wie, że nie ma dla niego żadnej roboty, po prostu nie wraca. Potem Ojuna ciosa mu kołki na głowie, ale on już do tego przywykł. Wczoraj też tak przyszedł. Chciałam mu podgrzać jedzenie. Tylko machnął ręką.

Ciągle nie mogę się zebrać, żeby im to powiedzieć. Ze już tu zostanę. Czekam na chwilę, która nigdy nie przyjdzie. Oni sami przecież mi tego nie proponują.

Wczoraj wyszyłam Cecegmie del. Nie chcę się wkładać w jej łaski, ale już lepsze to, niż wyskrobywać z misek zaschłe resztki jedzenia. Powiedziałam Ojunie, żebyśmy dały sobie spokój z tym myciem. W końcu i tak jemy w kółko to samo. A jak się je trzy razy dziennie, to resztki nie zdążą się zaśmiardnąć. Dzalchu, powiedziała. I jeszcze: Ty leniu śmierdzący, i splunęła. Niech teraz sama się z tym bawi. Ślepa i głucha na wszystko.

Te wzorki na delu wydały się Cecegmie zbyt dzikie i po dziecięcemu pstrokate. Zabrałam jej ten del po kryjomu, wyszyłam, a potem przyniosłam jej niespodziankę. Mamoooo, od razu zaczęła krzyczeć. Myślałam, że dorosłe kobiety już nie latają do mamusi ze swoimi sprawami. Przybiegła Ojuna, i obie na mnie skoczyły. Mówiły o złośliwościach. Ale złośliwie to tylko rozbiłam tę jedną czarkę. A to było zupełnie serio. Kiedy mama, już dawno temu, pokazywała wzorki na rękawie swojego delu, mówiła dumnie, że wyszywała je ciotka, która miała szklane oko i już dawno nie żyje. Chciałam tak samo. Zrobić coś, żeby ktoś mógł to potem pokazywać.

A wczoraj wyszło na jaw coś, czego już dawno się domyślałam. Wybrałam się do kamienia-misy, żeby posiedzieć i popatrzeć na słońce, ale nie doszłam. Batdżar powiedział, że jedzie do somonowego centrum, ale kłamał. Przewalał się w kamiennej misie z kobietą. Rozpoznałam jego oddech. Czasami nad krawędzią pokazała się jakaś ręka albo zaokrąglony poślec wygiętych pleców, a wiatr przynosił kobiece jęki. Cały dzień nie było także Zuli.

Wieczorem wrócili razem. Zula miała czerwoną, obrzmiałą twarz.

Kiedy kobieta kogoś ma, czasami wcale tego po niej nie widać. Robi swoje, a w sercu nosi szczęście. Mężczyzna, kiedy kogoś ma, czyni dużo hałasu, do każdego przypija, i roznosi go jak ogiera, który został przywódcą stada. Batdżar cały czas był właśnie taki.

Z kolei Najmą jest burkliwy. Przynajmniej w stosunku do mnie. Chyba dam sobie z nim spokój. Tego mężczyzny nigdy nie udało mi się przejrzeć.

Kiedy mężczyzna jest jeszcze mały uczy się w swoim gerze wszystkiego, co będzie mu potem potrzebne.

Skończy szkołę w osadzie, ożeni się, spłodzi dzieci, a jeśli wśród nich szczęśliwie zdarzy się syn, przekaże mu to, co sam umie. Potem umrze i zjedzą

go zwierzęta. Taki jest Najmą. Ale nie wszyscy są tacy. Na przykład tato wiedział, co to znaczy wychowywać bękarty. Odpowiadać na wszystkie ich głupie, dziecięce pytania, pilnować, żeby nie kręciły się koło paleniska, przytrzymywać konia, żeby się nie spłoszył, kiedy dzieciak niezdarnie się na niego gramoli. Tato wiedział, co znaczy uderzyć kobietę, jak mężczyźnie jest źle. Parę razy widziałam jego pięść na twarzy mamy.

Z kolei Mergen wiedział, co to znaczy nie robić w ogóle nic. Co to znaczy mieć tylek zdrętwiały od czekania przez całe lata. Wysiedzieć w krześle dołek. I syn Najmy wiedział co nieco z tych rzeczy, których Najmą nigdy nie poznał. Co to znaczy milczeć i kłamać, i potajemnie pieścić kobiecie łono.

Jestem tu już wystarczająco długo, żeby Ojunę zaczęło nosić. Pytała o moje plany i co tam w Mieście. Ze podobno zna kogoś, kto w przyszłym tygodniu będzie jechał z somonowego centrum do rodziny w Mieście. Że może mnie z nim umówić. Powiedziałam jej, że jest mi tu dobrze. Miasto jest rozhukane, a moi najbliżsi są przecież tutaj. Po raz pierwszy jakby się uśmiechnęła.

Myślę, że wie, że jestem sprytna. I że dlatego nie wyszedł jej ze mną ten numer.

Moja siostra z pewnością jest przekonana, że miałam nieudane życie. Może i nie ma mi tego za złe. Ona ze wszystkim jest od razu gotowa. Zawsze ma coś pod ręką. Na zwierzęta i na ludzi. Tylko Zuli i Cecegmy nie udało jej się wyprawić z geru. Ciągłe je strofuje. Nie widzi, że obie urzekła Uregma. Są pracowite, ale strasznie brzydkie.

Jedna kobieta mówiła mi w somonowym centrum, że bardzo Ojunie współczuje i że mam jej to przekazać. Takich rzeczy nie mówi się matce dzieciom. Nikt nie ma takiego prawa. A już najmniej jej erlicka siostra z Miasta.

Dni są do siebie podobne. Tylko trawa zzółkła, a zwierzęta zaczynają zmieniać letnią sierść na zimową. Światła jest coraz mniej, a kamień-misa nie może się nagrzać nawet po południu. Czerwone Góry mienią się szkarłatnym blaskiem zachodzącego słońca już przed kolacją, a Najmą wraca po zmroku. Czas zmienić letni del na owczą skórę. Zimno mi w stopy, jakbym była bosa, więc wczoraj po raz pierwszy cały dzień paliłam w gerze ogień.

Kiedy siedzę przed swoim gerem, czuję się jak księżniczka z chańskiego rodu. Del mam pełen pachnącego wiatru, wydyma się niczym balon. Znam tu wszystko. Królewski step z pagórkami, ciągnący się we wszystkie strony. Za plecami jedyne góry starego świata, a za nimi i za dziesiątkami innych, takich samych jak one, nasze dumne Miasto.

Co z tego, że włosy mam szare i postrzępione. Co z tego, że każde małe dziecko jest ode mnie szybsze.

Kiedy to wszystko jest moje. Dzai z bacgańskiego somonu.